AKCJA SZKALOWANIA POLSKI

Leszek Żebrowski ostro o sprawie Rywy Tajtelbaum

Kompleks katyńsko-smoleński, czyli Warszawa wobec Moskwy – piórem Ziemkiewicza

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 17/422 26 KWIETNIA–3 MAJA 2021

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

WOJCIECH CEJROWSKI BEZ OGRÓDEK O SUPREMACJI BIAŁEJ RASY

Program Pospieszalskiego – „Warto rozmawiać", ale nie wolno?

JA WAS WSZYSTKICH ZASZCZEPIĘ!

Bill Gates i jego plan uszczęśliwienia świata

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 28882

Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

eprasa.pl 8cfe74c530

Dbam o swój portfel i środowisko!

Wybieram panele fotowoltaiczne od Energi

Obniż swoje rachunki już dziś! Pomożemy Ci ze wszystkim – od doradztwa, poprzez projekt, po wykonanie.

Postaw na pewnego partnera, ciesz się własną zieloną energią i pomagaj chronić środowisko!

Zyskaj 25 lat gwarancji producenta na panele fotowoltaiczne.

Dowiedz się więcej:
wejdź na energa.pl
lub zadzwoń: 555 555 505
(koszt wg taryfy Twojego operatora)

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

eprasa.pl 8cfe74c930

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Chryja bardzo radosna

Granice mojego języka wyznaczają granice mojego świata" – te słowa Ludwiga Wittgensteina, w odpowiedni sposób przerobione i zniekształcone, dobrze opisują mechanizm działania współczesnych (i nie tylko) radykałów. Bo jeśli granice języka wyznaczają granice świata, to… wystarczy zmienić język, żeby zmianie uległ świat. Jeśli świat to ogół wartości i odziedziczonych tradycji, to pierwszym warunkiem jego zniszczenia i przebudowy będzie zmiana języka i sensu gestów. To, co było wartością, ma być antywartością; to, co było antywartością, ma się stać wartością. Co to znaczy „ma się stać"? Wystarczy gest i słowo w przestrzeni publicznej. Publiczne poniżenie jest skuteczną metodą zmiany świadomości. Na ile działającą, to zależy tylko od jednego: czy dla gestu i słowa uda się zbudować wystarczające wsparcie medialne. Jeśli to jest zapewnione, to rewolucja może się posuwać bez oporów.

RYSUNEK TYGODNIA

To, że nie opisuję tu jedynie zawiłej teorii rewolucyjnej, doskonale pokazuje historia z protestami pod siedzibą Radia Maryja. Najpierw przeczytałem na kilku największych portalach internetowych (wyborcza.pl, gazeta.pl, onet.pl., fakt.pl, natemat.pl) informację o tym, że na początku maja grupa feministek zamierza zorganizować w dniu urodzin ojca dyrektora Tadeusza Rydzyka „orgię satanistyczną". Trudno zresztą to nazwać „informacją". Od samego początku wszystkie te media wystąpiły w roli propagatorów i organizatorów wydarzenia. Proszę bardzo, oto relacja z natemat.pl: „Pod siedzibą Radia Maryja w Toruniu znów odbędzie się radosna pikieta z okazji urodzin Tadeusza Rydzyka. Chryja ma rozpocząć się w tym roku 2 maja w samo południe, a jej hasłem przewodnim będą »orgie satanistyczne«. Skąd pomysł na taki motyw?". Równie dobrze takim językiem można by opisać rewię mody, występ gwiazdy czy koncert rockowy. Ot, „orgia satanistyczna" traktowana jest jako po prostu taka sobie ciekawostka, taki sobie „radosny" wybryk. Podobnie „radosna" jest ilustracja – pochodząca z 2019 r. fotografia dwóch pań w różowych strojach króliczka, niosących otoczony girlandami portret o. Rydzyka. Rozwinięcie informacji jest także radosne: „Stamtąd planowany jest przemarsz pod radiostację. Według zapowiedzi na manifestacji pojawią się osoby przebrane m.in. za Tadeusza Rydzyka, Danutę Holecką, Krystynę Pawłowicz czy też aktywistkę antyaborcyjną Kaję Godek".

Równie entuzjastycznie i pogodnie pomysł opisuje Onet. Tytuł: „Będzie »orgia satanistyczna«. Chryja wróci pod Radio Maryja". I na początek słowo organizatorki: „Skoro ojciec Rydzyk chciał orgii satanistycznej, to będzie ją miał". Oczywiście swojego zaangażowania nie kryje też gazeta.pl: „Toruńska Brygada Feministyczna i Manifa Toruńska zapowiadają »Chryję pod Radiem Maryja«. Wydarzenie związane jest z urodzinami ojca Tadeusza Rydzyka. Jedną z atrakcji ma być »orgia satanistyczna«".

Takich cytatów mógłbym znaleźć znacznie więcej. Ale te wystarczą. Pokazują doskonale, w jaki sposób wielkie media uczestniczą w projekcie zrewoltowania polskiej świadomości. To dzięki ich zaangażowaniu radykałowie mogą spokojnie przekraczać kolejne granice. „Orgia satanistyczna" – ależ to śmieszne i fajne, i cool. „Orgia satanistyczna" – to jest zabawa, którą organizują fajne kobiety, które nie lubią niefajnego księdza. A fajni dziennikarze jedynie fajnie o tym informują – radośnie i pogodnie. To, co powinno budzić opór i odrzucenie – manifestacje pogardy i szyderstwa wobec katolików – staje się niewinnymi igraszkami, a sprzeciw wobec nich okazuje się nadwrażliwością i znamionuje osoby zamknięte. Agresorzy – ci, którzy będą się naigrawać i szydzić – są przedstawieni z sympatią i życzliwością; jeśli ktoś będzie się im przeciwstawiał, to okaże się brutalny i tępy. Odwracamy sens słów. Ojciec dyrektor myślał, że jeśli działania aborcjonistek nazwie „orgią satanistyczną", to wyrazi ich potępienie. Hola, hola! Dzięki wsparciu wielkich portali odwrócimy znaczenie i z potępienia zrobimy jaja.

Tak działa ten mechanizm. Wystarczy nawet nieliczna grupka (może kilkadziesiąt, może kilkaset osób) i dzięki wsparciu medialnemu to, co było wybrykiem, przeradza się w zdarzenie publiczne i zmienia mentalność: skoro można publicznie drwić sobie z tego, co dla katolików jest antywartością – z orgii satanistycznej – to obala się świat, który stoi za podziałem na dobro i satanizm. Satanizm – jakież to sympatyczne.

Mógłbym sobie oczywiście wyobrazić przeciwne akcje drugiej, powiedzmy prawicowej strony. Mechanizm jest prosty – trzeba znaleźć symbol i wartość, która jest dla „lewicowców" i „liberałów" ważna (nawet mam kilka w głowie), i następnie publicznie ją – najlepiej na oczach dziennikarzy i aktywistów danego medium, przed siedzibą ich redakcji – poniżyć. Ale poniżyć „radośnie", „pogodnie" i „neutralnie" (dobrą nazwę też można znaleźć). Tylko, myślę sobie, do takiej akcji potrzebna byłaby odpowiednia liczba ludzi bez skrupułów i wstydu – a tych obrońcom tradycji wcale nie jest łatwo znaleźć. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
NIEŚWIĘTE WOJNY BILLA GATESA
Miliardera uszczęśliwianie świata

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA WOBEC ROSJI: KOMPLEKS KATYŃSKO-SMOLEŃSKI
Nie mamy żadnej polityki wschodniej

24 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŁUKASZENKA „BIJE NAS PO MORDZIE"

26 ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM SOBOLEWSKIM
JEŚLI KUKIZ, TO I SĘDZIOWIE POKOJU

28 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
„WARTO ROZMAWIAĆ", ALE NIE WOLNO?

30 TOMASZ ROWIŃSKI
TERAPIE PROF. MAKSYMOWICZA

32 KAMILA BARANOWSKA
NIEWOLNOŚĆ SŁOWA

34 FRAGMENT KSIĄŻKI „PIĄTKA U SEMKI"
DZIADEK JAN I DZIADEK JÓZEF

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
PANDEMIA OSZUSTW

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
OSCARY SUBIEKTYWNIE
Najlepsze filmy roku 2020

41 GRZEGORZ KONDRASIUK
NIENAWIŚĆ

42 TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT
PORTRET Z RÓL UTKANY

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

54 ŁUKASZ WARZECHA
COVIDOWA SEGREGACJA
Po co Komisji Europejskiej Zielony Certyfikat?

56 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
APOLOGIA JEZUSA CHRYSTUSA

58 ANTONI BUCHAŁA
SOJUSZ ELIT Z MOTŁOCHEM

HISTORIA

60 LESZEK ŻEBROWSKI
TSUNAMI BZDUR
Historia pisana na nowo

ŚWIAT

68 OLIVIER BAULT
MIĘDZY SKRAJNĄ LEWICĄ A CENTRUM
Przyszłość Zielonych

71 TERESA STYLIŃSKA
PROSTOKĄT BOGATY W SYMBOLE

74 WITOLD REPETOWICZ
„GRA O TRON" DAWNEGO IMPERIUM INKÓW

78 ROZMOWA Z DOLKUNEM ISĄ
MAMY PRZESTAĆ ISTNIEĆ

EKONOMIA

80 JAKUB WOZINSKI
CYFROWE WALUTY W NATARCIU
Symbol postępu i integracji?

82 JACEK PRZYBYLSKI
KONKURENCI TESLI WJEŻDŻAJĄ NA RYNEK

STYL

90 JOANNA BOJAŃCZYK
BAJZELMAMA WYŻSZYCH SFER
Iluzja eleganckiej prostytucji

O ZDROWIU

92 ROZMOWA Z EWĄ BŁASZCZYK
TO PO NAS POZOSTANIE
Budziki to takie OIOM-y dla osób w śpiączce

KOLEJNE WYDANIE „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ WE WTOREK 4 MAJA

eprasa.pl 8cfe74c930

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk, Paweł Żdziarski**

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Fabrice Coffrini/AFP/East News**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie listy do redakcji. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Potrzebna nam obrona terytorialna, ale inna", „DRz" 14/2021

Z wielką przyjemnością przeczytałem wywiad z prof. Romualdem Szeremietiewem. W zasadniczych kwestiach podzielam diagnozy Pana Profesora. Ja też sądzę, że Polska powinna inwestować w rozwój WOT bardziej niż w zakup drogiego sprzętu o charakterze ofensywnym [...]. Jednakże nie podzielam, częstej niestety wśród naszej prawicy, tendencji do przeceniania i wyolbrzymiania naszej roli i znaczenia w dziejach. Jako historyk pozwolę sobie zauważyć, że:

Po pierwsze, przywoływanie Afganistanu i Szwajcarii jako argumentu na rzecz ogromnych możliwości terytorialsów jest nieadekwatne. Tamte kraje są pokryte w całości wysokimi górami (dużo wyższymi od Tatr), wąwozami, skalnymi załomami, a nawet pustyniami. Afganistan ma dodatkowo głębię strategiczną, bo zajmuje znaczny obszar, tam można się bronić naprawdę długo. Polska zaś jest krajem przeważnie nizinnym, a więc trudnym do walki partyzanckiej z mocarstwami.

Po drugie, nie sądzę, by włodarze Kremla się nas bali. Dominacja Polski nad Rosją (a i to w ścisłej unii z Litwą) trwała nie setki lat, a niecałe stulecie, od ok. 1578 r. do 1667 r. (traktat w Andruszowie). Rosja była dużo silniejsza od Polski już za Piotra Wielkiego! Fakt, wojnę z Polską w 1920 r. Rosja przegrała także dlatego, że była uwikłana w krwawą wojnę domową u siebie, gdzie wojska „białych" generałów wiązały siły bolszewickie na innych frontach. Wojna z Finlandią w latach 1939–1940 nie była klęską Stalina, lecz raczej jego pyrrusowym zwycięstwem, gdyż ZSRS odebrał jednak Finom Karelię. Pamiętajmy, że Rosja Władimira Putina ma ogromny arsenał atomowy, śmigłowce, świetnych hakerów i pociski Kalibr.

Pan prof. Szeremietiew wskazuje Estonię jako potencjalny cel Rosji. Zgoda, ten kraj to chyba najsłabsze ogniwo NATO. Słowa prof. Friedmana o możliwej odsieczy sojuszników każą – moim zdaniem – prześledzić przebieg wojny w Korei w 1950 r. Może trzeba być gotowym na czasowe oddanie wrogowi stolicy, żeby doczekać odsieczy, broniąc się w trudno dostępnych poniemieckich sztolniach i korytarzach Sudetów? Może terytorialsi powinni tylko spowolnić marsz kolumn wroga w głąb kraju? Profesor Zbigniew Brzeziński twierdził kilka lat temu („Dziennik Gazeta Prawna", 25 marca 2015 r.), że Polska musi przez jakiś czas bronić się sama. Może byłoby wskazane wykuwanie bunkrów skalnych w naszych górach?

Pozdrawiam serdecznie
PT Redakcję i Pana Profesora
Marcin Skwarski

„Fabryki prac dyplomowych", Agnieszka Niewińska, „DRz" 14/2021

[...] Kończyłem studia historyczne na Uniwersytecie Śląskim na początku lat 90. Na moim seminarium magisterskim, na które uczęszczało 8–10 studentów, oszukanie promotora było technicznie niemożliwe, nie wspominając oczywiście o tym, że nikogo z moich ówczesnych koleżanek i kolegów nie podejrzewałbym o takie zamiary. Począwszy od omówienia tematu pracy magisterskiej, jej planu, bibliografii, źródeł, itp., a skończywszy na przedkładaniu kolejnych rozdziałów, wszystko odbywało się publicznie i systematycznie na zajęciach. Na bieżąco omawiało się wizyty w archiwach i bibliotekach. Należało wykazać się zebranymi relacjami i prowadzoną korespondencją. Jakakolwiek niekompetencja byłaby natychmiast przez prowadzącego seminarium zauważona i nie trzeba było do tego żadnego specjalnego oprogramowania. Zupełnie wystarczyło normalne i oczywiste w tamtych czasach zaangażowanie promotora. Przykre to, ale uważam, że współczesna plagiatowa plaga nie mogłaby istnieć bez cichego przyzwolenia kadry naukowej, dla której istnienie tej patologii, z niezrozumiałych dla mnie względów, jest całkowicie obojętne. Dla mnie osobiście pisanie pracy dyplomowej było bardzo przyjemną naukową przygodą i bardzo współczuję wielu obecnym studentom, że nie potrafią i nie chcą tego doświadczyć.

Z wyrazami szacunku
Karol Kubiński, Cieszyn

eprasa.pl 8cfe74c930

NA PIERWSZY OGIEŃ

Rewolucja PSL-u Mikołajczyka

PIOTR SEMKA

Zamiast drukowanego w tym miejscu felietonu Piotra Semki – w związku z jego chorobą i niemożnością napisania tekstu – drukujemy kolejny fragment jego książki pt. „My, reakcja. Historia emocji antykomunistów 1944–1956":

Nieoczekiwany przez ekipę Bieruta wybuch popularności Mikołajczyka latem 1945 r. skłonił komunistów do odwlekania wyborów. Już 28 czerwca 1945 r., czyli dzień po przybyciu Mikołajczyka, Edward Osóbka-Morawski ogłosił, że w najbliższym czasie nie stać nas na luksus zabawiania się w agitację wyborczą. Ale mimo obstrukcji Bieruta ludowców od Mikołajczyka podniósł na duchu fakt wygranej wyborczej węgierskiej Partii Drobnych Posiadaczy, odpowiednika PSL na Węgrzech, która zdobyła 62 proc. głosów. To, że nie udało się komunistom sfałszować wyborów w kraju naszych bratanków, wynikało jednak paradoksalnie z faktu, że w czasie wojny Węgry były sojusznikiem Hitlera. W rezultacie krajem zarządzała aliancka komisja kontrolna, w której angielscy i amerykańscy przedstawiciele uniemożliwili oszustwa wyborcze na szerszą skalę.

Polska jako formalny członek koalicji antyhitlerowskiej nie była pod władzą podobnej komisji i Sowieci mogli robić, co chcieli. Gdy Ambasador USA Arthur Bliss Lane próbował interweniować w sprawie odwlekanych wyborów do Sejmu, szef KRN Bolesław Bierut teatralnie oburzał się na ingerencję obcego mocarstwa w wewnętrzne sprawy polskie. Jak to się często zdarza, gdy komunistom nie odpowiadały szybkie wybory, okazywało się, że wszystko jest ważniejsze od nowej elekcji: odbudowa kraju, powrót polskich żołnierzy z Zachodu czy całkowite wypełnienie reformy rolnej. [...] Komuniści doskonale wyczuwali nastroje i odreagowywali swoją wściekłość na różne sposoby. [...]

O ile w dużych miastach PPR ograniczał się na razie do szyderstw i przyklejania PSL-owi „reakcyjnej gęby", o tyle w terenie kierowanie lokalnymi kołami PSL szybko zaczęło być kojarzone z męczeństwem. Nie jest to zbyt mocne słowo w sytuacji, kiedy UB skrytobójczo mordował najbardziej aktywnych działaczy partii Mikołajczyka. W okresie między 25 sierpnia 1945 r. a 4 grudnia 1945 r. bezpieka zamordowała 24 działaczy ludowych. Wyraźną i demonstracyjną cezurą, po której zbrodnie zaczęły być masowe, było zabójstwo Bolesława Ściborka, jednego z inicjatorów połączenia „lubelskiego SL" z PSL-em. Była to wręcz jawna demonstracja bezkarności komunistycznej władzy. Swoje prowokacje zaczęła też bezpieka, podrzucając zastrzelonym żołnierzom wyklętym sfałszowane legitymacje PSL. Dobrze pamiętam wspomnienia mojego ojca o tym, jak propaganda komunistyczna zaczęła lansować podły stereotyp „PSL-owca za dnia – bandyty wyruszającego na mord nocą".

Rewolucja PSL-u była wczesną prefiguracją „samoograniczającej się" rewolucji Solidarności z lat 1980–1981. Mikołajczyk musiał bardzo wiele rzeczy po cichu akceptować lub wręcz głośno afirmować. ©℗

STEFAN BRATKOWSKI NIE ŻYJE

W wieku 86 lat po długiej chorobie zmarł Stefan Bratkowski. Prawnik, dziennikarz, publicysta, redaktor, pisarz, uczestnik obrad Okrągłego Stołu oraz długoletni prezes Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich (w latach 1980–1990).

Stefan Tadeusz Aleksander Bratkowski urodził się 22 listopada 1934 r. we Wrocławiu. Absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim. W latach 1980–1990 był prezesem Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a w latach 1991–1992 Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik". Był także przewodniczącym Rady Programowej Stowarzyszenia Pracowników, Współpracowników i Przyjaciół Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego.

Autor scenariusza do serialu „Najdłuższa wojna nowoczesnej Europy". Z Januszem Roszką i Jerzym Zieleńskim napisał kilka książek reporterskich, a ze swoim bratem Andrzejem książkę „Gra o jutro". W 1988 r. dołączył do Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie i brał udział w rozmowach Okrągłego Stołu. Jako dziennikarz i publicysta był związany m.in. z „Po Prostu", „Życiem Warszawy" (z którego został zwolniony z przyczyn politycznych), „Gazetą Wyborczą", „Rzeczpospolitą", serwisem Studio Opinii oraz z Radiem TOK FM. W sierpniu 2011 r., w 31. rocznicę podpisania Porozumień Sierpniowych, prezydent Bronisław Komorowski uhonorował Stefana Bratkowskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. ***(jap)*** ©℗

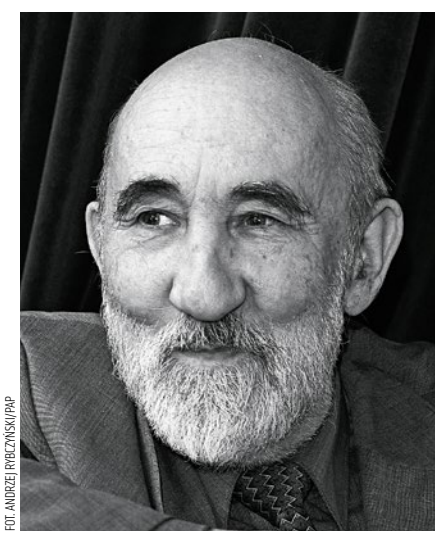

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

eprasa.pl 8cfe74c930

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Święty guzik

Bohaterką tego felietonu miałem zamiar uczynić poseł Klaudię Jachirę, która na sejmowej mównicy zrównała prześladowania przez reżim Putina Aleksieja Nawalnego z prześladowaniem przez reżim PiS sędziego Igora Tulei. Okazało się jednak, że w wyścigu o puchar przechodni najgłupszego antypisowca konkurencja jest ogromna i Jachira tym razem przegrała. Przegrała z jakąś panią, której nazwiska jeszcze nie ustaliłem, a która na demonstracji „w obronie" wspomnianego sędziego pod budynkiem Sądu Najwyższego obwieściła, że – tak, nie zmyślam – guzik od togi sędziego Tulei trafił do Muzeum Guzików w Łowiczu. Trzeba było Państwu widzieć ten entuzjazm, z jakim powitał tę wiadomość zebrany pod sądem tłumek. Może niezbyt liczne, ale nadrabiające to entuzjazmem zgromadzenie popadło w taką radość, że od razu jasne się stało, iż w najbliższym czasie Komitet Wolnych Sądów Obrony Demokracji Obywateli RP etc. zacznie organizować do muzeum pielgrzymki połączone z całodobową adoracją świętego guzika.

Sam jego właściciel zaś stał sobie i pozwalał się wielbić pod transparentem ze swoją podobizną i napisem: „Sędzia niezłomny". Niezłomność sędziego, przypomnę, polega na tym, że niezłomnie odmawia stawienia się na przesłuchanie, bo jako „sędzia niezłomny" jest ponad prawem. Cała sprawa jest czystą formalnością, nic mu za to nie grozi, poza ewentualnym doprowadzeniem na przesłuchanie przez policję – a wtedy odmówi zeznań i dalej będzie pajacował, bo dalej mu nic za to nie będzie groziło. Takie to prześladowanie i taka niezłomność, i taki właśnie symbol w łowickim muzeum pasuje do nich wręcz idealnie.

Różnie się to może kojarzyć. Mojemu pokoleniu jeszcze z podwórkową rymowanką: „W Poroninie na jedlinie wiszą gacie po Leninie", nieco młodszym ze sceną: „Święty sandał! Święta tykwa!" w „Żywocie Briana" Monty Pythona. To ostatnie skojarzenie jest na miejscu, o tyle że, przypomnę, popularność sandała i tykwy trwała krótko. Sekta, która wczoraj czciła męczeński jednodniowy areszt Kasprzaka, dziś czci guzik Tulei, jutro może znaleźć nowego świętego i nowe artefakty. Zapewne jeszcze… mądrzejsze. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Koka-egalitaryzm

Wysłuchałem w TOK FM interesującej dyskusji Grzegorza Sroczyńskiego z liderami „alt-leftu", przezywanego też PiS-owską lewicą – małżeństwem państwa Okrasków z magazynu „Nowy Obywatel". Redaktor radia Agory nie mógł się nadziwić, że przekonani spadkobiercy Abramowskiego i Daszyńskiego od liberalnej opozycji wolą rząd, za którego władzy zmalało ubóstwo i podniósł się poziom życia uboższych rodzin. Najbardziej zaś redaktora Sroczyńskiego zabolało, że nie doceniają „klasowego" znaczenia swobód aborcyjnych. Bo bogatych ma być stać na zagraniczne aborcje, na namierzenie zawczasu dzieci do eliminacji i na wiele innych podobnych „przywilejów". Czekałem tylko, jak prowadzący powie, że biednych nie stać na kokainę, więc zetatyzowana „sprawiedliwość" powinna i tu interweniować w celu szerszego udostępnienia tego elitarnego dobra.

Wywiad ten po raz kolejny uświadomił mi, jak bardzo lewica, przynajmniej w jej liberalnym odłamie („lib-left"), gardzi kulturą prostych ludzi, których może jedynie kusić udziałem w atrakcjach wykolejonej części warstw zamożnych. Nie ma tu nawet śladu utożsamienia się z ludem, który w wielu sprawach lepiej od elit rozumie rzeczywistość, bo – jak zauważył już prawie 200 lat temu o. Balmes – elity głupieją szybciej, a związek z Ziemią czy życie rodzinne właśnie prostym ludziom zapewnia zmysł dobra wspólnego. Wszystkie wielkie kontrrewolucje – od Wandei przez Cristeros do Solidarności – miały charakter ludowy. I dlatego dziś robotnicy popierają Trumpa czy Marine Le Pen, świadomi, że to suwerenne państwo zapewnia ludziom kontrolę nad wspólną przyszłością.

Politycznej lewicy jednak normalna przyszłość nie interesuje, bo dla nich – tak jak dla Marksa – nie lud jest ważny, ale przerobienie go na wojującą „klasę ludową" i wyciśnięcie zeń paliwa dla rewolucji, której owocami będzie potem racjonalnie administrował jakiś kolejny Balcerowicz. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O piłeczce

Futbolowa schizma się nie powiodła. Misterny plan obrabowania ludzi z futbolu tym razem runął z wielkim hukiem. Przy okazji wyszło na jaw, jak potężnym zjawiskiem społecznym jest piłka nożna. Tak potężnym, że muszą się z nim liczyć możni tego świata.

Agnelli, Pérez (prezesi Juventusu i Realu Madryt) oraz 40 rozbójników polegli w starciu z kibicami, mediami, opinią publiczną i wielką polityką. Nie będzie rozgrywek Superligi, która najbogatszym miała zapewnić życie i wieczne pieniądze. Co bawi, chciwcy, zgodnie z postępową, permanentną rewolucją semantyczną, nazwali się zbawcami futbolu. Co smuci, rozsądek i doświadczenie podpowiadają, że udało się jedynie odsunąć w czasie to, co nieuchronne. To wszystko niebawem wróci w innej, mniej radykalnej formie. Zapewne logika biznesu i chciwość skryją się za inną maską. Ale tego, że w efekcie bogaci będą bogatsi, a biedni biedniejsi, uniknąć się nie da.

Niemal ćwierć wieku temu rozmawiałem o Lidze Mistrzów i kierunku, w którym zmierza futbol, z mistrzem świata, geniuszem futbolu i gwiazdą Manchesteru United Bobbym Charltonem. Powiedział mi, że jego zdaniem w futbolu panuje jedna, niezmienna zasada: „Zawsze na końcu wygrywają pieniądze. Wszystko się może zmienić, nawet przepis o spalonym, ale to nie".

Niby chodzi tylko o kopanie piłeczki, ale sprawa musi być śmiertelnie poważna, skoro natychmiast zagrzmieli prezydent Francji, brytyjski premier, Unia Europejska i oczywiście Mario Draghi, premier najbardziej futbolocentrycznego kraju w Europie, w którym piłka nożna ociera się o sacrum. O sprawie wypowiedzieli się wszyscy najważniejsi włoscy politycy. Grupa posłów złożyła wniosek w Izbie Deputowanych, by parlament i rząd zobowiązały się, że zrobią wszystko, co w ich mocy, żeby pokrzyżować szyki futbolowych schizmatyków.

W Italii futbol jest sprawą państwową, przed którą politycy muszą chylić czoła. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat śmiertelnie ze sobą skłócone partie polityczne przemówiły jednym, gromkim głosem. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Widzą Was!

Ostrzegam Państwa! Czy Państwo w ogóle wiedzą, że kiedy tak wpisujecie sobie te wiadomości na Twitterze, to przyglądają się Państwu naukowcy? Tak. W telewizorze widziałem pana, którego przedstawiono jako kierownika Katedry Zarządzania w Społeczeństwie Sieciowym Akademii Koźmińskiego (z włosów także wyglądał jak naukowiec, piszę to z zazdrością). I pan profesor powiedział, że on i jego ludzie przyglądali się naukowo, co na TT wypisuje się o szczepionkach, a szczególnie o AstraZenece. I co się okazało po przeanalizowaniu tych Państwa wpisów? Że to nie Państwa wpisy! No częściowo Państwa, ale w mniejszości. Okazało się, że psuciem reputacji tej szczepionki zajmują się wysoce wyspecjalizowane fałszywe konta pochodzące z tzw. farmy trolli, czyli takich przedsiębiorstw zawodowo zajmujących się tym, żeby ludzie myśleli to, co te przedsiębiorstwa chcą.

Po przeanalizowaniu danych wyszło, że TT jest platformą, na której toczyła się regularna myślowojna z celem zaszczepienia w ludzkich mózgach: nie szczep się AstraZenecą. Co do tego, kto i dlaczego to robi, pewności absolutnej nie ma, ale „is fecit, cui prodest" – ten czyni, czyja korzyść. Tutaj snuć możemy dywagacje, kto zyskuje na obrzydzaniu szczepień w ogóle i konkretnej szczepionki w szczególności. Ja nie snuję, bo to procesowe.

A teraz trochę ekonomii, czyli sportu. Bogole, czyli właściciele utytułowanych klubów piłkarskich, postanowiły być Superbogolami i wymyśliły sobie, że najbogatsze kluby świata utworzą Superligę po to, żeby pieniędzmi nie dzielić się z żadnymi tam UEFA i innymi, tylko między sobą. Jeśli nie wiadomo, o co chodzi w sporcie, to polecam spytać (śledzić) obecnego na TT dziennikarza sportowego Piotra Koźmińskiego, który jest w swojej dziedzinie top topów z pewnością (obserwuję go od kilkunastu lat). I on, kiedy ta cała afera wybuchła na świecie i kiedy niezadowoleni kibice nie zdążyli jeszcze z gardeł wydać gniewu, napisał na TT: „Moje prywatne oświadczenie, akurat dziś kończę urlop, więc jest tym bardziej prywatne, oparte na wyczuciu. Nie dajcie się nabrać na medialne wrzutki o Superlidze. Wszyscy zostaną tam, gdzie są. Nie będzie żadnej rewolty. Widzimy się w pucharach, tak jak ustalaliśmy". I co? I miał rację. Kluby się wycofały. Moc ekspertów... ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

Jak motyl
Odczarować mity

Rak jajnika jest jednym z najczęściej występujących nowotworów złośliwych u kobiet.[1]

Owiany mitami, które trzeba odczarować.

Nikt nie zrobi tego lepiej niż one – „Niebieskie Motyle".

Poznaj historię siedmiu delikatnych, ale zarazem silnych i walecznych kobiet, które w książce „Jak motyl. Odczarować mity" dzielą się swoimi historiami o życiu z rakiem jajnika i nadziei. Towarzyszą im opowieści lekarzy, którzy wspierają je w walce z chorobą.

Wydawca:

gsk

Patronat:

STOWARZYSZENIE NIEBIESKI MOTYL

POLSKIE TOWARZYSTWO GINEKOLOGII ONKOLOGICZNEJ

STOWARZYSZENIE DZIENNIKARZE DLA ZDROWIA

1. Didkowska J., Nowotwory złośliwe w Polsce w 2017 roku.

NP-PL-OCU-ADVT-210001, 04.2021

eprasa.pl 8cfe74c930

UMIAR NAJWAŻNIEJSZY

Zapomniana nieco piosenkarka Paulla, czyli Paulina Ignasiak, postanowiła przypomnieć światu o sobie i opowiedziała o przemianie, jaką przeszła. Za pomocą medycyny estetycznej, którą teraz zachwala jak może.

– Wszystko jest dla ludzi. Trzeba wiedzieć, jak to robić, kto ma to robić. Trzeba z umiarem. Jeśli służy nam, że wyglądamy dobrze. Trzeba uważać, żeby nie przedobrzyć. Nie można robić z siebie manekina lub lalki. Jak ktoś lubi napompowane usta, to jego sprawa. Im człowiek jest starszy, tym bardziej siebie lubi i akceptuje. Kiedyś się przejmowałam, że coś się komuś nie podoba. Dziś uważam, że jak się komuś coś nie podoba, to jego problem – stwierdziła celebrytka. Najbardziej podoba nam się porada, że „trzeba z umiarem". Tak patrzymy na Paullę, patrzymy i wszystko tam jest, poza umiarem właśnie.

KOMBATANCKIE WSPOMINKI

Julia Kuczyńska, znana jako blogerka modowa Maffashion, opowiedziała o początkach swojej popularności i porównała ją do popularności dzisiejszych gwiazd Internetu. Mówi, że nie miała wcale lekko. – Przyjazd do Warszawy, praca na etacie, bo ja przeprowadziłam się do Warszawy, pracując w show roomie z biżuterią. Na stanowisku menedżera, który jeszcze prowadził bloga dla tamtejszej firmy. Oprócz tego byłam po prostu sprzedawczynią, doradczynią, stylistką, personal shopperką. Kończyłam studia w Poznaniu. Utrzymywałam się tutaj sama. Dojazdy na studia, łączenie tych wszystkich rzeczy, brak pieniędzy. To było ciężkie – wspomina Maffashion. I dodaje, że dzisiejsze gwiazdy mają łatwiej niż ona. – Ta moja popularność jest troszeczkę inna aniżeli teraz ta popularność, którą można nabyć, idąc do programu reality show, ten hotel, tamten hotel, czy wzięcie udziału w jakimś skandalu, dramie, czy nagrywanie na YouTube, znanie się ze znanymi youtuberami. Jakby ten proces nabycia popularności czasami zdaje się być bardzo krótki, a moja – nie lubię tego słowa – pozycja była wypracowywana powoli, powoli, jak taka kula śniegowa się tak rozkręciła – mówi. Wiadomo, ta dzisiejsza młodzież, co ona wie o życiu!

FOT. PAWEŁ GROMADA

TWARZ SKARPETEK

Tomasz Kammel został twarzą skarpetek. I żeby było śmieszniej, sam się tym pochwalił! Okazuje się, że znany prezenter wypuścił na rynek autorską linię skarpetek pod marką „Kammelove". – Moi Drodzy. Życie jest za krótkie, by nosić nudne skarpety! Dlatego powstały KAMMELOVE. Wszystko, co musicie o nich wiedzieć: Są kolorowe. Ekstremalnie wygodne. Niesamowicie wytrzymałe. Eleganckie i łatwo dostępne. Dlaczego je stworzyłem?

FOT. JAN BOGACZ/TVP/EAST NEWS

Bo znam się na skarpetach. Bo od dawna marzyłem o własnej marce. Bo znalazłem fantastycznego partnera. I przede wszystkim dlatego, że życie jest za krótkie, by nosić nudne skarpety. Czekam na Wasze opinie i odczucia. Zaczyna się nowa wielka przygoda, do której Was zapraszam! – oznajmił.

Najbardziej ujął nas argument: „Bo znam się na skarpetach". Teraz już nikt mu nigdy nie powie, że na niczym się nie zna!

SZCZEROŚĆ MONIKI

Kilka tygodni temu media obiegła informacja o rozstaniu Moniki i Zbigniewa Zamachowskich. Aktor wyprowadził się z ich wspólnego mieszkania i wydał oświadczenie, by nie interesować się jego życiem prywatnym. Inaczej do sprawy podeszła Monika, która nie szczędzi mediom szczegółów ze swojego zakończonego małżeństwa. Zresztą, gwoli prawdy, nigdy ich nie szczędziła, co mogło przyczynić się do takiego, a nie innego finału, ale my nie o tym. Bo tym razem Monika w szczerym (a jakże!) wywiadzie dla „Wprost" zdradziła kilka pikantnych małżeńskich szczegółów. Zarzuciła Zbyszkowi zdradę i parę innych rzeczy, ale przy okazji też wyznała, że chciałaby się jeszcze zakochać i... marzy o dziecku. Nie ze Zbyszkiem, rzecz jasna, ale tak w ogóle. – Nie byłoby trudno dojść do wniosku, że jestem felerna, że żadnego związku nie potrafię utrzymać, bo trzecie małżeństwo się rozpada, bo facet mnie zostawia. A ja bardzo chciałabym się jeszcze zakochać. Ba! [...] Bardzo chciałabym jeszcze mieć dziecko. Pewnie ten pociąg już odjechał, jestem realistką. W kategoriach cudu trzeba by traktować moje ponowne macierzyństwo... – oceniła celebrytka. – Po 42. roku życia płodność kobiety spada drastycznie. Ale kto zabroni marzyć? To dla mnie samej trochę dziwne, bo jednocześnie nigdy nie chciałam mieć dzieci ze Zbyszkiem – stwierdziła. Dlaczego? – Nie wiem. Intuicja, instynkt podpowiadały mi, że to nie jest dobry pomysł – odpowiedziała. Szkoda, że ta sama intuicja i instynkt nie podpowiedziały jej, że zbyt szczere wywiady to też nie jest dobry pomysł. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

artykuł sponsorowany

Nowe odkrycie na stawy!

Połączona formuła LR

Rewelacyjnie skuteczna! Tysiące Polaków zaufało formule znanej już od 2 tys. lat! Podejmij walkę aby osiągnąć pozytywne rezultaty

STOSUJĘ NAPRZEMIENNIE I W KOŃCU CZUJĘ SIĘ SPRAWNA!

Mam na imię Elżbieta i jestem emerytowaną nauczycielką. Mieszkam pod Warszawą. Od około 3 lat dokuczają mi stawy, bardzo mnie boli lewe kolano i łokcie. Teraz na dodatek doszła mi cieśń nadgarstka. To jest straszny ból, po kilka razy w ciągu nocy. Miałam więc przepisany zabieg. Jednak wcześniej poszłam po radę do sklepiku zielarskiego mojej przyjaciółki Kasi. To niedaleko koło pobliskiej Biedronki, więc dałam radę tam wolno sobie pospacerować. Moja Kasia zna mnie dobrze, nawet nie muszę jej mówić, ona widzi co mi dolega. Od razu podzieliła się ze mną po prostu swoim nowym odkryciem na stawy.

Ona także miała ostatnio bóle reumatyczne. Jej czasopismo specjalistyczne pisało o tym, że mają coś bardzo dobrego na stawy: kompleksowa, połączona kuracja LR, czyli jak mi wytłumaczyła laurowo-rozmarynowa. Mówiła, że stosowano ją już w starożytności ok 2000 lat temu. Zaciekawiło mnie to, a teraz mówią o tym naukowcy i badania naukowe. Jest tam podobno wszystko, co skuteczne i dobre na stawy. Zaopatrzyłam się w te nowości inne do smarowania i inne do picia. Szybko nasmarowałam całe kolano, łokcie, nadgarstek, uda, pachwiny, biodro i mniejsze stawy. Kropelki laurowe i kropelki rozmarynowe zmieszałam i wypiłam wg receptury, czyli 3 razy dziennie. Smarowanie robiłam na przemian, raz laur, raz rozmaryn. Słyszałam, że to wszystko razem najlepiej zadziała. A teraz po miesiącu dziękuję Kasi. Ustąpiły moje przewlekłe bóle i nocne wzmagania ze stawami. Nareszcie mogę spać całą noc. Nawet moja cieśń nadgarstka ustąpiła. Teraz do Kasi prawie biegam, ale nie po radę, tylko na herbatkę. Polecam gorąco!

- Elżbieta Roztoczyńska, l.50

ULŻYŁO MI! TO WSPANIAŁE...

Olejek laurowy i rozmarynowy do wewnątrz polecił mi znajomy. Kuracja nimi okazała się bardzo skuteczna, dlatego zastosowałem dodatkowo kurację laurowo-rozmarynową do smarowania. Teraz rano stosuję laur i zauważam poprawę w obrębie stawów kolanowych, gdzie ból był najsilniejszy, a wieczorem rozmaryn, który rozluźnia moje nogi i czuję ulgę oraz odprężenie po całym dniu. W nocy nie sprawia mi już problemu schodzenie z łóżka, aby chodzić do toalety. Stosuję połączoną kurację laurowo-rozmarynową LR wewnętrznie i zewnętrznie około miesiąca i zauważam dużą poprawę. Na dzień dzisiejszy jestem zadowolony, ból stopniowo ustępuje. Zdaję sobie sprawę, że stosowanie lauru i rozmarynu powinno trwać dłużej ponieważ składniki naturalne muszą się przyswoić.

- Robert Rysicki, l. 58

NAUKOWCY POTWIERDZAJĄ!

Czujesz, że twoje kolana i biodra nie są już tak sprawne jak kiedyś? Podobnie jak twoje palce i nadgarstki? Codzienne czynności stają się udręką? To kryształki toksycznych kwasów, które usadowiły się w stawach.

Polecana kuracja LR (laurowo-rozmarynowa) do wewnątrz krople a na zewnątrz do smarowania przyniosła realną nadzieję na poprawę. Teraz kompletna i innowacyjna kuracja penetrująca LR stanowi kolejny krok na drodze do pełnej poprawy dyskomfortu.

INNOWACYJNE POŁĄCZENIE

OLEJEK LAUROWY *ze świeżych liści laurowych (Laurus nobilis L.)*

OLEJEK ROZMARYNOWY *ze świeżych liści rozmarynu (Rosmarinus officinalis L.)*

KURACJA LR LAUROWO-ROZMARYNOWA

do wewnątrz pij krople — **na zewnątrz smaruj**

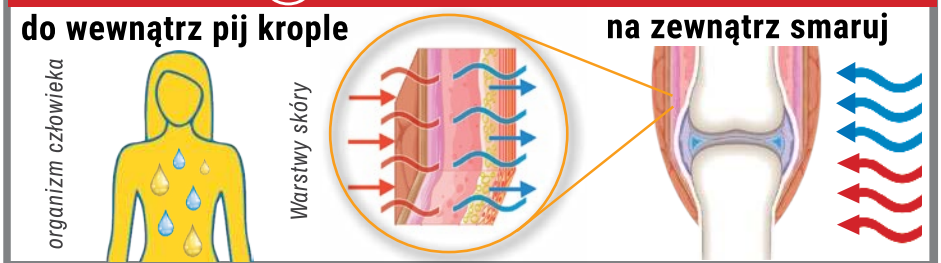

SZYBKIE I SKUTECZNE DZIAŁANIE! ZWIĘKSZONE PRZENIKANIE DO GŁĘBOKICH WARSTW SKÓRY

Zwykle działanie jest powierzchniowe, ponieważ rogowa warstwa naskórka ogranicza skuteczność działania. Natomiast połączenie laurowo-rozmarynowe stosowane naprzemiennie, wnika natychmiastowo w głębokie warstwy skóry, dzięki temu uzupełniająca się kuracja jest dużo bardziej wydajna i skuteczna a rezultaty działania potrafią być jednocześnie natychmiastowe oraz długofalowe.

LAUR działa powierzchniowo i na środkowe warstwy skóry. Ma doskonałą wchłanialność i przenikanie.

ROZMARYN działa na głębiej położone tkanki, posiada również doskonałą wchłanialność i przenikanie. Działa skutecznie blisko połączeń nerwowych co daje natychmiastowy efekt.

TO DZIAŁA!

Moja przygoda z kuracją laurową zaczęła się już dawno. Na początku zastosowałem olejek z liści laurowych do wewnątrz i efekt był zadowalający. Kilkanaście dni temu natknąłem się na artykuł, że można go również stosować w innej postaci na skórę. Przeczytałem też, że stosując kompleksową kurację laurowo-rozmarynową efekt będzie najlepszy. Postanowiłem zastosować to połączenie na kolana i nadgarstki i już po kilku dniach poczułem ogromną poprawę. Teraz stosuję krople laurowe i rozmarynowe do wewnątrz, mieszając, piję 4 razy dziennie oraz smaruję stawy naprzemiennie. Moja 30 letnia córka Monika widząc moją lepszą sprawność i mniejsze narzekanie, obiecała, że będzie mnie pilnować, żebym się codziennie smarował i pił te kropelki. Jak powiedziała tak zrobiła bo moja córka jest bardzo konkretna. Jestem z niej taki dumny. Paczkę otrzymałem po dwóch dniach. Zacząłem stosować na moje zbolałe stawy. Ach jak to korzennie wszystko pachnie gdy używam. A moje stawy chodzą teraz jak szwajcarski zegarek. Biodra, kolana, stawy, łokcie, nadgarstki, wszystko to teraz mam zadbane. Czuję się doskonale. Dziękuję swojej kochanej córce za opiekę i kuracji laurowo-rozmarynowej za **skuteczne działanie.** - Tadeusz Niemczyk, l. 70

CAŁA RODZINA CZUJE SIĘ LEPIEJ

Jednocześnie stosuję kompleksową kurację laurowo-rozmarynową, wewnętrznie kropelki rozmarynowe i laurowe razem (3 razy dziennie) i zewnętrznie na przemian raz laur raz rozmaryn do smarowania. Moja siostra cierpi na bóle biodra i odczuwa ogromną ulgę. Ale i ja czuję rewelacyjną poprawę. To wręcz niesamowite jaka jest siła natury! Czuję jakby moje stawy się odblokowały i naoliwiły. U nas problemy ze stawami są rodzinne, genetyczne. Często wymieniamy się nieprzyjemnymi odczuciami. Teraz nasze rozmowy zmieniły się i aktualnie rozmawiamy o fantastycznej wręcz poprawie naszego zdrowia. A wszystko to dzięki kompleksowemu działaniu kropelek laurowych i rozmarynowych oraz naprzemiennemu smarowaniu stawów raz laurem a raz rozmarynem. - Barbara Lasoń, l. 54

eprasa.pl 8cfe74c930

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy dość mocno wstrząśnięci, iż właśnie obejrzeliśmy podesłany przez frendziary z kolektywu filmik, na którym orzeł upolował lisa.

Uświadomiło nam to nierozwiązany do tej pory problem polegający na spożywaniu mięsa przez zwierzęta.

W dodatku, jak się okazuje, jest mnóstwo zwierząt, które nie jedzą niczego innego niż inne zwierzęta.

W tej sytuacji, naszym zdaniem, wszyscy powinniśmy się zastanowić, czy mamy jakieś narzędzia, możliwości, aby ten stan rzeczy zmienić. Propagowanie wegepostaw wśród leśnej fauny powinno stać się priorytetem środowisk proeko.

Skoro dbamy o to, iżby człowiek nie jadł świń, to możemy też zadbać o to, iżby orzeł już więcej nie zjadł lisa, i jest to rzeczywistość, do której powinniśmy dążyć.

Jesteśmy pod wrażeniem odważnego i bezkompromisowego wystąpienia w Sejmie tego kraju osoboposłanki Klaudii Jachiry. Dla tych, którzy nie widzieli: Jachira kazała Putinowi wypuścić Nawalnego, a następnie zaadresowała do opozycjonisty serduszko, mówiąc: „Aleksiej, to dla Ciebie". Na miejscu Putina zaczęlibyśmy się zastanawiać, jak należy wyjść z tej sytuacji z twarzą. Tego rodzaju mocne apele od osób stanu nieraz zmieniały przecież bieg historii. A jak już Putin uwolni Nawalnego i poda się do dymisji, to poprosimy Jachirę o rozwiązanie kolejnych globalnych problemów. Takie apele są chyba skuteczniejsze nawet od lajków na fejsbuniu.

Po półtora roku edukacji zdalnej, uproszczeniu matur i zaniku umiejętności relacji społecznych rząd ogłosił, iż polityką oświatową państwa w następnym roku szkolnym będzie wychowanie do życia w rodzinie.

No cóż, biorąc pod uwagę zdalną pracę i edukację, może to mieć swoje uzasadnienie, iż zapewne wiele rodzin nigdy wcześniej nie spędzało ze sobą tyle czasu.

Pragniemy tylko zauważyć, że of kors program będzie zapewne dotyczył wychowania do życia w tradycyjnej polskiej jednolitej etnicznie i zróżnicowanej płciowo rodzinie. A więc znów nie dość, że fashysm, to jeszcze wszystkie inne -ysmy, których nie sposób tu wymienić, bo nam zwyczajnie rubryki nie starczy. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Gumowe coś

Grzegorz, to ty?
No a kto niby ma być, Gośka?

Nie wiem. Ale z wyglądu to raczej Sasin.
A... Bo maski nie zdjąłem. Żeby mnie nie rozpoznali. Musimy po cichu działać. Mówiłem ci, żebyś się też jakoś zamaskowała.

Ale niby jak?
Trzeba było się za Szydło przebrać. Przecież nawet ci maskę w skrytce zostawiłem.

To takie gumowe coś? Wolałam nie dotykać.
Ale Sasin gadający z Szydło nie są podejrzani, a jak my rozmawiamy i ktoś by nas zobaczył i doniósł Borysowi? Przecież będzie jasne, że coś kombinujemy.

Może i tak... Ale co robimy?
Przewrót trzeba zrobić. Borys sobie nie radzi, płacze po kątach, że mu nie idzie, rozkleił się zupełnie. Wiem z pewnego źródła, że błaga o audiencję u Kaczora.

U Kaczora?!
Tak. Że niby taki duopol jest korzystny dla nich i dla nas, i żeby mu w związku z tym Kaczor doradził, jak on ma to wszystko wziąć za mordę.

Zdejmuj tę maskę, szybko!
Co jest?

Prawdziwy Sasin idzie! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Życzę nam polityki, która ma odwagę do walki z katastrofą klimatyczną, która rozumie, że ważne jest i odejście od wydobycia węgla, i zakończenie hodowli zwierząt na mięso, mleko, jajka".

SYLWIA SPUREK, *europosłanka Wiosny, na Twitterze*

eprasa.pl 8cfe74c930

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Z frontu walki z pandemią. Miejsce akcji – Kraków. Przed jednym z punktów szczepień – szok. Przez oczekujących zaczęła się przedzierać grupa osobników wymachujących legitymacjami sędziowskimi, wołając, że ich kolejka nie obowiązuje, bo mają immunitet i wokandę. Tłum wpadł w szał i zaczął wykrzykiwać pod adresem kasty słowa, których nie godzi się przytaczać. Wśród zelżonych był też słynny sędzia Waldemar Żurek. Choć nasze wiewiórki zaświadczają, że akurat on w odróżnieniu od kolegów zachowywał się kulturalnie.

Efekt? Cóż, dotąd było tak: sędziowie szczepili się priorytetowo, bo reżim uznał ich za grupę niezbędną do funkcjonowania państwa. Priorytet jednak nie obejmował wpychania się bez kolejki do punktu szczepień. W związku z tym postanowiono, że taka chamówa jak w Krakowie nie może być tolerowana nigdzie. Sędziowie będą nadal szczepieni, ale na zasadach ogólnych. Jeśli więc komuś z kasty odwołano termin, to niech dziękuje kolegom. Chociaż oczywiście mamy świadomość, że niebawem może się ukazać w „GazWybie" tekst o tym, jak to teraz się prześladuje sędziów, odmawiając im szczepień.

Niemcom tylko z pozoru zależy na Funduszu Odbudowy, bo tak naprawdę chcą go uwalić. Temu miała służyć blokada ratyfikacji, na chwilę zarządzona przez Trybunał Konstytucyjny. Jednak Niemiaszki zorientowały się, że być może nie będą musiały brudzić sobie rąk, bo sprawę załatwią Polacken. To by tłumaczyło, dlaczego polska Eine Totalopposition, która niedawno wołała, że kto przeciw Funduszowi, ten za polexitem, teraz głośno zapowiada głosowanie przeciw.

Z życia koalicji. Wiewiórki z PiS donoszą o odprężeniu na linii frontu z ziobrystami. Chwilowo obie partie zjednoczyły się w hejtowaniu Gowina. Biedny Gowin postanowił się więc uwiarygodnić, ogłaszając, że jedyna większość na świecie to Zjednoczona Prawica. Wiewiórki mówią, że mimo wrogich podszeptów szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński bardzo chce mieć Gowina w ZP.

Kongres PiS odbędzie się w formie tradycyjnej, tak jak chciał szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński. Żadnych tam onlajnów, full real, nawet dziennikarzy mają wpuszczać. Co więcej, żeby nie było gadania, że PiS-owcy mogą, a zwykli ludzie nie mogą się tak licznie spotykać, wcześniej zostaną zniesione obostrzenia dotyczące imprez masowych. Pozdrawiamy kibiców!

Uwaga, widać drugie dno! Chodzi o list krążący po Peło, wzywający do skasowania Borysława Budki i wyznaczenia nowego charyzmatycznego lidera. Media wskazują Andrzeja Halickiego i jego mentora Grzegorza Skorpiona Schetynę jako inicjatorów. Słusznie. Nic by jednak z tego nie było, gdyby nie szeroki front lokalnych baronów Peło, którzy mają serdecznie dosyć Borysława.

Skąd hejt na Borysława? Otóż lokalni baroni mają Berlin w nosie i przebierają nogami, by do ich regionów trafiła kasa z Funduszu Odbudowy. I innych inwestycji. Wiedzą, że nawet gdy PiS przeminie, to kasa zostanie. I w ramach różnych lokalnych dilów się z kolegami wrogami od Kaczafiego blatują. Tymczasem Borysław nic z tego nie kuma, a w dodatku jego uległość wobec histerycznej lewicy jest niepokojąca. Bo trzecią nogą każdego dobrego lokalnego dilu jest biskup. Rozumieli to nawet postkomuniści.

Jest sobie na przykład takie miasto Łódź. A w nim eksminister z Peło – Cezary Grabarczyk. Nawet nie macie pojęcia, jakim wielkim fanem budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego jest Grabarczyk. Cezary pamięta, że wszystko, co buduje się odpowiednio długo, prędzej czy później będzie należało nie do tych, którzy zaczynali budowę.

Martwimy się poważnie o Richarda Henry'ego Czarneckiego. Kpiliśmy niedawno z jego manii zbierania odznaczeń państwowych w krajach byłego Związku Sowieckiego. Tydzień później okazało się, że Richard założył w europarlamencie nową grupę – do spraw współpracy Unia Europejska-Uzbekistan. Coś nas tknęło i sprawdziliśmy, czy Rychu ma już order od Uzbekistanu. I wiecie co? Jeszcze nie ma! ©℗

REKLAMA

LAUROSEPT + STAWOSAN + ROZMARINE + STAVOX

STAWY? Teraz poczwórne skuteczne działanie!

WYKORZYSTAJ EFEKT WSPÓŁDZIAŁANIA: do WEWNĄTRZ krople + na ZEWNĄTRZ kremy

SUPLEMENT DIETY

krople i krem laurowy

SUPLEMENT DIETY

krople i krem rozmarynowy

ZAMÓW JUŻ DZIŚ!
Z DOSTAWĄ DO DOMU!
33 817 34 24
33 817 34 25
602 883 921
OD 8:00 DO 20:00
oraz
w aptekach
i sklepach zielarskich
www.asepta.pro
ASEPTA
Rok założenia 1998

eprasa.pl 8cfe74c930

Nieświęte wojny Billa Gatesa

Wojciech Golonka

Właściciel Microsoftu ma pomysł, jak rozwiązać pandemię i urządzić po niej nowy, lepszy świat. Jego głos, ochoczo powielany przez media, przekłada się na decyzje światowych agend, a nawet rządów. W jaki sposób wizjoner z branży IT przekwalifikował się na pandemiczną wyrocznię i co nas czeka, jeśli jego dążenia się ziszczą?

eprasa.pl 8cfe74c930

Protest przeciwników lockdownu w Londynie
FOT. EDWARD CRAWFORD/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Bill Gates, przez lata najbogatszy człowiek świata, to osoba, której nie trzeba przedstawiać. Warto jednak zwrócić uwagę na kilka aspektów jego drogi do zawrotnego sukcesu, naświetlających jego osobowość i metody działania. Wychowywał się w zamożnej amerykańskiej rodzinie (ojciec był wpływowym prawnikiem w Seattle, matka z kolei pochodziła z rodziny bankierów) w duchu pracowitości i stałego współzawodnictwa, gdzie sukces był wynagradzany, a przegrana piętnowana. Błyskotliwy matematyk, wraz z kolegą Paulem Allenem, z którym później założył Microsoft, pasjonował się programowaniem i jeszcze jako nastolatek zarobił swoje pierwsze pieniądze, programując na szkolnym komputerze (na początku lat 70. komputer był absolutną rzadkością). Rodzice chcieli dla niego kariery prawnika, ostatecznie jednak porzucił studia na elitarnym Harvardzie dla pisania programów umożliwiających obsługę komputerów przez laików i hobbystów.

Przełomem w jego życiu okazała się stała współpraca z IBM, którą umożliwiły mu koneksje matki. IBM chciał podjąć masową produkcję „pecetów" (PC – personal computer), nie miał jednak dla nich własnego systemu operacyjnego. Jak relacjonuje film dokumentalny „Bill Gates: Saga Microsoftu" (Stéphane Malterre, Tac Presse 2012), na spotkaniu biznesowym 25-letni Gates zablefował, że jego firma potrafi zrobić odpowiedni system operacyjny dla komputerów IBM, a następnie kupił od informatyka Tima Patersona opracowany przezeń Q-DOS, który dostosował i przemianował na MS-DOS. Przy czym kluczem do sukcesu finansowego była jego strategia biznesowa, stanowiąca novum w tej dziedzinie – Microsoft nie tylko sprzedał IBM możliwość użytkowania swego oprogramowania, lecz także pobierał opłatę za każdy komputer sprzedany z MS-DOS.

ŚWIĘTE WOJNY MICROSOFTU

Pecety IBM cieszyły się dużą popularnością na rynku i zaczęły zalewać amerykańskie biura oraz domy, jednak bardzo szybko ich dominującej pozycji zaczął zagrażać konkurencyjny produkt Apple: komputer Macintosh, z atrakcyjnym interfejsem z ikonkami programów oraz pierwszą myszką i kursorem na ekranie, był banalnie prosty w obsłudze, również przez dzieci. Gates był nim zachwycony

eprasa.pl 8cfe74c930

i dostrzegał jego ogromny potencjał. W filmie „Saga Microsoftu" Marlin Eller, ówczesny inżynier Microsoftu, opowiada, jak szef postawił mu Macintosha na stole i polecił wykorzystać z niego, co tylko się da. Powstał wówczas pierwszy Windows, a ponieważ pecety w sprzedaży były dwukrotnie tańsze od Macintoshów, w latach 90. ponad 90 proc. komputerów na świecie korzystało z systemu operacyjnego Microsoftu. W 1995 r. Bill Gates stał się najbogatszym człowiekiem na Ziemi, a okładka „Timesa" utytułowała go nawet „Panem świata".

Tymczasem już trzy lata później zaliczył on bolesny upadek z piedestału. Gates, który doskonale wyczuł i wykorzystał nadchodzącą erę komputerów osobistych, przegapił początek rewolucji internetowej. Nie widząc potencjału tego nowego narzędzia komunikacji, czekał, podczas gdy przeglądarka Netscape zaczęła podbijać rynek. Microsoft zaczął gonić rywala ze swym Internet Explorerem, przy czym robił to bezwzględnie, odwołując się nawet do szantażu, jak opisywał w „Sadze" śledczy Christopher Sprigman, dając producentom komputerów wybór: albo przestaną instalować na gotowych pecetach program konkurenta, albo stracą dostęp do Windowsa w ogóle i przestaną się liczyć na rynku. Jak wykazało później śledztwo amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości, taktyka ta, zwana wewnątrz firmy „dżihadem" (świętą wojną), okazała się skuteczna. Microsoft złamał jednak przepisy antymonopolowe, wszczęto śledztwo, a przesłuchania najbogatszego człowieka na Ziemi były śledzone na żywo przez miliony Amerykanów.

Widok Billa Gatesa – człowieka niezwykle błyskotliwego, o świetnej pamięci – który „rżnie głupa" wobec zadawanych pytań, udaje, że ich nie rozumie, i wykazuje się amnezją, spowodował wizerunkowy upadek „Pana świata". Akcje firmy spadły o 30 proc., a samo imperium wyrokiem sądu miało zostać podzielone na dwie odrębne firmy (oddzielenie własności systemu operacyjnego od reszty software'u). Firma jednak odwołała się, a zawarta ostatecznie z Departamentem Sprawiedliwości ugoda uratowała Microsoft od podziału. Pozostało zreperować mocno nadwyrężony wizerunek samego Gatesa.

FILANTROP... KAPITALISTA

W 2000 r., w wieku 45 lat, Gates zrezygnował z prezesury Microsoftu i przekazał 5 mld dol. w akcjach firmy jako darowiznę dla Fundacji Billa i Melindy Gatesów, która wchłonęła założoną w 1994 r. Fundację Williama Gatesa. Z wizjonera branży IT, programisty i skutecznego biznesmena-monopolisty Bill Gates stał się filantropem zaangażowanym w wyplenienie ubóstwa i chorób ze świata, wspierając programy edukacyjne, zdrowotne i klimatyczne. Filantropem dość specyficznym, którego francuski dziennikarz śledczy Lionel Astruc, autor książki „Sztuka fałszywej szczodrości – Fundacja Billa i Melindy Gatesów" (Actes Sud, 2019), trafnie nazwał filantropokapitalistą.

Fundacja Gatesów w rzeczywistości działa, opierając się na nadwyżkach związanego z nią funduszu inwestycyjnego (Bill & Melinda Gates Foundation Trust), który z kolei inwestuje w przemysł zbrojeniowy, farmaceutyczny, GMO, paliwa kopalne (czytaj: przemysł energetyczny oparty na węglu czy ropie), fast foody czy napoje sodowe. Stosunkowo szybko media zauważyły, że podobne inwestycje nie są kompatybilne z deklarowanymi celami działań na rzecz zdrowia czy zmniejszenia emisji CO_2. Jak donosił jednak „Los Angeles Times" w 2007 r., mimo krytyki fundusz podtrzymał swoją politykę inwestycyjną, zarzucając krytykom... naiwność.

Gates w styczniu 2010 r. ogłosił, że szczepionki będą miały niesłychane oddziaływanie w czasie kolejnej dekady, dlatego zobowiązał się wydać w tym czasie ponad 10 mld dol. na szczepienia

Drugim elementem, na który wskazuje Astruc, jest powiązanie grantów fundacji z aktywami, w które inwestuje fundusz. Na przykład w 2014 r. portfolio funduszu zainwestowało ponad 530 mln euro w koncern Coca-Coli, a jednocześnie fundacja organizowała programy mające przeszkolić 50 tys. rolników pod kątem hodowania marakui, owocu szeroko wykorzystywanego w produkowanych przez ten koncern napojach. Motto fundacji: „Jesteśmy organizacją non profit walczącą z biedą, chorobami i nierównościami w świecie" brzmi ładnie na papierze, w praktyce jednak jest to dobroczynność napędzająca wielki biznes, którego Gatesowie de facto posiadają akcje.

Podobne korelacje zauważyło także znane czasopismo „Lancet", które w maju 2009 r. poświęciło działalności Fundacji Gatesów odrębny numer. Redaktorzy docenili nakłady na projekty zdrowotne, które ich zdaniem stymulowały także podmioty państwowe do zwiększania ich własnych wydatków. Jednocześnie, analizując granty udzielone przez fundację w latach 1998–2007 w dziedzinie polityki zdrowotnej, „Lancet" stwierdził, że projekty finansowane przez fundację nie pokrywają się z priorytetami w dziedzinie zdrowia na świecie, a granty przyznawane są na zasadzie osobistych koneksji i powiązań. „Lancet" ubolewał także, że fundacja odmówiła mu przedstawienia swej dokładnej roli na rzecz globalnej polityki zdrowotnej, a kieruje się wyłącznie, jak stwierdzają jej raporty, „zainteresowaniami i pasjami rodziny Gatesów".

Zarzucano także, że beneficjentami projektów zdrowotnych na rzecz biednych krajów są w rzeczywistości podmioty z krajów zachodnich, przeważnie z Ameryki. Astruc komentował, że działalność Gatesa w Afryce nie wytwarza w rzeczywistości właściwej autonomii, a służy do tworzenia przyjaznego rynku zbytu dla zagranicznych koncernów. Plan dekady szczepień potwierdził tę analizę.

2010–2020: DEKADA SZCZEPIEŃ

Głosy krytyki nie przeszkadzały Gatesom w podejmowaniu kolejnych działań wedle własnych „zainteresowań i pasji". Gates, regularny bywalec, a czasem i gość honorowy Światowego Forum Ekonomicznego, w styczniu 2010 r. ogłosił w Davos, że szczepionki będą miały niesłychane oddziaływanie w czasie kolejnej dekady, dlatego zobowiązał się wydać w tym czasie ponad 10 mld dol. na szczepienia. W rzeczywistości fundacja finansowała programy szczepień już od końca XX w. W 1999 r. nowo powstały sojusz na rzecz szczepień, The Global Alliance for Vaccines and Immunisation (GAVI), dostał od Gatesa na rozruch zastrzyk 750 mln dol. oraz promesę dalszego finansowania rzędu 4 mld. GAVI jest interesującym projektem publiczno-prywatnego partnerstwa na rzecz zdrowia, przede wszystkim „zdrowia rynków zbytu". Misja przedstawiana na oficjalnej stronie brzmi bowiem: „Kształtowanie rynków. Praca na rzecz poprawy zdrowia rynków pod kątem szczepionek i innych produktów immunologicznych".

eprasa.pl 8cfe74c930

Finansowany przez Gatesa sojusz, mający usprawnić receptywność rynków (czytaj: regulacji państwowych i ich programów szczepień) na rzecz producentów, jest więc w rzeczywistości organizacją szczepionkowego lobbingu.

Podobny mechanizm bardzo dobrze zrozumiała i opisała parlamentarna komisja śledcza w Indiach w raporcie nr 72 z 2013 r. o możliwych nadużyciach w związku ze szczepionką przeciw wirusowi HPV, której próbny program szczepień w Indiach był realizowany w oparciu o grant fundacji Gatesów. Komisja śledcza uznała, że amerykański program badawczy intencjonalnie omijał „żmudną i ściśle regulowaną drogę badań klinicznych", dążąc „bez wysiłku" do wpisania szczepionki do programów szczepień: „Komisja uważa, że cała sprawa jest intrygująca i śliska. Wybór krajów i grup populacji, monopolistyczny wtenczas charakter produktu, który propagowano, nieograniczony potencjał rynkowy i możliwości w programach powszechnych szczepień rzeczonych krajów [Indie, Uganda, Wietnam i Peru] – wszystko to wskazuje na dobrze zaplanowany schemat komercyjnego wykorzystania sytuacji. Jeśli PATH [finansowany projekt Programme for Appropriate Technology in Health] skutecznie doprowadziłby do wpisania szczepionki HPV do programów powszechnych szczepień rzeczonych krajów, to spowodowałoby to niesłychany zysk dla producenta poprzez coroczną, automatyczną sprzedaż, bez żadnych kosztów promocji czy marketingu. Jest rzeczą dobrze znaną, że gdy raz dane szczepienie wprowadzane jest do programów szczepień, politycznie rzecz biorąc, nie da się tego szczepienia wycofać".

Producentem wspomnianej szczepionki była brytyjska firma GlaxoSmithKline (GSK), w której akcje Gates zainwestował, po ustąpieniu z zarządu Microsoftu – obok akcji Pfizera, Johnson & Johnson, Merck & Co. i innych potentatów medycznych. Innymi słowy, fundacja wykorzystywała swój potencjał finansowy, aby w ramach działań polityki zdrowotnej na rzecz biedniejszych krajów finansować programy szczepień, na których jednocześnie Gates, jako akcjonariusz, zarabiał przez swój fundusz.

Podsumowując dekadę szczepień pod kątem rentowności ekonomicznej, w wywiadzie dla CNBC udzielonym w Davos w styczniu 2019 r. Gates stwierdził: „Świat zainwestował łącznie 100 mld, z czego nasza fundacja trochę ponad 10 mld, ale uważamy, że nastąpił zwrot dwadzieścia do jednego. A więc z punktu widzenia samych korzyści ekonomicznych to naprawdę mocna liczba w porównaniu z czymkolwiek innym". Wedle danych Forbesa majątek Gatesa, w tym samym okresie, z 54 mld dol. w 2010 r. podwoił się do 111 mld w 2020 r. – a w samym roku pandemii zgarnął dodatkowe 20 mld dol. Dobroczynne rozdawanie pieniędzy, filantropia non profit – to się jednak finansowo bardzo opłaca, zwłaszcza w dobie pandemii.

WOJENNI SOJUSZNICY

Skoro dobroczynność Gatesa ma znamiona inwestycji, to czy nie podobnie należałoby rozpatrywać jego koneksje? Ot, Tedros Adhanom Ghebreyesus, obecny przewodniczący Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), były minister ds. zdrowia Etiopii, który w przeszłości przewinął się przez zarządy i rady nadzorcze związanych z Gatesem instytucji – założonego przezeń Funduszu na rzecz Walki z AIDS, Gruźlicą i Malarią, wspomnianego lobbingu GAVI oraz finansowanej przez Gatesa STOP TB Partnership. Tedros przewodniczącym WHO jest od 2017 r. – w taką prezesurę najwyraźniej warto inwestować, skoro w 2019 r. fundacja Gatesa była po Stanach Zjednoczonych drugim największym sponsorem WHO, łożąc na organizację więcej niż Australia, Kanada, Francja, Niemcy, Rosja i Wielka Brytania razem wzięte. Warto tu przypomnieć, że już we wspomnianej publikacji „Lancetu" z 2009 r. piętnowano uzależnianie działalności WHO od ukierunkowanych grantów rządów bądź prywatnych darczyńców pokroju Gatesa. Co powiedziano by dziś?

Inna fascynująca koneksja – Anthony Fauci, strateg walki Stanów Zjednoczonych z pandemią, naukowiec będący od lat na styku świata wirusologii i wielkiego biznesu, stary dobry znajomy rodziny Gatesów, choćby jako członek rady Globalnego Planu Szczepień 2011–2020 Gatesa, a także beneficjent ich dobroczynności, skromnych 100 mln dol. przeznaczonych na Narodowy Instytut Alergii i Chorób Zakaźnych, którego jest dyrektorem. Nomen omen w 2001 r., w ramach nagrody Andrew Carnegiego, uhonorowano siedem znakomitych podmiotów filantropijnych, w tym rodzinę Gatesów. Na pamiątkowym zdjęciu, reprezentujący rodzinę, William Gates Sr (ojciec Billa) stoi w jednym szeregu obok George'a Sorosa i Davida Rockefellera, nieopodal Anthony'ego Fauciego, który brał udział w imprezie właśnie jako przedstawiciel ww. instytutu i „szanowany badacz w kwestii HIV".

A skoro mowa o filantropach Sorosie i Rockefellerze, to w 2009 r. współzałożyli oni z Gatesem „Klub Dobroci" („The Good Club"), w którego gronie znaleźli się także Warren Buffet, Oprah Winfrey, Ted Turner, Eli Broad i Michael Bloomberg. Grono miliarderów i zacnych filantropów, jak opisywał pierwsze spotkanie „The Guardian", spotkało się „w odpowiedzi na globalne spowolnienie ekonomiczne i liczne kryzysy zdrowotne oraz środowiskowe, które nękają świat. W pewnym sensie był to szczyt, aby uratować świat". Wzruszające! W rzeczywistości jednak bardziej wiarygodnie brzmiał tytuł artykułu „The Wall Street Journal": „Miliarderzy próbują zmniejszyć światową populację". Filantropi debatowali bowiem, w jaki sposób wykorzystać (zainwestować?) osobiste fortuny celem odwrócenia wzrostu światowej populacji.

Spotkanie nie poszło na marne. Temu właśnie miały m.in. służyć nie tylko programy powszechnej antykoncepcji firmowane przez Melindę Gates (nominalnie katoliczkę), lecz także właśnie programy szczepień. Gates na konferencji TED 2010 precyzował: „Świat ma dziś 6,8 mld ludzi. I zmierza ku 9 mld. Jeśli zrobimy naprawdę dobrą robotę z nowymi szczepionkami, usługami zdrowotnymi i zdrowia reprodukcyjnego, to moglibyśmy być może zmniejszyć ją o 10 czy 15 proc.". Depopulacja przez szczepionki? Gates następnie tłumaczył to jako paradoks, więcej zdrowia – mniej narodzin: rodzice dążą do tego, aby mieć dwoje dorosłych dzieci, które zajmą się nimi na starość, a skoro dzieci czasem umierają, to płodzi się ich więcej, stąd dbając o zdrowie dzieci, będzie się ich rodzić po prostu mniej. Tak przy okazji Bill i Melinda Gatesowie cieszą się jako rodzice trzema córkami, których raczej nie spłodzili z powodu bezpieczeństwa finansowego na własną starość. Ale kto bogatym zabroni zakładać szczęśliwe rodziny i wykraczać poza standardy narzucane innym?

PANDEMICZNA WYROCZNIA

Dekada szczepień miała symboliczny finał w postaci ćwiczeń na wypadek pandemii koronawirusa,

eprasa.pl 8cfe74c930

zorganizowanych w październiku 2019 r. przez fundację Gatesów ramię w ramię ze Światowym Forum Ekonomicznym (koledzy od wielkiego resetu) i Centrum Johnsa Hopkinsa na rzecz bezpieczeństwa zdrowotnego (które następnie odegrało główną rolą w podawaniu covidowych statystyk). Uczestnicy ćwiczeń nazwanych „Zdarzenie 201" odgrywali scenariusz całościowego „zarządzania" pandemią. Wskazywali, że jedynym wyjściem z podobnych zagrożeń jest współpraca rządów z globalnym biznesem. Podkreślali, że rządy będą musiały wyjść poza utarte dotychczas ścieżki postępowania. Wspomniano nawet o potrzebie cenzurowania przekazów siejących fake newsy, czytaj: podważających przyjęte rozwiązania i strategie. Takie ćwiczenia prywatnych podmiotów to też inwestycja.

Co istotne, w 2020 r. Gates zapewnił trzem bardzo wpływowym (a zarazem lewicowym) mediom granty informacyjne w ramach tematyki „Globalne zdrowie i rozwój. Publiczna

Przy Gatesie Soros ze swymi fundacjami na rzecz społeczeństwa otwartego to karzeł, przy czym Gates mniej naciska na pompowanie ideologii, po prostu chce urządzić Ziemię na swój obraz i podobieństwo oraz czerpać z tego zysk

świadomość i analizy". Warto dodać: granty trzyletnie – wiarygodnych informacji wystarczy do końca pandemii, którą Gates przewiduje do końca 2022 r. W Wielkiej Brytanii „The Guardian" dostał na ten cel 3,5 mln dol. (w ciągu dekady 2011–2020 gazeta ta dostała od Gatesów łącznie prawie 13 mln dol.!), francuski „Le Monde" załapał się na 2,1 mln dol., a za oceanem CNN na 3,6 mln dol. Nic dziwnego, że Bill Gates, samozwańczy epidemiolog, zaczął raz po raz kreślić w mediach rozwiązanie pandemii, w której „sytuacja nie wróci do normalności dopóty, dopóki nie zdobędziemy wspaniałej szczepionki dla całego świata". Rozwiązanie to było następnie powtarzane jak mantra przez polityków i ich ekspertów, zapewne w myśl owego partnerstwa między globalnym biznesem i rządami.

ŚWIAT WEDŁUG GATESA

Przypomnijmy sobie „świętą wojnę" z czasów Microsoftu: monopolizacja rynku i zupełna eliminacja konkurencji. Przytoczmy jeszcze raz paradygmat dekady szczepień: zmniejszenie populacji światowej zapewnią NOWE szczepionki. W tej biznesowo-pandemicznej strategii z założenia nie ma miejsca na produkty, na których nie mógłby zarobić „globalny biznes", którego Gates jest akcjonariuszem. Przy czym rynek trzeba nie tylko zdobyć, lecz także zapewnić stałą sprzedaż, trochę jak z abonamentem aplikacji czy usługami IT.

Związany z Gatesem sojusz lobbystów GAVI od 2017 r. promuje biometryczną kartę tożsamości, co dziś nazwalibyśmy już paszportem szczepień. „Ostatecznie będziemy musieli mieć certyfikaty, kto jest ozdrowieńcem, kto jest zaszczepiony" – zalecał Gates na konferencji TED 2020. Wprawdzie sam certyfikat szczepienia można sfałszować, ale Gatesowi nie brakuje wyobraźni: z jego inicjatywy badacze z Massachusetts Institute of Technology (którzy w przeszłości stworzyli już dla niego zdalnie sterowalny chip-dozownik hormonów antykoncepcyjnych do podskórnego wszczepiania, działający przez 16 lat) opracowali niewidzialny podskórny kod na podczerwień, który można wszczepić wraz ze szczepionką i który następnie będzie można sczytać ze skóry, np. komórką.

Powszechny paszport covidowy to także gigantyczna baza stale zmieniających się danych i osób wymagających odpowiedniego śledzenia informacyjnego. Żaden problem, w 2018 r. Gates zaangażował się w projekt Earth Now – utworzenia sieci satelitów umożliwiający monitoring całej Ziemi w czasie rzeczywistym. Jeszcze jeden istotny element – świat bezgotówkowy. Już w 2012 r. Fundacja Gatesów pomogła założyć sojusz „Better than Cash Alliance" na rzecz przyśpieszenia przejścia z gotówkowych do cyfrowych form transakcji. Gates nie krył, że jest to doskonała forma walki z „zakazanymi" transakcjami, nadużyciami itd., czytaj: zupełnego wykluczenia krnąbrnych i opornych z systemu finansowego, co właśnie urzeczywistnia się w Chinach.

Wisienka na torcie: według Billa Gatesa w nowym świecie trzeba będzie pożegnać się z jedzeniem mięsa zwierzęcego, bo „metan, którym bekają i pierdzą [hodowane zwierzęta], każdego roku wywołuje taki sam efekt cieplarniany jak 2 mld ton dwutlenku węgla i odpowiada przy tym za 4 proc. światowych emisji", a cel to zero emisyjność CO_2 do 2050 r., wyznaczony przez Gatesa jeszcze na konferencji TED w 2010 r., sześć lat przed porozumieniem paryskim. Dobra wiadomość jest taka, że w ramach ostatnich inwestycji Gates stał się największym właścicielem ziem uprawnych w USA i zapewne zadba o produkcję „mięsa" roślinnego, do którego – jak twierdzi – da się zresztą przyzwyczaić.

KTO ZATRZYMA „DŻIHADYSTĘ"?

Gdy dyrektor Rob Flynn z „The News-Hour", które w 2008 r. dostało od fundacji Gatesa grant 3,5 mln dol. na rzecz produkcji informacji z zakresu globalnego zdrowia, był pytany przez Reutersa, czy musi informować o tematach, które są ważne dla fundacji (pytanie po części o konflikt interesów), odpowiedział: „Pod pewnym względem, nie ma, do cholery, zbyt wielu rzeczy z zakresu globalnego zdrowia, które nie miałyby jakichś macek Gatesa".

Poniższe porównanie będzie ostre, ale nie będzie ono pierwsze, bo już po aferze z 1998 r., gdy wyszły na jaw jego monopolowe praktyki, pojawiły się karykatury Gatesa jako faszystowskiego dyktatora. Otóż losy Europy nie były przesądzone, gdy Adolf Hitler pisał swoją „Mein Kampf", ale ówcześni decydenci zlekceważyli zapowiedziane przez niego szalone i makabryczne plany, które następnie konsekwentnie urzeczywistnił. Bill Gates w zasadzie nie kryje swych pomysłów, a obecnie stoi na czele najpotężniejszej NGO na świecie (w rzeczywistości NGO-koncernu), której roczny budżet działań to prawie 5 mld dol. Przy Gatesie Soros ze swymi fundacjami na rzecz społeczeństwa otwartego to karzeł, przy czym Gates mniej naciska na pompowanie ideologii, po prostu chce urządzić Ziemię na swój obraz i podobieństwo oraz czerpać z tego zysk. Niedawny przypadek Szwecji, której rząd ostatecznie odmówił Gatesowi zgody na próby zapylania nieba celem schłodzenia klimatu, pokazuje jednak, że Gates nie jest na razie wszechmocny. Jeśli chcemy zachować nasze swobody i zwyczaje z przedpandemicznej „normalności" – jedynej normalności – to trzeba dać odpór jego nieświętym wojnom. Bo co do tego, że Bill jest na wojennej ścieżce z ludzką normalnością, wątpliwości nie ma.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

PAWEŁ LISICKI „KTO FAŁSZUJE JEZUSA"
SAVERIO GAETA „DUSZE OFIARNE"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~737 ZŁ~~

277,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 460 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 8cfe74c930

Rafał A. Ziemkiewicz

Można odnieść wrażenie, że kolejny wzrost napięcia w stosunkach Zachodu z Rosją ożywił naszą politykę wschodnią. Ale to pozory. Nie sposób ożywić czegoś, czego nie ma

Wiele wskazuje na to, że Rosja weszła w fazę politycznego szaleństwa, typowego dla upadających mocarstw. Nieumiejętność rozwiązywania problemów wewnętrznych próbuje rekompensować sobie ekspansją zewnętrzną. Bywało tak w historii niejednokrotnie, by wspomnieć choćby ekspansję osmańskiej Turcji u schyłku wieku XVIII, kiedy to posunęła się ona aż pod Wiedeń, a potem się załamała i stała się na ponad dwa stulecia „chorym człowiekiem Europy". Oczywiście w dobie broni masowego rażenia agresywność upadającej Rosji jest bardziej niebezpieczna, niż bywało to w wiekach poprzednich, i na to właśnie zdaje się liczyć Władimir Putin, testując wciąż na nowo ustępliwość Zachodu.

Ta ustępliwość, przez nas oceniana jak najgorzej i chętnie porównywana z monachijską naiwnością Chamberlaina i innych wyznawców „appeasementu" co do Hitlera, na razie jednak nie wychodzi Zachodowi na złe. Na krótką metę mamy kompromitację za kompromitacją – a to pokazową brutalnością wobec Nawalnego pokaże Putin miejsce Niemcom, którzy próbowali odegrać rolę protektora opozycjonisty i hipotetycznych „sił demokratycznych" w Rosji, a to przeczołga Unię Europejską, przyjmując w momencie największego nasilenia represji jej „ministra spraw zagranicznych", a to wreszcie prężeniem muskułów na granicy z Ukrainą demonstracyjnie nastraszy szefową Komisji Europejskiej, odwodząc ją od wizyty w Kijowie.

Jeśli jednak spojrzeć na sprawy w perspektywie ostatnich dziesięcioleci, to całe to pasmo drobnych triumfów okazuje się kryć coraz poważniejszy, strategiczny odwrót. Wystarczy spojrzeć na mapę. Gdzie była Rosja 20 lat temu? Albo zadać sobie pytanie: Jak Kreml odebrał wówczas zapowiedź, że w ciągu następnych dwóch dekad za cenę utrzy-

FOT. SPUTNIK/REUTERS/FORUM

eprasa.pl 8cfe74c930

Polska wobec Rosji: kompleks katyńsko-smoleński

mania Krymu i bałkanizacji Donbasu utraci trwale Ukrainę i zmuszony będzie coraz większym kosztem podtrzymywać wiernego jej dyktatora Białorusi, wpychając Białorusinów na tę samą ścieżkę, na której znaleźli się wcześniej Ukraińcy?

OSUWANIE SIĘ ROSJI W ZACOFANIE

Nie trzeba już nawet zaglądać na inne obszary i w inne niż geopolityka kwestie, by zauważyć, że Rosja coraz bardziej przegrywa. Już nie tylko Zachód i Chiny stają się dla niej przeciwnikami ponad siły, lecz także wzrastające mocarstwa regionalne, takie jak Turcja czy Iran. Zwłaszcza ta pierwsza ma coraz więcej do powiedzenia w regionie Kaukazu, który jeszcze niedawno Kreml uważał za swoją wyłączną strefę wpływów. Dyplomacja rosyjska stara się wszystko to w jakiś sposób obrócić na swoją korzyść, powtarza, że „uwikłanie Turcji" w Azerbejdżanie to właśnie jej sukces, że załatwia w ten sposób swoje interesy w regionie rękami Erdoğana – ale fakt pozostaje faktem, Rosja coraz bardziej się wycofuje.

Nawet najbardziej wydoskonalona umiejętność gry nie na wiele się zdaje, gdy gracz nie ma w ręku żadnych asów ani figur, a tak właśnie jest dziś z Moskwą. Tym bardziej że Rosja potrafi prowadzić tylko jedną politykę – supermocarstwową. Wciąż mówi o sobie jako o „wielkim kraju", ale w istocie jest tylko krajem rozległym. Bogactwa naturalne, które sprzedaje, wskutek strategicznych decyzji o zmianie źródeł energii zapadających w świecie, tracą na znaczeniu i cenie. A zmodernizować się „rozległy kraj" nie potrafi. Pogodzić się ze swym stanem obecnym – również. Społecznie wciąż tkwi w nomenklaturowo-niewolniczej strukturze społecznej, z reżimem wystarczająco silnym, by trwać i tłumić społeczną aktywność, i społeczeństwem zbuntowanym nie dość, żeby coś zmienić, ale wystarczająco, żeby na setki drobnych sposobów blokować funkcjonowanie archaicznego systemu. Technologicznie – w pogłębiającym się zacofaniu. Politycznie – w mocarstwowych fantazmatach, uzasadnianych retoryką i blefem, nie zaś realnym potencjałem.

Jeśli uświadomimy sobie to stopniowe osuwanie się Rosji w zacofanie, to łatwiejsza do zrozumienia staje się dla nas tak nas irytująca polityka Zachodu. Chcemy w niej zauważać tylko tyle, że Zachód jest, jak mówił Piłsudski, „parszywieńki", tchórzliwy i chorobliwie prorosyjski. Tymczasem Zachód, zgodnie z zasadami polityki, chce osiągnąć jak najwięcej jak najmniejszym kosztem. Wie, że Putin jest w gruncie rzeczy słaby, że nadrabia miną, i – generalnie – postanowił mu na to pozwalać. Jego brutalność tłumaczy sobie jako grę na użytek wewnętrzny: car, aby utrzymać szacunek poddanych, musi jawić się jako ktoś, kogo cały świat się boi i kto gwarantuje Rosji siłę i wielkość – np. anektując Krym i nękając Mariupol i Donbas. To przykre, ale Unia Europejska czy Ameryka nie ponoszą z tego powodu żadnych strat, poza wizerunkowymi, na które mogą sobie pozwolić. Z ich punktu widzenia lepiej jest cierpliwie znieść kolejne popisy Putina, po których i tak będzie się on musiał znowu cofnąć, niż ponosić koszty występowania w roli wychowawcy, który by co i raz dawał Putinowi klapsa, by pokazać, że ten zachowuje się niewłaściwie.

Jednocześnie pamięta Zachód o starej zasadzie, u nas ujmowanej w słowach: „Dłużej klasztora niż przeora". Zawsze będzie jakaś Rosja, zawsze będzie ona miała ogromne zasoby i będzie stanowić potencjalny, ogromny rynek zbytu, rezerwuar siły roboczej oraz pomost pomiędzy Europą a Azją. Dlatego „przeczekując" ekscesy upadającego mocarstwa, Zachód stara się być przygotowany na nowe otwarcie i na jakiegoś modernizatora, nowego cara Piotra, który zamiast resentymentami mocarstwa, które jeszcze pół wieku temu chciało rządzić światem, a dziś nie może trwale odzyskać Donbasu, zacznie się kierować interesami i realizmem.

POLITYKA ODRUCHÓW

Ta gra jest dla Polaków kompletnie niezrozumiała i nie ma tu wielkiej różnicy między podejściem do Wschodu obecnie rządzących i lewicowo-liberalnej opozycji. My, tkwiąc w diagnozie „parszywieńskiego" Zachodu, widzimy w jego grze tylko kunktatorstwo i czekamy, aż się „przebudzi". W którymś momencie, wierzymy, Putin posunie się o krok za daleko, tak daleko, że nawet tak przegniły i tchórzliwy Zachód, jak obecna Unia Europejska i USA Bidena, stwierdzą, że tak dalej być nie może, i stanowczo się Rosji przeciwstawią. Wtedy wszyscy będą musieli przyznać, że trwając w niezłomnym sprzeciwie wobec rosyjskiego imperializmu i ostrzegając przed nim, zawsze mieliśmy rację, i przeprosić, że nazywali nas „obsesyjnymi rusofobami".

Czy to można nazwać polityką?

W istocie, wszelkie nasze działania na kierunku wschodnim sprowadzone są do odruchów. Przede wszystkim – odruchu obronnego. Postrzegamy całą politykę Rosji jako odwieczne „parcie na Zachód", nieustanne dążenie do podbijania i pozbawiania wolności mniejszych krajów, oparte na paranoicznych konceptach Moskwy jako trzeciego Rzymu i „odsuwania wroga od granic". I ponieważ nic się w tej kwestii nie zmienia – tu uważamy się za większych realistów od naiwnego

eprasa.pl 8cfe74c930

Zachodu, regularnie zakochującego się w kolejnych rzekomych „liberałach" na Kremlu i ich „pierestrojkach" – to prowadzić z Rosją polityki w zasadzie nie możemy, byłaby ona przysłowiową rozmową siedzenia z kijem.

Nie jest to wizja nieprzytomna, pole manewru w stosunkach z Kremlem, dopóki czuje się on trzecim Rzymem, mamy faktycznie niewielkie. Z konstatacji o niezmienności rosyjskiego imperializmu można jednak wyciągać różne wnioski. My wyciągamy zupełnie inne niż na przykład Viktor Orbán, który – dysponując wszak dużo słabszą od Polski pozycją – usiłuje wykorzystywać fakt, że Rosja jest na dłuższy czas, a być może nawet – w związku z jej wyraźną słabością – trwale odsunięta od jego granic, w związku z czym bezpośrednio Węgrom dziś niezagrażające mocarstwowe podrygi Kremla należy wykorzystywać. Wychodząc z tego założenia, Orbán stara się grać na dwóch fortepianach, a ponieważ Putinowi zależy na wkładaniu nogi w europejskie drzwi, to od czasu do czasu coś na tym zyskuje – jednocześnie zyskując w Unii, której pokazuje w ten sposób, żeby Węgier zbyt mocno nie dociskała, bo Budapeszt ma alternatywę.

Warszawa nawet nie chce stwarzać pozorów, że w razie czego mogłaby prowadzić politykę inną niż satelicką wobec Zachodu, i przy każdej okazji zaznacza, że jesteśmy rzecznikiem wyzwolenia ludów gnębionych przez rosyjski imperializm i że naszym zdaniem z Rosją nie należy w ogóle prowadzić polityki, tylko należy ją pokonać. Dlatego naszym zdaniem należy wspierać wszystkie siły antyrosyjskie i wszystkie państwa, które z jakichkolwiek powodów są Rosji wrogie. Nawet jeśli państwa te prowadzą politykę antypolską i ich wzmacnianie nie leży w polskim interesie. Bo my, zgodnie z pryncypiami obowiązującej u nas „polityki inteligenckiej", nie kierujemy się interesami ani zyskami, tylko moralnością.

Bogiem a prawdą, w stosunkach z Rosją kierujemy się jeszcze jednym istotnym czynnikiem, o którym mówimy niechętnie: strachem. Pamiętając o szkodach i spustoszeniach, które nam w dziejach Rosja, zarówno ta carska, jak i ta komunistyczna, wyrządziły, absolutnie nie wyobrażamy sobie, że Rosja może być słaba. Jej słabość oczywiście nas cieszy, ale nie wierzymy w nią. W najlepszym razie uważamy ją za stan chwilowy i myślimy o chwili, gdy Moskwa odzyska siły i znowu nas napadnie. Rosja to dla nas drzemiący chwilowo potwór, każde jego warknięcie, które inni uważają za bezsilne podtrzymywanie pozorów utraconej mocarstwowości, dla nas zawsze jest alarmem. Jedynym, co by nas satysfakcjonowało, byłoby całkowite dobicie tego potwora – ale nie sposób na to liczyć.

„Bardziej nienawidzą Rosji, niż kochają Polskę" – pisał o piłsudczykach Dmowski. W kontekście rządzących dziś neopiłsudczyków rozwinąłbym to: bardziej boją się rosyjskiego imperializmu niż czegokolwiek innego. Niż niemieckiej kolonizacji, niż bezwzględności maksymalizowania zysków przez wielkie koncerny, wykorzystujących polityki wspólnot i państw Zachodu tak, jak kolonizatorzy XIX w. wykorzystywali ich kanonierki, bardziej wreszcie niż wspieranej przez te same kanonierki neomarksistowskiej tęczowo-genderowej rewolucji, miażdżącej kolejne społeczności.

Ten strach zakorzeniony jest nie tylko w historii, która w Polsce jest żywa jak chyba w żadnym innym kraju, lecz także w poczuciu słabości. Nasza polityka jest rozpaczliwym szukaniem protektora, obrońcy, który pomoże trzymać Moskali jak najdalej od nas – bo bez takiego protektora zginiemy.

Opozycja gra na tych lękach, na każdym kroku szantażując społeczeństwo, że jeśli nie podporządkowujemy się całkowicie Unii – której podporządkowanie się w każdej, najdrobniejszej sprawie, jest jej jedynym programem i wizją przyszłości – to Kreml nas znowu pożre i wymorduje. I ten szantaż na ogromną masę Polaków działa. Mimo że Putin jest obecnie słabszy niż kiedykolwiek i odepchnięty daleko, a Unia Europejska przejawia tak niewiele gotowości do wchodzenia z nim w konflikt, że gdyby, hipotetycznie, rosyjskie czołgi wjechały jutro do Warszawy, nie można by się spodziewać innej reakcji Zachodu niż oświadczenia, wyrazy i ewentualnie koncerty solidarności (to ostatnie nie jest pewne, wiele rządów mogłoby uznać, że nie należy napiętych stosunków z Moskwą zaostrzać). Demagogia straszenia polexitem i Putinem skutecznie utrzymuje popularność opozycji, zastępując jakikolwiek program czy narrację o Polsce lepszej niż rządzona przez Zjednoczoną Prawicę.

Rządzący zaś nie znajdują na nią odpowiedzi ani nawet, od momentu upadku i wygnania na wirtualną Świętą Helenę Trumpa, wskazać alternatywnego protektora. Tkwią w niewygodnej i mało obiecującej pozycji „zawsze będziemy z Unią, tylko niech ona zacznie nas szanować".

ŻADNA POLITYKA

Dlatego twierdzę, że nie mamy żadnej polityki wschodniej. Mamy kompleksy, lęki i płynące z nich odruchy.

Myśl, że Polska mogłaby się kusić – choćby w dalekiej perspektywie – o zbudowanie własnej siły, zdolnej do zwycięskiej konfrontacji z Rosją (o czym piszą, podając przecież bardzo konkretne argumenty, Jacek Bartosiak czy George Friedman), w ogóle nie mieści się polskim politykom w głowach: ani tym z PiS, ani z anty-PiS. Na sugestię, że mamy potencjał, by wyrosnąć na regionalne mocarstwo i zbudować wokół siebie regionalną koalicję, by w polityce wobec Rosji szukać współpracy z Turcją czy Iranem, z krajami bałkańskimi i tak dalej, Polska reaguje, jak zakompleksiona kobieta – która czuje się brzydka i bezwartościowa – na komplementy: wzruszeniem ramion.

O tym, by Polska poczuła się na tyle silna, aby próbować polityki Orbána i wygrywania swoich interesów w stosunkach Rosji z jej bezpośrednimi sąsiadami, mowy nawet nie ma. Nawet premier Ukrainy, występując z gotowością rozmów z Putinem, wykazuje więcej samodzielności i wiary w siebie niż nasi przywódcy. Ale on czuje za sobą siłę niemieckiego protektora i słabość Polski, która i tak zawsze zrobi to, co będzie w interesie Kijowa.

Gdyby było inaczej – moglibyśmy mówić tu o polityce wschodniej. Jednak czekanie na konflikt Zachodu z Rosją i wykorzystywanie obecnego napięcia jako sygnału, że można podnieść znowu domniemanie zamachu w Smoleńsku nie jest przecież żadną polityką. Tym bardziej że w tej ostatniej sprawie mamy tylko słowa (jakkolwiek nawet słowa premiera), i za stwierdzeniem wybuchów w tupolewie nie idą żadne działania – co jest najlepszym dowodem, że chodzi tu raczej o politykę wewnętrzną, a nawet wewnątrzpartyjną. Na mapie środkowo-wschodniej Europy Polska nie jest graczem, tylko pionkiem. I nawet nie marzy, żeby było inaczej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Zmieniamy życie pacjentów dzięki nauce™

W czasie zagrożenia zdrowia, kiedy mamy wyzwania na skalę światową, dzięki współpracy z wieloma partnerami:

opracowujemy nowe leki
udoskonalamy sposób ich dystrybucji
nieprzerwanie dostarczamy leki pacjentom na całym świecie

Bristol Myers Squibb™

Dowiedz się więcej na **bms.com**

ONCPL2011661-01,12.2020

eprasa.pl 8cfe74c930

Łukaszenka „bije nas po mordzie”

FOT. BELTA/POOL/AP/EAST NEWS

Maciej Pieczyński

Polska jest dla władz w Mińsku wymarzonym, szczerze znienawidzonym wrogiem. Łukaszenka nigdy nie będzie chciał porozumieć się z Warszawą. Jego antypolonizm, wspierany przez Rosję, ale od niej niezależny, ma głębokie, sowieckie korzenie

Rosyjskie FSB i białoruskie KGB miały niedawno udaremnić rzekomy zamach na Łukaszenkę, przygotowywany przez USA, przy współudziale Polski. Oto więc Mińsk i Moskwa jednoczą się przeciwko wspólnemu zagrożeniu z Zachodu. 12 kwietnia o godz. 20.45 niezidentyfikowany statek naruszył przestrzeń powietrzną Białorusi od strony granicy z Polską. Tak przynajmniej stwierdziły władze w Mińsku. Do białoruskiego MON wezwano polskiego attaché obrony. Warszawa zaprzeczyła, by taki incydent miał miejsce. To jednak nie ma żadnego znaczenia. Mińsk szuka kolejnych punktów zapalnych w relacjach ze znienawidzonym zachodnim sąsiadem. Każdy pretekst do eskalacji napięcia jest dobry. „Nie zamierzamy z nikim prowadzić wojny, nie chcemy wojny, ale jeżeli do nas będą w taki sposób się odnosić, jak to było pod koniec ubiegłego roku i teraz, to dostaną w mordę, i to bardzo mocno” – tak, w swoim stylu, wygrażał Polakom Łukaszenka podczas niedawnej rządowej narady.

„Baćka” w takich sprawach słów na wiatr nie rzuca. Działacze polskiej mniejszości na Białorusi „w mordę” dostali już wcześniej. Do aresztu trafili szefowa szkoły w Brześciu Anna Paniszewa, a następnie czołowi działacze Związku Polaków na Białorusi Andżelika Borys i Andrzej Poczobut. Wcześniej wydalono konsula generalnego w Brześciu Jerzego Timofiejuka. Nic nie wskazuje na to, by Mińsk Polakom odpuścił. Bez przesady można mówić o zimnej wojnie polsko-białoruskiej. Warszawa nie jest w stanie pomóc rodakom, a Łukaszenka sam nie ma zamiaru ustępować swoim największym wrogom. I nie ustąpi. Chyba że ustąpi z urzędu. Ale to tylko wówczas, gdy tego zechce Putin…

WYGODNIEJ NA WSCHODZIE

„Baćka” często bywał opisywany jako zręczny gracz, prowadzący politykę „wielowektorową”. Jego zachowanie po wybuchu protestów w sierpniu zeszłego roku pokazało, że taka ocena była formułowana na wyrost. Jak trwoga, to do Putina. Łukaszenka chciał rozmawiać tylko z Moskwą. Nic dziwnego. Gdyby szczerze chciał porozumieć się z Zachodem, musiałby się zmienić i swój autorytarny kołchoz dostosować do uznanych w demokratycznym, kapitalistycznym świecie norm. Rosja nie wymaga od niego aż takich wyrzeczeń. Wystarczy, by chciał pogłębiać integrację z wielkim bratem. Łukaszenka chce, ale tylko do pewnego momentu. Zwyczajnie woli być prezydentem formalnie przynajmniej niepodległego państwa (de facto całkowicie zależnego od Rosji) niż gubernatorem obwodu w ramach federacji. Dlatego czasem się przeciwko mocodawcom buntuje, ale tylko po to, by wynegocjować więcej wsparcia dla swojego kołchozu. Jedno jest więc pewne: Łukaszence jest po prostu wygodniej na Wschodzie niż na Zachodzie.

A Polska to forpoczta Zachodu. I to jest pierwszy powód antypolonizmu Łukaszenki. Warszawa od dawna poucza białoruskie władze, próbując przekonać je do zachodniego kursu, a przynajmniej wyperswadować represje wobec politycznych przeciwników. Wspiera też demokratyczną opozycję. To Polska

eprasa.pl 8cfe74c930

i Litwa jako pierwsze stanęły po stronie protestujących Białorusinów, którzy oskarżyli Mińsk o fałszerstwa wyborcze. To Warszawa i Wilno stały się schronieniem dla politycznej emigracji. To nadawana znad Wisły telewizja Biełsat i mieszkający w Polsce białoruski bloger NEXTA mocno zaangażowali się nie tylko w informowanie o protestach, lecz także w ich aktywne wspieranie.

Trzeba pamiętać, że masowe demonstracje nie miały wymiaru antyrosyjskiego, tylko antyłukaszenkowski, a część przywódców opozycji zwracała się (bezskutecznie, co istotne) o pomoc do Putina. Jednak pozostali przywódcy poprosili o wsparcie Polskę, Litwę, UE, USA. A to już pomogło Łukaszence przestawić oś sporu z wojny domowej na wojnę Wschodu z Zachodem. Odżyły stare mity rosyjskiej i sowieckiej propagandy. Prokremlowscy publicyści, często niechętni „Baćce", zaczęli go wspierać, porównując Cichanouską z Dymitrem Samozwańcem. Łukaszenka znów zaczął straszyć, że Polacy chcą „odzyskać" Grodno i Brześć. Mińsk i Moskwa przemówiły jednym głosem: oto powraca demon polskiego imperializmu. Odradza się wielkopańska Rzeczpospolita, która znów, tak jak kilkaset lat temu, chce skolonizować prawosławne, wschodniosłowiańskie ludy. Białorusini muszą sobie przypomnieć, że są ludźmi Wschodu. A z Rosją łączy ich więcej niż z Polską: kultura, język, wiara…

SOWIECKI PATRIOTA

Przede wszystkim jednak łączy sowiecka, coraz bardziej wybielana zarówno przez Mińsk, jak i Moskwę, przeszłość. Łukaszenka, jakkolwiek by sam mówił o swoim patriotyzmie, zrobił wiele dla rusyfikacji Białorusi. Nie na darmo symbolem protestów przeciwko jego władzy jest zakazana, historyczna flaga Białoruskiej Republiki Ludowej. Wspomniane, nadające z Polski media również zwracają się do Białorusinów głównie w tak tępionym przez „Baćkę" języku białoruskim.

W rzeczywistości Łukaszenka jest patriotą nie tyle rosyjskim, ile sowieckim. Ten były dyrektor kołchozu w swoim myśleniu o państwie i gospodarce jest czerwony do szpiku kości. Za Związkiem Sowieckim tęskni z pewnością jeszcze bardziej niż Putin. Nieprzypadkowo jedyna w dobie pandemii defilada z okazji 75. rocznicy zwycięstwa odbyła się właśnie w Mińsku, nie zaś w Moskwie. Łukaszenka to typowy homo sovieticus, i również dlatego tak nienawidzi Polaków. W końcu to właśnie zorganizowanie uroczystości ku czci Żołnierzy Wyklętych w szkole w Brześciu stało się dla władz w Mińsku powodem rozpętania antypolskiej nagonki. Powodem, nie pretekstem, ponieważ kult antykomunistycznego podziemia wzbudza u Łukaszenki i jego popleczników autentyczną wściekłość. Dla „Baćki" bohaterami byli sowieccy partyzanci i czerwonoarmiści walczący z „faszyzmem". Naturalnie więc antybohaterami w jego oczach są żołnierze polskich formacji niepodległościowych, które walczyły nie tylko z „faszyzmem", lecz także z komunizmem, do tego chciały odtworzenia Rzeczypospolitej w jej przedwojennych granicach, co by oznaczało powrót Brześcia i Grodna pod panowanie polskie. To oczywiste, że zrusyfikowany postkomunista woli Moskwę (kiedyś czerwoną, dziś trochę mniej) niż Warszawę (kiedyś i teraz biało-czerwoną, kiedyś i teraz antykomunistyczną). Nic zatem dziwnego, że Paniszewa, Borys i Poczobut otrzymali zarzuty o „rehabilitację nazizmu". Skoro Polacy czczą podziemie antykomunistyczne, to znaczy, że są przeciwko komunistom, którzy przecież walczyli z nazizmem. Ergo: są neonazistami. Taka interpretacja idealnie współgra z analogiczną retoryką Moskwy.

Tyle że nie można powiedzieć, iż antypolska nagonka została zainspirowana przez wszechwładnego Putina. W kwestii prokomunistycznej polityki historycznej Łukaszenka po prostu myśli tak samo jak Putin, tyle że bardziej. Oczywiście wygodnym pretekstem do atakowania kultu Wyklętych jest Romuald Rajs „Bury", którego zbrodnie na białoruskich cywilach nawet polski IPN wiele lat temu uznał za ludobójstwo. MSZ w Mińsku konsekwentnie co roku oficjalnie potępiało marsze ku czci „Burego", organizowane w Hajnówce. Tyle że, po pierwsze, nie ma żadnych dowodów na to, by Polacy na Białorusi czcili specjalnie, prowokacyjnie, akurat tę postać. Po drugie zaś – Łukaszence jakoś nie przeszkadza zorganizowana zbrodniczość systemu sowieckiego w jego wychwalaniu. Przeszkadza mu zatem antykomunizm jako taki.

Oczywiście brutalne represje przeciwko Polakom są związane z generalnym zaostrzeniem kursu przez dyktaturę. Łukaszenka robi wszystko, aby zgnieść wszelkie przejawy względnie niezależnej myśli, nawet jeśli nie są one radykalnie opozycyjne. To swoją drogą też zbliża go do Putina. Obaj jak ognia boją się „kolorowej rewolucji", zjednoczeni wspólnymi ideałami „dyktatorskiej międzynarodówki". Tak się składa, że „kolorowe rewolucje" w tym czy innym stopniu albo inspirowane są przez Zachód, albo przez ten Zachód popierane. Tak, ten Zachód, którego awangardą jest Polska… I koło się zamyka. Tyle że Łukaszenka represjonuje Polaków już od kilkunastu lat. Teraz tylko wzmocnił natężenie.

DŁUGI PROCES

Poza wszystkim bowiem Polska idealnie pasuje do roli zewnętrznego wroga. Łukaszenka, szczerze Polaków nienawidząc, może dodatkowo zrzucić na nich winę za wewnętrzny bunt. Pokazując, że to nie Białorusini chcą go obalić, tylko obca, zachodnia agentura. A tak naprawdę o jego odejściu zadecyduje „ojciec chrzestny" tej postsowieckiej mafii. Na razie Putin pozostawia „Baćkę" przy politycznym życiu. Bo Łukaszenka jest na tyle skompromitowany w oczach Zachodu, że może liczyć tylko na Moskwę. Ale też na tyle silny, że na razie potrafi zapobiec „kolorowej rewolucji". Jednak w każdym momencie Putin może go zastąpić kimś albo z elit władzy, albo z grona wcale przecież nie antyrosyjskich opozycjonistów. Polska nie ma szans, by na taką zmianę wpłynąć, bo wektor coraz silniej zależnej od Moskwy Białorusi będzie nadal prosowiecki, prorosyjski i antyzachodni. Nie ma też możliwości, aby pomóc represjonowanym rodakom. Na razie cieszący się wsparciem Putina Łukaszenka sam zdecyduje, co z nimi zrobić.

Jedyne, co może czynić Warszawa, to dalej wspierać tę część antyłukaszenkowskiej opozycji, która chce mówić po białorusku i wymachiwać biało-czerwono-białą flagą, a zatem – nie chce być ani teoretyczną, ani praktyczną częścią „ruskiego świata". Proces emancypacji od Rosji, jeśli kiedykolwiek się zacznie, będzie długi i trudny. Ale warto przynajmniej spróbować pomóc tym, którzy by tego chcieli. Z białoruskimi patriotami nie mamy takich historycznych zatargów jak z ukraińskimi nacjonalistami. Zawsze można wskrzesić niesłusznie zapomnianą przeszłość Wielkiego Księstwa Litewskiego, które było tak naprawdę białoruskie z ducha. I przypomnieć, jak to ramię w ramię z WKL biliśmy Moskali. Jak równy z równym, a nie jak „polski pan" i jego poddani, wbrew narracji Kremla.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Z Krzysztofem Sobolewskim, posłem PiS, przewodniczącym Komitetu Wykonawczego Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Jeśli Kukiz, to i sędziowie pokoju

FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Czy Zjednoczona Prawica jest wciąż żywym bytem politycznym?

KRZYSZTOF SOBOLEWSKI: Jak widać chociażby po ostatnich głosowaniach w Sejmie, Zjednoczona Prawica trwa. Ma się nieźle, oczywiście mogłaby być w lepszej kondycji, ale sądzę, że ta kondycja będzie się wyłącznie poprawiała z upływem czasu. O tym, jak koalicja działa, o jej kształcie, decyduje kierownictwo Zjednoczonej Prawicy. Do tej pory od początku funkcjonowania całej formacji udawało się wszelkie sprawy kontrowersyjne, wszelkie różnice zdań wyjaśnić w ramach dialogu i teraz też zmierza to ku takiemu finałowi. Mamy przed sobą dużo do zrobienia i tylko jako Zjednoczona Prawica możemy to, z czym szliśmy do wyborów, co obiecaliśmy Polakom, zrealizować. Nie widzę innego rozwiązania.

Ten dialog będzie możliwy, kiedy Solidarna Polska zagłosuje, jak zapowiadają politycy tego ugrupowania, przeciw ratyfikacji Funduszu Odbudowy?

Po to jest ten dialog, żeby i w takich kwestiach można było doprowadzić do kompromisowych rozwiązań. Co do głosowania w kwestii Funduszu Odbudowy, to jeszcze wszystko przed nami. Przypomnijmy, że sprawa przyjęcia nowego budżetu unijnego, bo mówimy nie tylko o Funduszu Odbudowy, została dopiero co rozstrzygnięta przez Trybunał Konstytucyjny w największym państwie Unii Europejskiej, czyli w Niemczech. Wszystko jest przed nami. Jestem przekonany, że w tej sprawie różnice zdań między nami zostaną wyjaśnione.

A jak się ma sprawa z Porozumieniem? Czy przekaz, który wybrzmiał podczas niedawnej konwencji ze strony lidera tej formacji, Jarosława Gowina, nie był czymś w rodzaju deklaracji niezależności od PiS?

eprasa.pl 8cfe74c930

Ten przekaz, o którym pan mówi, jest zupełnie naturalny dla ugrupowania, które funkcjonuje na scenie politycznej i chce być zauważone. Nie jest to niczym nadzwyczajnym. Co do składanych podczas konwencji Porozumienia deklaracji, to czekamy, aż zostaną one przekute na konkretne projekty ustaw czy punktów programu, które moglibyśmy umieścić – jeśli takowe były zaprezentowane – w Nowym Polskim Ładzie, który, mam nadzieję, już niedługo będzie ogłoszony. Jeśli Porozumienie przedstawi pomysły na konkretne rozwiązania, to kierownictwo Zjednoczonej Prawicy będzie o tym rozmawiać i być może część z nich zostanie uwzględniona w Nowym Ładzie. Można powiedzieć, że to uzupełnienie debaty programowej, którą rozpoczęliśmy, ogłaszając zarys Nowego Polskiego Ładu. Dobrze, że taka debata toczy się w Zjednoczonej Prawicy, bo to powinno przełożyć się na korzystne rozwiązania dla Polaków.

Jarosław Gowin jest pełnoprawnym partnerem koalicyjnym? Czy to oznacza, że to on wygrał spór o przywództwo w Porozumieniu z Adamem Bielanem?

Kierownictwo Zjednoczonej Prawicy opiera się na dotychczasowym status quo. Stanowią je prezes Jarosław Kaczyński, minister Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin. Tutaj nie nastąpiły żadne zmiany.

Czy nadal aktualny jest scenariusz zasilenia Zjednoczonej Prawicy przez środowisko Pawła Kukiza?

Trwają rozmowy i nie wykluczamy takiego scenariusza. Ale to zależy także od decyzji samego Pawła Kukiza i jego politycznego otoczenia. Na pewno owocem tych rozmów będzie bliższa współpraca między Prawem i Sprawiedliwością a środowiskiem Pawła Kukiza, przejawiająca się m.in. w projekcie „sędziów pokoju".

Na początku maja rozstrzygną się losy wyboru posła Bartłomieja Wróblewskiego na nowego Rzecznika Praw Obywatelskich. Poseł Wróblewski został już wybrany przez Sejm. Czy uda się uzyskać skuteczną większość dla jego kandydatury także w Senacie, co oznaczałoby przełamanie trwającego od wielu miesięcy pata w sprawie wyboru nowego RPO?

Z natury jestem optymistą. Wierzę, że przynajmniej niektórzy senatorowie opozycji będą otwarci na refleksję, że dalsze trwanie w braku decyzji w tej sprawie dzieje się ze szkodą dla właściwego funkcjonowania państwa i demokracji. W efekcie poprą kandydaturę posła Wróblewskiego albo przynajmniej wstrzymają się od głosu, co pozwoli na objęcie przez niego tej zaszczytnej funkcji. Na tym założeniu opieram swój optymizm. Mam nadzieję, że tak się to potoczy, ale nie wykluczam też innych scenariuszy. W długiej historii wyborów Rzecznika Praw Obywatelskich widzieliśmy już różne scenariusze. Pat w sprawie wyboru RPO nie jest zresztą jakąś polską właściwością. W Hiszpanii od dwóch i pół roku nie udało się obsadzić tego urzędu.

Jest wiele filmów w sieci pokazujących, że Ikonowicz jest z kulturą na bakier. Miałbym sceptyczne nastawienie, gdyby miał on zostać zastępcą RPO

Poseł Wróblewski w jednym z wywiadów powiedział, że wyobraża sobie sytuację, w której jednym z jego zastępców mógłby być Piotr Ikonowicz, którego określił jako „ikonę walki o prawa lokatorów". Czy szef komitetu wykonawczego PiS też wyobraża sobie taką sytuację?

Mówimy o sytuacji czysto hipotetycznej w niepewnej przyszłości, dlatego nie chciałbym wchodzić w dywagacje. Pan Piotr Ikonowicz ma swoje zasługi, jeśli chodzi o ochronę praw lokatorów w Warszawie i w innych miastach w Polsce. W tym obszarze działania Piotra Ikonowicza można tylko pochwalić. Z politycznego punktu widzenia stoimy po całkowicie różnych stronach barykady, dzieli nas – mówiąc obrazowo – „wielki kanion". Ale mam też zastrzeżenia wobec Piotra Ikonowicza wobec niektórych jego zachowań i gestów. Jest wiele filmów w sieci pokazujących, że pan Ikonowicz jest z kulturą na bakier. Miałbym wobec takiej osoby bardzo sceptyczne nastawienie, jeśliby miała zostać zastępcą Rzecznika Praw Obywatelskich.

Czy projekt konserwatywnego przymierza, którego uczestnikami obok partii Fidesz węgierskiego premiera Viktora Orbána i włoskiego ugrupowania Liga Matteo Salviniego miałoby zostać Prawo i Sprawiedliwość, nabiera kształtu? Czy w tej sprawie coś wydarzyło się od rozmów w Budapeszcie w trójkącie Orbán-Salvini-Morawiecki?

Pewnych szczegółów kuchni politycznej się nie zdradza. Powiem tak: dzieje się dużo, ale tego rodzaju sprawy lubią ciszę. Mogę powiedzieć, że działania, które są podejmowane obecnie już nie przez szefów ugrupowań, lecz na poziomie ustaleń programowych i technicznych, idą w dobrym kierunku. Mam nadzieję, że niedługo będziemy mogli informować o efektach tych działań. Niektórzy mogą być zaskoczeni. Wiem, że są różne głosy ze strony opozycji, która podnosi, iż stajemy w jednej linii z przyjaciółmi Putina. Tymczasem chyba nie ma obecnie w Unii Europejskiej bardziej prorosyjskiej partii niż niemiecka CDU. Nie chcę przypominać, w jakiej frakcji w Parlamencie Europejskim jest CDU i kto do tej frakcji należy z polskiej strony. Takie argumenty odrzucamy a priori. Chętnie bym posłuchał merytorycznych uwag dotyczących naszych działań, a nie hipokryzji z ich strony. Co do przyszłości tego projektu mogę powiedzieć, że rysuje się ona bardzo optymistycznie i już niedługo będziemy mogli przedstawić jego zarys. Ale to wymaga ciszy i spokoju.

Czy wobec możliwości eskalacji konfliktu na wschodniej Ukrainie, prawdopodobnej agresji Rosji, w obliczu realnego zagrożenia naszego bezpieczeństwa widzi pan szansę na wyciszenie sporu politycznego w Polsce?

Liczę na to, że – jak to zawsze jest w przypadku Polaków i naszego narodowego charakteru – gdy mamy realne poczucie zagrożenia zewnętrznego, potrafimy się zjednoczyć i stawiać czoła temu zagrożeniu. Mam nadzieję, że nie dojdzie do gwałtownego zaognienia sytuacji na wschodzie Ukrainy i nie będzie się to rozwijać. Gdyby jednak taki scenariusz się potwierdził, wierzę, że wtedy wszelkie spory i podziały polityczne zejdą na dalszy plan. Tylko zjednoczeni możemy stawić czoła zagrożeniu i jednym głosem opowiedzieć się za tym, że nasza niepodległość i nasze bezpieczeństwo są najważniejsze, a wszelkie sprawy międzypolskie przy tym bledną. Swoją wiarę opieram na naszym doświadczeniu historycznym. Jestem przekonany, że nie znajdą się politycy, którzy wyłamią się z takiego myślenia. Jeśliby się znaleźli, to okryliby się na wieki hańbą i złą sławą. Zdrowy rozsądek podpowiada, że w tej sprawie w grę wchodzi tylko jeden wspólny polski głos, jedno wspólne stanowisko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

„Warto rozmawiać", ale nie wolno?

Agnieszka Niewińska

Goście obecnego od lat w TVP programu byli krytyczni wobec strategii walki z pandemią. Oburzyło to posłankę PiS. Emisję wstrzymano

Widzowie „Warto rozmawiać" w ubiegły poniedziałek na próżno skakali po kanałach publicznego nadawcy w poszukiwaniu kolejnego odcinka talk-show prowadzonego przez Jana Pospieszalskiego. Chociaż telewizyjne programy zapowiadały jego emisję jak co tydzień o godz. 20.35 na antenie TVP3 i powtórkę w TVP1 przed północą, to odbiorcom zaproponowano inne pozycje. O zmianie w ramówce nie wiedzieli nie tylko widzowie, lecz także twórcy „Warto rozmawiać".

„Przed wejściem do studia poinformowano nas, że program jest nagrywany i zostanie wyemitowany później" – napisał w mediach społecznościowych Jan Pospieszalski. Tematem programu miały być konsekwencje zdalnego nauczania. Szybko okazało się jednak, że brak „Warto rozmawiać" na antenie to nie okazjonalna zmiana. Pod znakiem zapytania stanęła nie tylko emisja odcinka z 19 kwietnia, lecz także obecność audycji w ramówce TVP.

KWESTIONOWANIE RZĄDU

Czarne chmury zebrały się nad programem po odcinku z 12 kwietnia. W ostrych słowach skrytykowała go posłanka PiS Joanna Lichocka, wchodząca w skład Rady Mediów Narodowych. „[…] jak to możliwe, że w TVP nadawany jest program atakujący walkę z epidemią, podważający politykę rządu w tej sprawie, podważający noszenie maseczek itp. To kolejny raz, gdy coś takiego dzieje się w TVP. Niedopuszczalne przekroczenie granic" – napisała na Twitterze. I zapowiedziała, że zwróci się do prezesa TVP o wyjaśnienia. Oskarżyła też Pospieszalskiego, że kieruje się partykularnym interesem. „Jan Pospieszalski jest zapewne przeciw lockdownowi, bo nie może zarabiać koncertami, a w mediach publicznych podważać w środku pandemii potrzebę noszenia masek, występować przeciw ograniczeniom itp. – no to jest jednak skandal".

Co tak wzburzyło posłankę Lichocką? Pospieszalski określił politykę rządu w dobie pandemii jako nieskuteczną. „Czy o sposobach radzenia sobie z covidową pandemią można otwarcie dyskutować? Czy stawianie tylko na powszechne szczepienia to jedyna bezpieczna strategia?" – pytał. Z zaproszonymi gośćmi dyskutował o cenie, jaką płacimy za lockdown – w sferze gospodarczej, społecznej i zdrowotnej. Tomasz Wróblewski z Warsaw Enterprise Institute, który wydał raport o ochronie zdrowia podczas pandemii, twierdził, że COVID-19 odpowiada za 0,03 proc. śmierci, i pytał, dlaczego ofiary koronawirusa są ważniejsze niż ofiary raka. Wśród gości znaleźli się m.in. dr Zbigniew Martyka, ordynator oddziału zakaźnego w szpitalu w Dąbrowie Tarnowskiej, i dr Zbigniew Hałat, epidemiolog i były wiceminister zdrowia, którzy od miesięcy krytykują przyjętą przez rząd strategię walki z koronawirusem. – Na temat maseczek jest ponad 100 publikacji naukowych, w tym wiele randomizowanych, z których jednoznacznie wynika, że noszenie maseczek w stosunku do nienoszenia nie daje żadnej istotnej przewagi statystycznej w ilości zachorowań – wskazał w programie dr Martyka.

Do studia „Warto rozmawiać" zapraszany był Rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej. Proponowano mu także nagranie wypowiedzi. Do redakcji przesłał jedynie odpowiedź pisemną odczytaną na wizji.

Przez ostatni rok w „Warto rozmawiać" wielokrotnie dochodziło do ostrych dyskusji na temat pandemii, jak np. ta z września 2020 r. – Śmiertelność jest niska. Czy Wy nie macie poczucia, że jesteśmy w jakimś domu wariatów? – pytał publicysta Maciej Pawlicki. – Pan by przyjął świadomość decyzji, która by się skończyła włoskimi konwojami trumien? – odpowiadał mu wirusolog prof. Włodzimierz Gut.

W jednym z pandemicznych odcinków skrytykowano brak wsparcia rządu dla niektórych zamrożonych branż. Pokazano reportaż o autokarowym przewoźniku, który stracił źródło utrzymania, nie ma środków na spłacenie kredytu zaciągniętego pod zastaw domu, który może zająć bank.

Obecny w TVP przekaz sprzeczny z rządową narracją musiał zostać w końcu dostrzeżony. Profesor Jacek Dąbala, medio-

eprasa.pl 8cfe74c930

FOT. TVP SA

znawca i audytor jakości mediów, nie jest zaskoczony zamieszaniem wokół programu. Wskazuje, że TVP jest w tej chwili nastawiona na wspieranie rządowego przekazu i nie ma tam miejsca na odmienne poglądy nawet w programach prowadzonych przez prawicowych dziennikarzy. – A trzeba podkreślić, że Jan Pospieszalski swojego światopoglądu nie ukrywa – mówi medioznawca. – Na program „Warto rozmawiać" trzeba spojrzeć z dwóch perspektyw. Jedna to ta profesjonalna, dziennikarska – wartość programu ocenia się po tym, czy twórcy dążą w nim do możliwie jak najbardziej bezstronnego przekazu, czy jest w nim równowaga poglądów. Druga perspektywa to perspektywa polityczna. I w tym przypadku to ona ma najwyraźniej największe znaczenie. Treść programu nie była po rządowej linii, więc musiało dojść do różnicy zdań między twórcami a posłanką Joanną Lichocką.

Zapytaliśmy biuro prasowe TVP, czy zawieszenie emisji „Warto rozmawiać" to reakcja na zastrzeżenia posłanki PiS. TVP nie odpowiedziało na nasze pytania, tylko odesłało nas do komunikatu Komisji Etyki TVP wydanego dzień po tym, jak „Warto rozmawiać" nie pojawiło się na antenie. Komisja uznała odcinek z 12 kwietnia za naruszający zasady etyki dziennikarskiej obowiązujące w TVP. „W audycji zaprezentowano wyłącznie głosy krytyczne wobec podejmowanych działań w walce z pandemią" – czytamy w komunikacie. Zaznaczono w nim także, że nadawca prowadzi rozmowy z producentem audycji, „dotyczące warunków utrzymania audycji w przyszłej ofercie nadawcy publicznego".

Co na to twórcy „Warto rozmawiać"? Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy" nie udało nam się skontaktować z Janem Pospieszalskim. Wcześniej dla Wp.pl powiedział, że rozmowy z TVP toczą się poza nim, a atak Lichockiej nazwał „nieuczciwym". Redakcja programu opublikowała też oświadczenie, w którym pisze, że nie przyjmuje do wiadomości orzeczenia Komisji Etyki TVP. „Orzeczenie to wydane zostało z pominięciem procedur, które zakładają wysłuchanie wszystkich stron prowadzonego postępowania. Prowadzący i producent programu nigdy nie zostali wezwani przed Komisję, by złożyć wyjaśnienia w sprawie programu z 12. 04. 2021" – czytamy.

– Każdy polityk ma prawo do własnej oceny programu telewizyjnego, nawet tej bardzo krytycznej. Tym, co niepokoi w przypadku „Warto rozmawiać", jest jednak koincydencja zdarzeń. Posłanka Joanna Lichocka zgłasza zastrzeżenia do programu i natychmiast znika on z anteny. To naruszenie zasady wolności słowa – mówi Jolanta Hajdasz, wiceprezes SDP i dyrektor Centrum Monitoringu Wolności Prasy. – Przypomnijmy, że dotyczy to programu publicystycznego. Jego twórcy mają prawo do przedstawienia własnych opinii, doboru gości i selekcjonowania dostępnych informacji. Na program trzeba też spojrzeć przez pryzmat innych programów z oferty TVP. W większości wspierają one rząd w walce z pandemią. Dlaczego więc na antenie nie miałby pojawić się jeden program kwestionujący zasadność środków podjętych w walce z koronawirusem? – pyta wiceprezes SDP. I deklaruje poparcie dla twórców „Warto rozmawiać". – Konsekwencje w postaci wstrzymania emisji programu są nadmierne i nieadekwatne do „winy". Zwłaszcza że nie dotyczy to telewizyjnych debiutantów, ale doświadczonego zespołu z dużym dorobkiem zawodowym, od wielu lat udowadniającego przez swoje programy, jak odpowiedzialnie i poważnie traktuje dziennikarstwo i misję mediów publicznych.

OBOK SIEBIE SENYSZYN I CEJROWSKI

To nie pierwszy raz, kiedy program „Warto rozmawiać" ma kłopoty. Wraz z pandemią został przesunięty z TVP Info do regionalnej TVP3, co przełożyło się na spadek oglądalności (średnio od czerwca to 80 tys. widzów w TVP3 i 122 tys. w TVP1 według Nielsen Audience Measurement). Nadawany jest od 2004 r. i – jak wskazuje sam Pospieszalski – zdejmowany z wizji był aż 11 razy. W 2011 r. o rozstaniu z programem zdecydowała ówczesna dyrektor TVP1 Iwona Schymalla. Na dobre program wrócił dopiero w 2016 r., ale jeszcze pod koniec 2011 r. Jan Pospieszalski prowadził w TVP program „Bliżej", który swoją formułą przypominał „Warto rozmawiać".

– Rzeczywiście, program „Warto rozmawiać" na wizji jest od wielu lat. Wynika to m.in. z tego, że Jan Pospieszalski ma zdolność do budowy dramaturgii w swoich programach telewizyjnych, co sprawia, że są one dynamiczne. To go wyróżnia spośród prawicowych dziennikarzy – ocenia prof. Jacek Dąbała.

Wiele audycji odbiło się szerokim echem, jak choćby dyskusja o edukacji seksualnej sprzed ponad dekady, do której zaproszono m.in. pedagoga i wykładowcę prof. Aleksandra Nalaskowskiego, polityk lewicy Joannę Senyszyn i znanego z konserwatywnych poglądów podróżnika Wojciecha Cejrowskiego. Przed trzema laty głośna była z kolei odmowa udziału w programie organizacji LGBT, którym w zaproszeniu do dyskusji napisano, że będzie mowa o „leczeniu homoseksualizmu". Twórcy nieraz pokazali, że nie stronią od zapraszania gości z różnych stron światopoglądowej barykady.

– Przypomnę, że był czas, kiedy w TVP był i program Jana Pospieszalskiego, i ten prowadzony przez Tomasza Lisa. Różne poglądy prezentowano w dwóch różnych programach – mówi prof. Dąbała.

Wówczas politycy PiS, nawet ustami samego prezesa Kaczyńskiego, bronili obecności program Pospieszalskiego w publicznej telewizji, wskazując m.in., że dziennikarz nie ulega poprawności politycznej. Czyżby teraz już nie było warto rozmawiać?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Tomasz Rowiński

Czy zarzuty wobec posła Porozumienia oraz lekarza – prof. Wojciecha Maksymowicza – mają wyłącznie polityczne tło?

FOT. DARIUSZ BLOCH/POLSKA PRESS/EAST NEWS

Terapie prof. Maksymowicza

We wtorek 13 kwietnia wiceminister zdrowia Wojciech Andrusiewicz poinformował media, że ministerstwo otrzymało informację, jakoby prof. Wojciech Maksymowicz, poseł Porozumienia, były wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, a także były minister zdrowia i opieki społecznej, miał dokonywać eksperymentów z użyciem ciał przedwcześnie urodzonych płodów. „Myślę, że kierując się przesłankami możliwych nieprawidłowości, daleko posuniętych nieprawidłowości, to pan prof. Maksymowicz powinien również oczekiwać jak najszybszego wyjaśnienia tej sprawy, bo może rzutować to na dalszą jego karierę" – powiedział Andrusiewicz, dodając, że wyniki dochodzenia zostaną upublicznione.

Profesor Maksymowicz zareagował już w środę. „Oświadczam, że nigdy ja, ani mój zespół, nie prowadziłem eksperymentów na płodach. Ani nie prowadziłem badań na żywych płodach ludzkich, ani na płodach pochodzących z aborcji. Dla mnie życie ludzkie jest najwyższą wartością i nie muszę tego udowadniać". Równocześnie lekarz opuścił Klub Parlamentarny PiS, choć nie wycofał swojego poparcia dla rządu.

Niedługo po tym poseł PiS Kamil Bortniczuk poinformował na Twitterze, że doniesienie, jakie otrzymało Ministerstwo Zdrowia, nie jest jedynym dokumentem oskarżającym Maksymowicza. Pojawiło się także zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa, którego autorem jest Mariusz Dzierżawski, szef Fundacji PRO – Prawo do Życia.

„Działając w imieniu Zawiadamiającego, zawiadamiam o możliwości popełnienia na terenie Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Olsztynie przestępstwa przez lekarza prof. dr. hab. med. Wojciecha Maksymowicza działającego wspólnie i w porozumieniu z lekarzem dr. hab. med. Tomaszem Waśniewskim, a polegającego na tym, że w okresie od 01.01.2016 r. do chwili obecnej sprawcy zabili nieustaloną liczbę dzieci przedwcześnie urodzonych poprzez otwarcie konającym dzieciom czaszek bez znieczulenia w celu wycięcia tkanek mózgowych połączonego z jednoczesnym dokonaniem nacięcia bez znieczulenia wzdłuż kręgosłupa dziecka i wydłubaniem żyjącym jeszcze dzieciom rdzenia kręgowego" – czytamy w zawiadomieniu do prokuratury.

„W świetle takich oskarżeń prof. Maksymowicz mógł opuścić Klub Parlamentarny PiS sam albo zostać natychmiast zawieszony do wyjaśnienia sprawy. Próba obrony poprzez nadawanie temu wydarzeniu charakteru politycznego to stosowanie przez niektórych kolegów z Porozumie-

eprasa.pl 8cfe74c930

nia doktryny Neumana" – skomentował na Twitterze treść pozwu Bortniczuk. 19 kwietnia Bortniczuk usunął jednak swój wpis. „To zbyt trudna etycznie sprawa, aby rozstrzygali ją internauci. Niech się tym zajmują odpowiednie służby. Jeśli doniesienie okaże się nieuzasadnione – to oczywiście przeproszę" – napisał.

Mariusz Dzierżawski powiedział „Do Rzeczy", że nie ma nic wspólnego z ujawnieniem treści zawiadomienia, które leży w prokuraturze od wielu miesięcy – od czerwca 2020 r. – i że dziś obawiałby się o bezpieczeństwo swoich informatorów.

WĄTPLIWOŚCI MEDYCZNE?

Jak wygląda polityczna obrona prof. Maksymowicza? Po pierwsze, że mamy do czynienia z zemstą lokalnych olsztyńskich struktur PiS za to, że Jarosław Kaczyński zrobił prof. Maksymowicza lokomotywą wyborczą. Zuzanna Dąbrowska z „Rzeczpospolitej" za oczywistą przyczynę ataków uznała krytyczny stosunek Maksymowicza do polityki epidemicznej Ministerstwa Zdrowia. Niełatwo jednak zrozumieć, dlaczego Dąbrowska uważa, że „trudno o lepszego w tej sprawie fachowca niż były minister, neurochirurg, a do tego – obecnie – poseł pracujący zawodowo po odejściu z resortu na oddziale covidowym w Olsztynie". Tymczasem neurochirurgia nie ma związków z epidemiologią, a pomysły prof. Maksymowicza dotyczące leczenia konsekwencji COVID-19 zostały krytycznie zrecenzowane przez Komitet Biotechnologii PAN, Polskie Towarzystwo Immunologii Klinicznej i Doświadczalnej czy Komitet Immunologii i Etiologii Zakażeń PAN. Komitet Biotechnologii PAN pisał w marcu 2020 r.: „Dla niespecjalistów pomysł zastosowania komórek macierzystych w terapii COVID-19 może się wydawać uzasadniony. Tymczasem brak jest podstaw do stosowania leczniczego takich komórek u pacjentów z tą chorobą. Sugestia przedstawiona przez prof. Maksymowicza wpisuje się w niepokojącą i niebezpieczną dla pacjentów tendencję oferowania niezidentyfikowanych komórek w terapii wielu chorób".

Oczywiście jest prawdopodobne, że zarzuty wobec prof. Wojciecha Maksymowicza wypłynęły właśnie teraz, ponieważ były potrzebne jako pożywka dla politycznej rozgrywki. Poseł Kamil Bortniczuk jest byłym członkiem Porozumienia Jarosława Gowina, który w wewnętrznym sporze o władzę, który dotknął tę partię, stanął po stronie Adama Bielana. Już sama akcja Bielana, próbującego przejąć władzę w partii, wydaje się być działaniem obliczonym na osłabienie niewygodnego koalicjanta PiS. Uderzenie w prof. Maksymowicza, szczególnie jeśli będzie skuteczne, nie pomoże Gowinowi w odbudowie jedności partyjnego zaplecza.

LINIA OBRONY

Jednocześnie dziwi, że linia medialnej obrony prof. Wojciecha Maksymowicza opiera się na dyskredytacji Mariusza Dzierżawskiego jako szalonego pro-lifera, posła Bortniczuka jako rewanżysty czy olsztyńskiej „Debaty" jako PiS-owskiego portaliku. Jednak „Debata" tematem praktyk medycznych Maksymowicza nie zaczęła się zajmować tydzień czy miesiąc temu. Jeśli zarzuty tam stawiane są bezpodstawne, to wystarczyłoby kilka merytorycznych odpowiedzi na pytania, które dziennikarze pisma – wedle ich własnych deklaracji – słali do Maksymowicza i różnych odpowiedzialnych za nadzór instytucji wielokrotnie. Niezależnie bowiem od gier politycznych zarzuty wobec prof. Wojciecha Maksymowicza dotyczą nie tylko pobierania tkanek od utraconych płodów, lecz także oferowania drogich i nieskutecznych terapii z użyciem komórek macierzystych osobom umierającym na stwardnienie zanikowe boczne.

„Z treści apeli chorych na SLA w Internecie wynika, że często mieli oni najpierw jedno do trzech podań »komórek« bezpłatnie w Klinice Neurochirurgii i Neurologii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego, kierowanej przez prof. Wojciecha Maksymowicza, a na kolejne, płatne podania byli kierowani do ITK [Instytutu Terapii Komórkowych, firma medyczna prof. Maksymowicza – przyp. T.R.] albo neurolodzy z tej Kliniki od razu kierowali chorych do ITK" – pisze dziennikarz „Debaty" Adam Socha. I dodaje: „Lekarze ci nie mieli ani jednego obiektywnego dowodu, iż »terapia komórkowa« działa, poza efektem »złudzenia terapeutycznego«. [...] Nikomu z tych chorych »terapia komórkowa« nie pomogła. Ci, którzy zapłacili ITK nawet ponad 100 tys. zł za sześć–osiem podań, albo zmarli, albo są dzisiaj »roślinkami«".

W tej sprawie także interweniował Komitet Biotechnologii PAN.

SPRAWA PŁODÓW

O co jednak chodzi z płodami? Profesor Wojciech Maksymowicz w 2019 r. ogłosił, że będzie pobierał tkanki z rdzenia kręgowego i mózgowia zmarłych płodów ludzkich, by leczyć osoby z SLA i chorych w śpiączce po ciężkich uszkodzeniach mózgu.

„Zacząłem robić to w Polsce, współpracując z oddziałami ginekologii. Gdy dostawaliśmy sygnał, że jest poronienie w toku i dziecko już umarło albo niebawem umrze, prosiliśmy zaprzyjaźnionych ginekologów, by przekonali rodziców do wyrażenia zgody na pobranie komórek" – tak o pobieraniu komórek macierzystych z płodów Maksymowicz mówił w kwietniu 2018 r. w wywiadzie dla Onet.pl. Ze śledztwa prowadzonego przez „Debatę" wynika, że nie wiadomo, gdzie te praktyki miały miejsce, kto podpisywał akty zgonu, ile czasu mijało od zgonu do pobrania tkanek, czy komórki były żywe, czy martwe itd.

Wreszcie nie są znane odpowiedzi na pytania zawarte w pozwie Dzierżawskiego, czy wywierano bezprawną „presję na pacjentki zagrożone poronieniem w celu wymuszenia na nich zgody na pobranie tkanek poronionego dziecka, nie informując matek o zbrodniczych praktykach, którym mogą zostać poddane ich dzieci, w zamian miał oferować pieniądze za badania genetyczne" oraz czy „zapewniano matki, że ich dzieci umierają jeszcze w łonie matki przed samoistnym porodem". To ważne pytania, ponieważ – jak powiedział jeden z ekspertów Adama Sochy – pobieranie martwych komórek z martwych płodów jest czymś zupełnie bezsensownym.

Profesor Wojciech Maksymowicz odpowiadał, że prof. Religa też był atakowany za swoje nowatorskie metody i że jego spotyka to samo. W wywiadzie dla „Wprost" wspomniał także o płodach w kontekście metody medycznej, której badania ostatecznie miał nie kontynuować z powodów finansowych i patentowych: „Polegają one na tym, że wtedy, kiedy dochodzi do naturalnego poronienia (bo część ciąż kończy się naturalnym poronieniem), pobiera się komórki i wykorzystuje je do leczenia ciężko chorych ludzi, z poważnymi uszkodzeniami mózgu [...]. Jedynie w kilku przypadkach został pobrany materiał do dalszych badań – z płodów po naturalnym poronieniu".

Niestety z prof. Wojciechem Maksymowiczem nie udało nam się skontaktować.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Niewolność słowa

Kamila Baranowska

Liberalno-lewicowe media są tolerancyjne do momentu, gdy piszesz i wygłaszasz opinie, które im pasują. Gdy jest inaczej, tolerancja znika. O czym po raz kolejny przekonał się na własnej skórze lewicowy publicysta Rafał Woś

Z końcem maja Rafał Woś kończy swoją dwuipółletnią współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym", o czym sam poinformował na Twitterze. „Decyzję uważam za błąd pisma – stwierdził. – Czytelników zapraszam, byśmy zostali razem. W przyszłość patrzę z optymizmem. Zamierzam nadal upominać się o godność i równość" – dodał jeszcze.

Kilka dni po informacji o zakończeniu współpracy z „Tygodnikiem Powszechnym" Woś opublikował na łamach „Super Expressu" gorzki felieton o polskich mediach. Trudno jego słów nie odczytywać w kontekście rozstania z „Tygodnikiem". Tekst zatytułował „Medialny Związek Radziecki".

„Nasze elitarne media już nawet nie udają, że są czymś więcej niż propagandowymi przybudówkami swoich walczących o władzę i wpływy obozów politycznych – czytamy. – […] Najgorzej jest u liberałów, gdzie po prostu nie ma już żadnego miejsca na jakąkolwiek inność. Jeśli odmawiasz uczestnictwa w seansach nienawiści i odczłowieczania przeciwnika, to daję ci pół roku. Potem albo pękniesz, albo wylecisz. Prawica też niestety się na liberałów orientuje. W efekcie procesy stadnego samoutwierdzenia i oblężonej twierdzy wcale tam nie słabą – lecz przeciwnie, raczej się pogłębiają" – pisze Woś.

PARTYJNE ZAANGAŻOWANIE

– W moim subiektywnym odczuciu to zjawisko ogromnego zawężenia debaty publicznej mocno przyspieszyło w ostatnich trzech latach. Kierownictwa redakcji przechodzą na stanowiska pryncypialne, wobec czego reszta redakcji ma się albo dostosować, albo będzie wypychana – precyzuje w rozmowie z „Do Rzeczy" Woś. – Z całą świadomością podtrzymuję opinię, że bardziej zamykają się media liberalne, które dziś, gdy rządzi PiS, czują, że są w defensywie, że coś tracą, więc reagują na wszystko nerwowo. Ale prawica też niebezpiecznie podąża w tym kierunku. Trwa więc ten wyścig zbrojeń, a spektrum głosów, które można usłyszeć czy przeczytać w danym medium, stale się zawęża. Do niczego dobrego to nie może prowadzić – uważa Woś.

„O dwóch takich, którzy irytują wszystkich" – tak okładkę, poświęconą Rafałowi Wosiowi i Grzegorzowi Sroczyńskiemu (dawniej „Gazeta Wyborcza", dziś TOK FM i portal Gazeta.pl), zatytułował trzy lata temu branżowy miesięcznik „Press".

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI/FORUM

eprasa.pl 8cfe74c930

Woś to publicysta specyficzny. Zdeklarowany lewicowiec, który swą lewicowość realizuje bardziej w postulatach ze sfery społeczno-ekonomicznej niż światopoglądowej. I rozlicza z nich polityczną lewicę, więc nic dziwnego, że jest dla niej niewygodny. Nie wspominając już o liberałach, których konsekwentnie krytykuje za transformację i wszystko, co z niej wynikło. Oraz za antypisizm, który odbiera im zdrowy osąd w ocenie rzeczywistości. Na prawicy Woś i jego publicystyka budzą przede wszystkim ciekawość, bo są czymś ożywczym na tle ciągłych utyskiwań o złym Kaczyńskim i totalitarnym państwie PiS. Woś wręcz przeciwnie – chwalił PiS za programy społeczne i zerwanie z liberalnym dogmatyzmem.

Pech chciał, że akurat w tym samym roku, w którym PiS objął władzę, Woś rozpoczął pracę w tygodniku „Polityka". Wierzył, że w tytule o lewicowej, jak myślał, wrażliwości zakotwiczy się na dłużej.

„Rafał Woś ma tylko 33 lata i bez wątpienia jest w swoim pokoleniu jednym z najlepszych, najciekawszych autorów. Co ważne (i rzadkie), red. Woś zajmuje się tematyką ekonomiczną, a właściwie ekonomią polityczną, bo o gospodarce pisze w kontekście wielkich sporów ideowych, społecznych i politycznych współczesnego świata" – zachwalał ten transfer Jerzy Baczyński, redaktor naczelny „Polityki". Szybko okazało się, że Woś może i jest dobrym oraz ciekawym autorem, jednak zbyt mocno odbiegającym od antypisowskiej linii pisma. Bo gdy tygodnik był na wojnie z PiS, Woś publikował obrazoburcze felietony, w tym ten najgłośniejszy, apelujący do parlamentarnej Lewicy, by rozważyła wejście w strategiczny sojusz z PiS. „Lewico, czas na współpracę z PiS. Trzeba budować z Kaczyńskim demokratyczny socjalizm" – pisał Woś w felietonie opublikowanym gościnnie na portalu Gazeta.pl.

Redakcja „Polityki" najpierw publicznie odcięła się od swojego autora, podkreślając, że za linię redakcji odpowiadają inni publicyści, a Woś jest dziennikarzem ekonomicznym, a na koniec po prostu zakończyła z nim współpracę. Rzeczywiście, przez część zawodowego życia Woś pisał głównie o ekonomii, ale w pewnym momencie coraz odważniej wchodził w tematy polityczne, uważając, że nie da się spraw gospodarczych od polityki oderwać.

– Dopóki piszesz o sprawach niemających bezpośredniego wpływu na układ sił, procesy polityczne, na to, kto sprawuje władzę, dopóty wszystko jest OK. Zdaję sobie sprawę, że gdybym pozostał przy robieniu wywiadów z noblistami z ekonomii, byłbym zadowolony i syty wewnątrz obozu liberalnego. Jednak gdy zacząłem łączyć kropki i od tematów ekonomicznych przechodzić do politycznych, dotykając kluczowych politycznych spraw, to nagle stałem się niewygodny i uwierający – opowiada Woś. – Ale ja chcę uczciwie uprawiać swój zawód i nie dam się zepchnąć do oślej ławki – dodaje.

Właściwie winę za to, że Woś znowu musi szukać pracy, ponosi PiS. Tak w rozmowie z „Do Rzeczy" ironizuje on sam. – Gdyby PiS prowadził liberalną politykę gospodarczą à la Zyta Gilowska, to krytykowałbym na potęgę. A skoro prowadzi inną, to nie mogę kłamać. Zawsze walczyłem o sprawy i nie ma dla mnie znaczenia, kto je realizuje. Mój „pech" polega na tym, że robi to ugrupowanie, które nie podoba się środowisku, w którego ramach przez parę ostatnich lat funkcjonowałem – wzdycha.

Ci, którzy obserwują działalność Wosia, dostrzegają pewną ewolucję w jego nastawieniu względem własnego środowiska. Dzisiaj Woś nie przebiera w słowach, krytykując je. Jedni widzą w tym frustrację, drudzy – znienawidzony symetryzm, trzeci – oportunizm i dryf ku prawicy, a jeszcze inni – niezależność myślenia i odwagę, by ponieść jej konsekwencje.

Rafał Woś jest autorem kilku książek z dziedziny polityki i ekonomii, m.in. głośnej „Dziecięcej choroby liberalizmu" czy „To nie jest kraj dla pracowników". W 2019 r. ukazała się jego „Zimna trzydziestoletnia. Nieautoryzowana biografia polskiego kapitalizmu". Jest też autorem scenariusza do powstającego filmu o Edwardzie Gierku (premierę przewidziano na ten rok).

DZIECKO POLSKIEJ PROWINCJI

Woś urodził się w niewielkim Myszkowie, trzydziestoparotysięcznym miasteczku na Śląsku. Studiował na Uniwersytecie Warszawskim, a przez semestr także na uniwersytecie w Hamburgu. Gdy zaczynał pracę w mediach, miał już dość ugruntowane poglądy. – Jestem dzieckiem polskiej prowincji lat 90. i dysonansu, jakiego wtedy na każdym kroku doświadczałem. Z jednej strony opiniotwórcze media liberalne mówiły, że jest bardzo dobrze, a z drugiej sam widziałem, że jest bardzo źle, że wielu ludzi jest niesprawiedliwie traktowanych i że coś tu nie gra. Buntowałem się przeciw niesprawiedliwości – opowiada.

Woś, jeszcze jako dziennikarz stricte ekonomiczny, zbierał wiele dziennikarskich nagród. Ma na koncie m.in. Grand Press Economy, Nagrodę im. Dariusza Fikusa, wyróżnienie SDP oraz wiele innych nominacji. – Duża część mojego życia zawodowego to dyskusje z ludźmi, którzy decydowali o kształcie transformacji, bądź z tymi, którzy ją wspierali medialnie. To były i są moje najbardziej rozczarowujące rozmowy. Prawie nikt, nawet po latach, nie chce się cofnąć o krok, przyznać do błędów, pochylić nad krytyką. Jest brnięcie w tłumaczenie o słuszności raz podjętych decyzji. Na tym polega słabość naszych elit, także medialnych – zbyt wiele zainwestowały w swoje biografie, by się cofnąć w jakiejkolwiek sprawie – uważa.

Na razie nie podjął jeszcze decyzji co dalej. Mówi, że nie wie jeszcze, czy uda mu się związać na stałe z jakąś redakcją, czy pozostanie sam sobie sterem i żeglarzem, pisząc do kilku miejsc jednocześnie. Już dziś to zresztą robi. Jego felietony czy teksty można znaleźć w „Super Expressie", „Dzienniku Gazecie Prawnej", a od niedawna także na Interii.

Publicysta „Polityki" Jacek Żakowski tuż po rozstaniu się tego tytułu z Wosiem opublikował na łamach „Gazety Wyborczej" felieton pt. „Demokrato, nie strzelaj do wichrzycieli". W tekście nie pada nazwisko Wosia, ale trudno nie dostrzec aluzji wobec tego, jak jego własne środowisko potraktowało nieprawomyślnego publicystę.

„[…] im sytuacja trudniejsza, tym większa jest samobójcza tęsknota za jednością, więc rosną pokusa zgody i jednomyślności oraz dążenie do wykluczania odmieńców i powszechny lęk przed wyrzuceniem z grupy" – napisał Żakowski. I choć, jak dowodzi dalej, „przeważnie to wichrzyciele są w błędzie", to uznaje, że nie warto ich uciszać, bo „ich błędy wzmacniają grupę". „Konfrontując się z nimi, inni muszą lepiej zrozumieć własne myśli i czyny" – uważa Żakowski. „Czasy są ciężkie. Może nawet krytyczne. To tworzy pokusę grupowych konsolidacji i eliminowania odmieńców. Jeśli jednak chcemy, by znów dobre czasy nastały, nie możemy tracić »naszych wichrzycieli«. I musimy odzyskać tych, których straciliśmy wcześniej. Bez nich nie dolecimy do celu" – takim apelem zakończył swój felieton Żakowski. Apelem, patrząc na los Rafała Wosia w „Tygodniku Powszechnym", kompletnie niewysłuchanym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Zdjęcie z mostku kapitańskiego „Wichra" w czasie powrotu z Piłsudskim z Madery. Pierwszy z lewej: Józef Woźnicki, dziadek Piotra Semki ze strony mamy FOT. ARCHIWUM PIOTRA SEMKI

Kolejny fragment książki „Piątka u Semki" (Zysk i S-ka), wywiadu rzeki z Piotrem Semką
przeprowadzonego przez Jana Hlebowicza

Dziadek Jan i dziadek Józef

JAN HLEBOWICZ: Twój dziadek Jan w okresie międzywojennym był nie tylko nauczycielem, lecz także aktywnym członkiem Polskiego Związku Zachodniego, czyli polskiej organizacji patriotycznej powstałej w 1934 roku. Czym się zajmował?

PIOTR SEMKA: Dziadek, będąc aktywistą PZZ, miał cały czas kontakt z polskim kontrwywiadem. Zajmował się głównie demaskowaniem komórek nielegalnego Selbstschutzu, czyli niemieckiej organizacji paramilitarnej zrzeszającej osoby narodowości niemieckiej zamieszkujące tereny polskie, między innymi Pomorze. Dziadek jeździł do Warszawy, bijąc na alarm w odpowiednich urzędach. Informował chociażby, że miejscowa policja (między innymi z Torunia) patrzy przez palce na niemal jawne ćwiczenia Selbstschutzu i bagatelizuje systematycznie wysyłane przez dziadka meldunki. Miejscowi Niemcy wielokrotnie straszyli go: „Jak nasi wejdą, to będzie po tobie". Te groźby się potwierdziły. Dziadek tuż przed wojną dowiedział się, że hitlerowski Volksgericht – kapturowy niemiecki organ odpowiedzialny za liczne zbrodnie sądowe – w zemście za walkę dziadka z Selbstschutzem skazał go na karę śmierci.

Dziadek uciekł przed gestapo?

Dwa dni po rozpoczęciu drugiej wojny światowej rodzina opuściła wieś Ostrowo pod Inowrocławiem i uciekła różnymi środkami lokomocji do Warszawy. Świadomy, że znajduje się na liście proskrypcyjnej gestapo, dziadek w ostatniej chwili postanowił jednak wyjechać ze stolicy. Zacierając za sobą wszystkie ślady, pod zmienionym nazwiskiem dotarł do Brześcia Kujawskiego, gdzie pracował jako wagonowy. Później zatrudnił się w firmie budowlanej w Mielcu. Po wielu perypetiach przyjął w końcu funkcję zarządcy majątku tzw. Liegenschaftu w Kacicach koło Miechowa. Jako osoba znająca doskonale ziemię sztumską uczestniczył w pracach zespołu delegatury Rządu na Kraj, przygotowując plany zagospodarowania ziem, które przejmie od Niemiec zwycięska – jak wierzono – Polska.

Dziadek Jan zaangażował się także w działalność konspiracyjną.

Niemal na samym początku wojny przystąpił do Narodowej Organizacji Wojskowej. Później, po podporządkowaniu części NOW Armii Krajowej, działał w ramach tej drugiej konspiracyjnej organizacji.

Oprócz dziadka Jana w AK znaleźli się wszyscy jego trzej synowie, między innymi twój ojciec, Leopold Jerzy.

Dziadek wolał kontrolować konspiracyjne zaangażowanie swoich synów. Wszyscy wstępowali w szeregi AK pod jego okiem. Dbał, by w żadnej akcji nie brał udziału więcej niż jeden z jego synów. Wiem, że gdy tylko wybuchło powstanie warszawskie, lokalny oddział AK, w którym było aż czterech Semków, postanowił przebić się w kierunku stolicy. Dążyli do tego głównie młodzi żołnierze, dowództwo było bardziej powściągliwe. Z relacji brata mojego ojca wiem, że ostatecznie nic z tego nie wyszło. Gdy młodzi pytali, co z marszem na Warszawę, starsi tylko klęli i zbywali ich. Wszyscy zadawali sobie pytanie: „Jak to możliwe, że Warszawa walczy, a Rosjanie stoją na linii Wisły i jej nie pomagają?". Nikt nie potrafił tego zrozumieć. Młodzi akowcy zastanawiali się: „Przecież nawet jeśli Sowieci nie kochają zbytnio AK, to jak mogą nie wykorzystać takiej okazji do zdobycia największego polskiego

eprasa.pl 8cfe74c930

miasta?". Wszelkie wątpliwości się rozwiały, gdy na tereny okolic Miechowa zaczęli napływać uciekinierzy z Warszawy, wówczas okazało się bowiem, jak wielka była skala klęski. W szeregi oddziału, w którym służyli dziadek i jego synowie, po cichu wkradła się apatia. Wtedy, jak opowiadali, zrozumieli, że to koniec marzeń o wielkim triumfie. Pozostało czekać na wejście Rosjan.

Co się stało z majątkiem w Kacicach i twoją rodziną po wejściu Armii Czerwonej?

Zaczęła się parcelacja. Po kilku miesiącach nie było już z czego się utrzymać. W pobliskim Miechowie na rynku stały wielkie blejtramy z wizerunkami przywódców PKWN. Mojemu dziadkowi i jego synom nazwiska „ludzi z Lublina" nic nie mówiły. Wszyscy określali ich „bandą Wasilewskiej". Moja rodzina uznawała za legalny rząd w Londynie. Wierzyli, że Zachód ma wobec Polaków dług wdzięczności za ilość przelanej krwi i pozbędzie się komunistów z terenów Polski […].

Jan Semka swoim synom kategorycznie zabronił kontynuowania walki. Jednak sam […] ponownie związał się z ruchem oporu. Dokładnie ze słynną 5. Wileńską Brygadą Armii Krajowej dowodzoną przez majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę", która pojawiła się na Pomorzu jesienią 1945 roku.

Dziadek, korzystając ze swojego stanowiska, legalizował podwładnych „łupaszkowców", obsadzając nimi poniemieckie gospodarstwa. Jeden z majątków objął sam major „Łupaszka". Gdy wileńskim dowódcą zaczął się interesować UB, przy pomocy mojego dziadka Szendzielarzowi zostało oddane we władanie gospodarstwa Jodłówka. Kiedy ta współpraca się rozpoczęła? Do końca nie wiadomo. Z pewnością kluczowe było poznanie przez mojego dziadka Mariana Romanowskiego, repatrianta z Wilna i żołnierza Okręgu Wileńskiego AK, który także przyjął stanowisko komisarza ziemskiego PUZ na ziemi sztumskiej. Szybko nawiązał z nimi kontakt Wacław Beynar, pseudonim Orszak, który działał w strukturach 5. Wileńskiej Brygady AK. Do siatki konspiracyjnej włączony został także Ottomar Zielke, zatrudniony w sztumskim więzieniu. W czerwcu 1946 roku dziadek zaczął organizować tajny szpital, w którym potem kurował się porucznik Zdzisław Badocha „Żelazny", ranny w trakcie wygranej potyczki z oddziałem UB/MO w Tulicach.

Niedługo potem UB rozpoczął akcję likwidacji siatki konspiracyjnej.

Pod wpływem brutalnego śledztwa zdradziła jedna z najbardziej zaufanych łączniczek „Łupaszki" Regina Mordas-Żylińska, pseudonim Regina. 29 czerwca 1946 roku mój dziadek został aresztowany przez UB. Trafił do cieszącej się złą sławą katowni stalinowskiej przy ulicy Kurkowej w Gdańsku […]. Śledztwo zakończyło się w sierpniu. 27 września dziadek usłyszał wyrok trzech lat pozbawienia wolności. Po kilku miesiącach wyszedł z więzienia na mocy amnestii. Musiał jednak opuścić teren Powiśla i wyjechać na Pomorze Zachodnie, gdzie objął nadzór nad majątkiem ziemskim Sulino koło Choszczna […].

Równie ciekawy życiorys co Jan Semka miał Józef Woźnicki, twój drugi dziadek, ze strony mamy. Jest jednak zasadnicza różnica. W przeciwieństwie do dziadka Jana, dziadka Józefa nigdy nie widziałeś...

Rzeczywiście, znam go tylko ze zdjęć. Zmarł w 1957 roku, czyli osiem lat przed moimi urodzinami. Dziadek Józef urodził się w 1893 roku w Wilnie. Wybrał służbę w rosyjskiej, imperialnej marynarce. Podchorążówkę skończył już w czasie pierwszej wojny światowej w fińskim porcie Kotka – wówczas była to część terytorium imperium Romanowów.

Jednak w 1920 roku był już w Polsce i walczył z bolszewikami.

Był dowódcą kanonierek i łodzi patrolowych na Prypeci. Dwa lata później skończył Tymczasowy Instruktorski Kurs w Szkole Marynarki Wojennej w Toruniu. Następnie został skierowany do Wolnego Miasta Gdańska do pracy w Wydziale Wojskowym Komisariatu Generalnego RP. W latach 30. służył na kontrtorpedowcu „Wicher".

W zbiorach rodzinnych zachowało się zdjęcie twojego dziadka z Józefem Piłsudskim. W jakich okolicznościach je zrobiono?

Polska Marynarka Wojenna okresu międzywojnia stanowiła specyficzny konglomerat oficerów działających wcześniej w zaborze rosyjskim, pruskim i austriackim. Wszystkie frakcje rywalizowały ze sobą i wzajemnie się zwalczały. Dziadek nadzorował we Francji budowę kontrtorpedowców „Wicher", „Grom" i „Burza". W pewnym momencie jego kariera zatrzymała się z powodu jakichś wewnętrznych animozji. Dziadek skorzystał, że wysłano go na kontrtorpedowcu „Wicher" na Maderę po Piłsudskiego. Postawiony pod ścianą, zwrócił się bezpośrednio do Piłsudskiego jako głównego zwierzchnika sił zbrojnych z prośbą o podjęcie pracy w Sztabie Generalnym. Udało się, ale naraził się na powszechną krytykę ze strony innych oficerów – ominięcie oficjalnej drogi służbowej było bardzo źle widziane. Ostatecznie krótko przed wojną został oddelegowany do dowództwa marynarki w Warszawie. Tam skończył studia inżynierskie na Wydziale Geodezji Politechniki Warszawskiej. W stolicy zastała go wojna.

Józef Woźnicki pod pseudonimem Walek wszedł do grupy konspiracyjnej „Alfa", skupiającej oficerów marynarki, którzy pozostali w Warszawie.

Dziadek kierował Wywiadem Morskim Komendy Głównej AK. Do największych sukcesów „Alfy" należy zaliczyć dogłębne zbadanie przywiezionego do Warszawy pocisku V-2, który wydobyto z rzeki w okolicach poligonu w Bliźnie. Zadaniem mojego dziadka było rozpracowanie systemu żyroskopów, które służyły utrzymaniu się rakiety na wyznaczonym kursie. Za wykonanie tej analizy został na wniosek Brytyjczyków odznaczony przez Naczelnego Wodza w Londynie Złotym Krzyżem Zasługi z Mieczami.

Informację o odznaczeniu dostał w przededniu wybuchu powstania warszawskiego.

Dziadek przeżył piekło powstania. Miał wtedy 51 lat. Jego wartość w AK nie opierała się na doświadczeniu bojowym, więc w bezpośrednich walkach nie brał udziału, aczkolwiek jako zmobilizowany oficer był uczestnikiem powstania. Poprzez obóz w Pruszkowie trafił do małej wioski Małecz. Po wejściu Rosjan 19 stycznia 1945 roku rozpoczął starania o powrót na Pomorze, do Gdyni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wybrał Jan Hlebowicz.

eprasa.pl 8cfe74c930

FOT. ADOBE STOCK

Pandemia oszustw

Łukasz Zboralski

Piszą sprawdziany, podczas odpytywania podpowiadają szeptem – rodzice, którzy za wszelką cenę chcą „pomóc" swoim dzieciom, stają się zmorą nauczycieli oraz tych uczniów, którzy pracując uczciwie, dostają oceny słabsze od nich

Ponad rok zdalnego nauczania odciska swoje piętno na dzieciach. Cierpią psychicznie, tracą wiedzę i umiejętności, a w przyszłości raczej będą zarabiać mniej niż obecne pokolenia (pisaliśmy o tym w „Do Rzeczy" z 6 kwietnia). Czasem te kłopoty wzmagają nauczyciele, którzy w jakiś sposób chcą weryfikować, czego nauczyły się dzieci – to zamienia się w stresujące ciągi elektronicznych sprawdzianów na czas, by wykluczać niesamodzielną pracę. Jest jeszcze inna, ciemna strona domowego nauczania, o której się nie wspomina. To rodzice, którzy wykorzystują obecną sytuację, by zawyżać oceny swoich dzieci.

SZEPT NA E-LEKCJI

– To, że rodzice angażują się w domu w pracę z dzieckiem, jest czymś pozytywnym. Jednak jest wiele przypadków, gdy przekracza to etyczny i racjonalny wymiar – opowiada Anna, nauczycielka języka polskiego w podwarszawskiej szkole podstawowej (imiona nauczycieli i dzieci w tekście zostają zmienione, nie podaję także nazw szkół, by nie piętnować dzieci za winy dorosłych). – Przez ten rok szkolny spotykałam się z wieloma przypadkami, gdy rodzice uniemożliwiali mi sprawdzenie wiedzy ucznia. Było to na tyle bezczelne, że podczas rozmowy z uczniem słychać było nawet szept rodzica, suflującego właściwe kwestie. Kilka razy nie wytrzymałam i przerywałam zajęcia. Powiedziałam wprost, że słyszę, iż ktoś dziecku podpowiada, i proszę, żeby się od tego powstrzymać. Oczywiście nie miałam żadnej kontroli nad tym, że dalej się to działo, tylko ciszej. W niektórych przypadkach wiem, że tak było, bo prowadzę uczniów przez wiele lat i dobrze wiem, na co ich stać.

eprasa.pl 8cfe74c930

Zresztą czasem można to zweryfikować. Dzieci podają właściwe odpowiedzi, ale już nie potrafią wytłumaczyć ich w szerszym kontekście – opisuje.

– Czasem słyszę, że rodzic podpowiada dziecku na lekcji podczas odpowiedzi. Czasem nie reaguję, czasem po prostu próbuję obrócić to w żart, głośno mówiąc: „O, widzę, że mama dobrze podpowiada" – mówi Mariola, nauczycielka w podstawówce w stolicy. – Takie sytuacje zdarzają mi się najczęściej w klasach młodszych – IV i V. Ja podczas pandemii akurat nie testuję dzieci na ocenę, dlatego mnie to może mniej denerwuje. Natomiast wiem, że irytuje to inne dzieci, które są świadkami takiej sytuacji. Jako wychowawczyni dostaję też sygnały od nauczycieli, którzy mówią, że przeciętny uczeń nagle na zdalnym nauczaniu zaczął pisać sprawdziany na same piątki. A podczas rozmowy na lekcji widzimy, że nie był w stanie tego zrobić. Dlatego apelujemy do rodziców, by się powstrzymali. Bo gdy dzieci wrócą do szkolnych ławek, to przecież to i tak się zmieni. To jest szalenie krótkowzroczne.

Problem nadgorliwych rodziców nie tylko frustruje nauczycieli i utrudnia im rozpoznanie poziomu wiedzy oraz umiejętności uczniów. To także szerszy problem społeczny. Bo już na poziomie szkoły podstawowej oceny końcowe na świadectwie mają znaczenie w kontekście dalszego losu ucznia – przy rekrutacji do szkół średnich pod uwagę brany jest wynik z egzaminu ósmoklasisty, ale też oceny z wybranych przedmiotów (w zależności od profilu przyszłej szkoły czy klasy). Dlatego nieuczciwe wspieranie własnych dzieci przez jednych rodziców budzi też sporo emocji wśród tych rodziców, którzy wolą, aby ich podopieczni uczciwie sami zdawali świadectwo ze swoich umiejętności przed nauczycielami.

„Osobiście mam już po kokardy nauki zdalnej, ale często przez rozleniwienie dzieci... A to, co odpalają niektórzy rodzice, powoduje u mnie skręty kiszek normalnie! Podpowiadanie na lekcji, odrabianie za dziecko zadań domowych, podpowiadanie w czasie sprawdzianu... No super! Bardzo pedagogiczne! Uczcie dalej małych ludzi oszukiwania, kombinowania... byle zdobyć wyższą notę... Rodzice – jesteśmy ciency jak d..a węża w te klocki... Wstyd mi za Was!" – napisała na Facebooku w lutym pani Karolina z Chełmna.

– To denerwuje nie tylko nas, rodziców, lecz także same dzieci. One się z tym źle czują – mówi pan Marek z Poznania, którego dziewięcioletnia córka chodzi do podstawówki. – Zdarzyło mi się, że po zajęciach córka relacjonowała mi, że jeden z chłopców, który w szkole prawie się nie zgłaszał do odpowiedzi i rzadko wykazywał się wiedzą przed innymi, teraz podczas elektronicznych zajęć jest prymusem. I wypaliła: „Tato, ja podejrzewam dlaczego. Myślę, że jego mama mu podpowiada. Bo to czasem nawet słychać". Co miałem powiedzieć? Wytłumaczyłem jej, że nawet jeśli rodzice czasem pomagają innym, to może dobrze dla tych dzieci, które mniej wiedzą. Uspokajałem ją, że przecież ona sama dobrze się uczy, więc to niczego nie zmienia i że pani na pewno też sobie z tego wszystkiego zdaje sprawę. Jednak tak naprawdę powinienem jej powiedzieć, że to, co robi mama tamtego chłopca, jest po prostu nieuczciwe. Wobec niej także – dodaje.

Tymczasem amerykańskie badania edukacyjne wskazują, że jednym z czynników nasilających oszustwa egzaminacyjne w edukacji jest „dostrzeganie oszustwa innych uczniów" oraz poczucie, że „szkoła jest niesprawiedliwa" (Bolesław Niemiecko, „Oszustwa egzaminacyjne", PTSD, 2006).

CZEGO ICH UCZYMY?

Przejmowanie obowiązków uczniów przez rodziców w niektórych szkołach doprowadza do oficjalnych komunikatów. Pod koniec ubiegłego roku zainterweniowali nauczyciele ze Szkoły Podstawowej nr 72 z Krakowa. Napisali w tej sprawie list do rodziców. „Bardzo prosimy, aby Państwo nie odrabiali zadań za dzieci. Wasza pomoc w niektórych obszarach może być pomocna, ale powinna się ona ograniczać do sprawdzenia dziecku zadania, wytłumaczenia mu niezrozumiałych treści i wspierania go. Pisanie zadania za dzieci czy podpowiadanie na sprawdzianach nie służy niczemu dobremu. Dzieci stają się niesamodzielne, w pełni zależne od Państwa. Tego typu działanie w konsekwencji prowadzi do tego, że dzieci bez Was nie będą umiały poradzić sobie nie tylko w szkole, lecz także w późniejszym życiu. Prosimy o tym pomyśleć" – zaapelowali w nim.

Eksperci przestrzegają, że taka „pomoc" odbije się potem na całym życiu dziecka. – Najpoważniejszą konsekwencją takiego zachowania rodziców jest przede wszystkim wychowanie nieuczciwego człowieka – mówi „Do Rzeczy" dr Aleksandra Piotrowska, psycholog, pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego. – Dziwne, że uprawiający te oszustwa edukacyjne rodzice tego sobie nie uświadamiają. W latach szkolnych kształtuje się właśnie stosunek człowieka do norm etycznych i prawnych. A oni przekazują dziecku taki komunikat: nie zważaj na to, co dozwolone, a co niedozwolone, bylebyś tylko lepiej wypadł.

To bardzo ważna uwaga – bo problem edukacyjnego oszustwa w Polsce jest wciąż dość duży. Jak wynikało z badań przeprowadzonych w 2005 r., do ściągania przyznawało się 98 proc. gimnazjalistów i uczniów szkół ponadgimnazjalnych (badanie prowadził Konrad Kobierski z Uniwersytetu Łódzkiego, opublikował potem książkę „Ściąganie w szkole. Raport z badań"). To rozciąga się później poza system szkół podstawowych i średnich. Problem dotyczy nie tylko nieuczciwego podejścia do egzaminów na studiach, lecz także kradzieży intelektualnej, czyli plagiatów w pracach magisterskich, doktorskich, a nawet – były i takie przypadki w kraju – w dorobku naukowym, który prowadził do profesury.

Doktor Piotrowska zauważa też, że nie chodzi wyłącznie o przyszły stosunek do prawa i norm. – Myślę też, że tacy rodzice podcinają dzieciom skrzydła i kształtują w nich przeświadczenie, że bez pomocy mamuni czy tatunia sobie same nie radzą. No i co wówczas z zaufaniem do samego siebie? Co z poczuciem kompetencji? A to ważna sfera osobowości dziecka, która też w tym czasie się kształtuje – wskazuje dr Piotrowska.

Niestety, nie ma dobrego środka na wyplenienie oszustw edukacyjnych ze szkół. Nie opracowano dobrych narzędzi nawet w USA, które podawane są często za wzór pod tym względem – ściąganie w szkole jest tam potępiane i uznawane za oszustwo, cenione jest natomiast samodzielne radzenie sobie z wyzwaniami. We wspomnianym już referacie Bolesław Niemiecko zauważa, za amerykańskim badaczem, że dopóki będziemy stosować w edukacji testy, dopóty mało prawdopodobne jest, byśmy całkowicie zapobiegli oszukiwaniu.

Ostatecznie zawsze to my, rodzice, odpowiadamy za to, jakich przyszłych dorosłych Polaków wychowamy. No właśnie, jakich?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Piotr Gociek

Oscary subiektywnie

Czas pandemii był katastrofalny dla wielkiej kinowej rozrywki. Kino kameralne ocalało, wspierane przez serwisy streamingowe. Efekt widać było w zmaganiach o nagrody amerykańskiej Akademii Filmowej za rok 2020

Liczby nie kłamią. 35 nominacji dla filmów dystrybuowanych lub wyprodukowanych przez Netflix, 12 nominacji dla Amazon Studios oraz historyczne pierwsze oscarowe nominacje dla najnowszych graczy rynku video-on-demand, czyli Apple TV+ oraz Disney+, które wystartowały nieco ponad rok temu. Można się było tego spodziewać po roku zamknięcia kin na głucho i bankructw niejednej kinowej sieci. A mimo wszystko te dane zaskakują.

Na ile zaskakujące okazały się wyroki oscarowej Akademii – tę wiedzę czytelnik „Do Rzeczy" już posiada, bo 93. ceremonia rozdania Oscarów już za nami. W chwili, gdy piszę te słowa, werdyktu jeszcze nie znam, ale mogę przedstawić swój subiektywny osąd – jak czynię to od kilku lat. Trzymając się zasady wskazywania zwycięzców spośród nominowanych tytułów, lecz oceniając je wedle własnego gustu i doświadczenia.

Z kronikarskiego obowiązku przypomnę, które tytuły otrzymały w tym roku najwięcej nominacji: „Mank" Davida Finchera (Netflix) – 10. Aż sześć filmów natomiast zdobyło po sześć nominacji: „Minari" (reż. Lee Isaac Chung), „Nomadland" (reż. Chloé Zhao), „Ojciec" („The Father", reż. Florian Zeller), „Judas and the Black Messiah" (reż. Shaka King), „Proces Siódemki z Chicago" ("The Trial of the Chicago 7", reż. Aaron Sorkin, Netflix) oraz „Sound of Metal" (reż. Darius Marder, Amazon).

ZDJĘCIA I INNE ZAJĘCIA

Wśród autorów zdjęć nominowany był w tym roku nasz rodak Dariusz Wolski za pracę przy filmie „Nowiny ze świata" („News of the World") Paula Greengrassa. Wypada zadać pytanie: A dlaczego dopiero teraz, szanowna Akademio? Przecież Wolski ma w dorobku takie osiągnięcia jak „Marsjanin", „Prometeusz" czy „The Walk: Sięgając chmur". Nie twierdzę, że za zdjęcia do każdego z nich od razu należał się Oscar, ale nominacje byłyby zasłużone. Jedynym godnym przeciwnikiem Wolskiego jest w tym roku Erik Messerschmidt, który wykonał świetną robotę, odtwarzając świat starego Hollywood w czarno-białym filmie „Mank" Davida Finchera. Messerschmidt moim zdaniem musiał się więcej napracować, ale była to praca kopisty. Mój głos ma zdecydowanie Dariusz Wolski.

Ten sam film – „Nowiny ze świata" – wyróżniłbym za muzykę Jamesa Newtona Howarda. Słaba była w tym roku konkurencja w tej kategorii, na tle propozycji najwyżej solidnych Howard wyróżnia się elegancją. Za najlepsze kostiumy nagradzam „Manka", a za najlepszą charakteryzację „Pinokia" Matteo Garrone'a. Za najlepszy montaż – zarówno obrazu, jak i dźwięku – wyróżniłbym „Sound of Metal" – to była piekielnie trudna robota. Najlepszą piosenką jest w tym roku (także bardzo słaba lista propozycji) utwór „Speak Now" wyśpiewany przez Lesliego Odoma Jr. w filmie „Pewnej nocy w Miami...". Łączy w sobie surowość pierwszego albumu Tracy Chapman i finezję piosenek Sama Smitha.

NAJLEPSZY FILM ANIMOWANY

W finałowej piątce wśród najlepszych animacji mamy dwie propozycje giganta, czyli studia Pixar obecnie należącego do Disneya. „Naprzód" i „Co w duszy gra" to robota po disnejowsku porządna, ale szału nie ma. Dziwaczna próba chińskiej fantazji z Netflixa, czyli „Wyprawa na Księżyc", to film ewidentnie nieudany. „Baranek Shaun Film. Farmageddon"

eprasa.pl 8cfe74c930

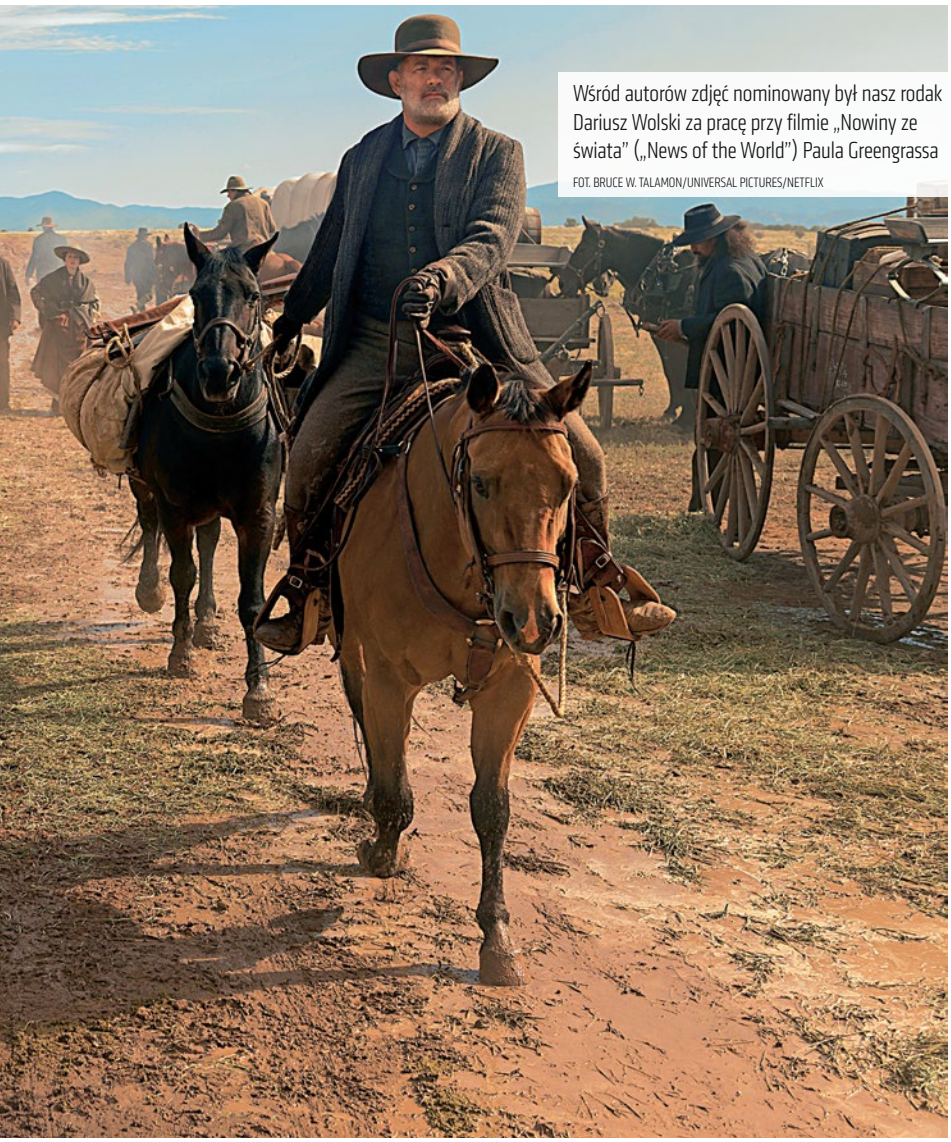

Wśród autorów zdjęć nominowany był nasz rodak Dariusz Wolski za pracę przy filmie „Nowiny ze świata" („News of the World") Paula Greengrassa

FOT. BRUCE W. TALAMON/UNIVERSAL PICTURES/NETFLIX

przynosi te same atrakcje co popularny serial, więc efekt zaskoczenia minął.

Najlepsza propozycja w tym zestawie to moim zdaniem „Sekret wilczej gromady" („Wolfwalkers"), najnowsza propozycja irlandzkiego animatora Tomma Moore'a, autora cudownych filmów „Sekrety morza" oraz „Sekret księgi z Kells". Film oryginalny, piękny, pokazujący zupełnie inną stronę animacji niż gładkie disnejowskie hamburgery.

NAJLEPSZY FILM NIEANGLOJĘZYCZNY

Tutaj wypadało kibicować filmowi z Bośni i Hercegowiny „Quo Vadis, Aida?" (reż. Jasmila Žbanić), bo była to koprodukcja z udziałem Polaków. Ale jeszcze nie widziałem, więc nie będę się mądrzył. Tunezyjski „The Man Who Sold His Skin" (reż. Kaouther Ben Hania) mam za film przekombinowany. Promowany mocno w Europie (i w Polsce) nowy film Thomasa Vinterberga „Na rauszu" („Drunk") o zaletach i wadach pijaństwa jest zwyczajnie wtórny i wisi jedynie na niezłej kreacji Madsa Mikkelsena. „Better Days" Dereka Tsanga, propozycja Hongkongu, to ewidentny przerost formy nad treścią, bo sama historyjka jest mało oryginalna i da się ją oglądać jedynie dzięki warsztatowi reżysera. Co zostaje? Film przerastający pozostałe, ale film dokumentalny „Kolektyw" („Collective", reż. Alexander Nanau), propozycja z Rumunii. Wstrząsająca produkcja HBO o korupcji, polityce i największej aferze związanej ze służbą zdrowia w dziejach kraju. Wybitny film.

NAJLEPSZA AKTORKA DRUGOPLANOWA

Pamiętam zdumienie, z jakim spotkały się moje wróżby sprzed kilku miesięcy, gdy mówiłem, że młoda Bułgarka Maria Bakalova zasługuje na nominację w filmie „Borat 2" (nazywam go tak dla uproszczenia). Nominację dostała, nagrody nie dostanie, bo mamy w tej kategorii wybitną kreację Olivii Colman w filmie „Ojciec". To właśnie zdobywczynię Oscara za rolę w „Faworycie" sprzed dwóch lat uważam za godną nagrody także w tym roku. Youn Yuh-jung w „Minari" jest dobra, ale chyba nie oscarowa (efekt mody na Koreę Południową?). Z kolei nominacje dla Glenn Close za „Elegię dla biedaków" oraz Amandy Seyfried za „Manka" uważam za nieporozumienie.

NAJLEPSZY AKTOR DRUGOPLANOWY

To chyba najbardziej upolityczniona kategoria tegorocznych Oscarów, bo wszystkie występy – oprócz jednego – pochodzą z filmów propagandowych. Sacha Baron Cohen jako lewacki aktywista w „Procesie Siódemki z Chicago". Daniel Kaluuya jako marksista rewolucjonista i ważna figura terrorystycznych Czarnych Panter w „Judas and the Black Messiah". Lakeith Stanfield jako informator FBI, który „zdradził" rzeczonego marksistę. Leslie Odom Jr. w „Pewnej nocy w Miami..." jako piosenkarz Sam Cooke toczący dysputę z Malcolmem X o tym, jak walczyć z rasizmem. I jest jeszcze Paul Raci za rolę w filmie „Sound of Metal", gdzie jest mentorem głównego bohatera prowadzącym wspólnotę dla ludzi, którzy utracili słuch.

Daniel Kaluuya jest najbardziej energetyczny i charyzmatyczny, nie zdziwię się, jeśli to jego kreację wybrała Akademia – niezależnie od moich zastrzeżeń do samego filmu. Natomiast wzruszył mnie najbardziej Leslie Odom Jr. jako Sam Cooke. I właśnie jemu swoją nagrodę przyznaję.

NAJLEPSZA AKTORKA

W tej kategorii ciekawe role, ale filmy w większości takie sobie. Andra Day dobra w „Billie Holiday" („The United States vs. Billie Holiday"), ale sam film to pomyłka. Carey Mulligan przyzwoita w „Obiecującej. Młodej. Kobiecie". No i mści się na wstrętnych samcach. Viola Davis w „Ma Rainey: Matka bluesa" („Ma Rainey's Black Bottom") niezła, ale Andra Day lepsza. Zaraz wyjdę na rasistę, bo najbardziej podobały mi się Vanessa Kirby w „Cząstkach kobiety" („Pieces of a Woman") oraz Frances McDormand

eprasa.pl 8cfe74c930

w „Nomadlandzie". I szczerze mówiąc, to tej ostatniej moim zdaniem Oscar się należy, ale spodziewam się, że amerykańska Akademia Filmowa poszła raczej tropem akcji afirmacyjnej. Jeśli nie – to chwała Akademii.

NAJLEPSZY AKTOR

Tutaj sprawa jest moim zdaniem prosta i oczywista. Mamy wielką rolę wielkiego aktora. Anthony Hopkins w filmie „Ojciec" tworzy kreację najlepszą od lat, jeśli nie od dekad. Wstrząsający obraz Floriana Zellera o relacjach córki i tracącego pamięć ojca jest zresztą okazją do koncertu aktorskiego, bo Olivia Colman wypada równie dobrze. Dla kolejnych trzech nominowanych komunikat – panowie, nie tym razem: Riz Ahmed („Sound of Metal"), Gary Oldman („Mank"), Steven Yeun („Minari"). Nominacja dla Chadwicka Bosemana („Ma Rainey: Matka bluesa") to pośmiertny hołd dla przedwcześnie zmarłego aktora, ale sama kreacja wybitna nie była. Hopkins wszystkich tu przerasta o głowę.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ADAPTOWANY

To moim zdaniem najlepiej obsadzona w tym roku kategoria. Niemal wszystkie nominacje (oprócz „Borata 2") trafione. „Pewnej nocy w Miami..." Reginy King to film polityczny i perswazyjny, ale niegłupi i bardzo ciekawy. Jeśli prowadzi się w kinie konwersację na temat stosunków rasowych w USA, to chciałbym, by nie schodzono poniżej poziomu wyznaczonego przez sztukę Kempa Powersa, który na jej podstawie sam napisał filmowy scenariusz. Znakomita robota, ładne studium charakterów i walka na argumenty, a nie na emocje w rodzaju: „Bo rząd USA chce wszystkich czarnych zabić albo zamknąć". „Ojciec" to też adaptacja sztuki (Floriana Zellera). Mam pretensje do Chloé Zhao za to, jak zaadaptowała książkę Jessiki Bruder, bo wypaczyła jej przesłanie, ale jako filmowa robota jej praca się broni.

A kto wypadł najlepiej? Moim zdaniem Ramin Bahrani, który przełożył na ekran powieść „Biały Tygrys" Aravinda Adigi, zachowując wściekłość, humor, liryzm i okrucieństwo oryginału. To mój Oscar.

NAJLEPSZY SCENARIUSZ ORYGINALNY

Po odsianiu propozycji, w których perswazja przeważa nad jakością („Judas and the Black Messiah", „Obiecująca. Młoda. Kobieta" i „Proces Siódemki z Chicago"), pozostają dwa scenariusze. „Sound of Metal" z niesamowitą historią, która jednocześnie jest dramatem artysty, poruszającą love story oraz zwraca uwagę na pomijaną w kinie mniejszość (ludzie z upośledzeniem słuchu). Oraz „Minari", ciekawy film z pogranicza kultur, bo jednocześnie amerykańska saga o prowincji oraz opowieść o adaptacji imigrantów z Korei Południowej w USA. Oddaję głos na „Minari", wspaniałe studium charakterów, opowieść delikatną i okrutną zarazem. Co ciekawe, choć to dzieło reżysera z rodziny imigranckiej, to bardzo mocno osadzone w amerykańskiej tradycji (Lee Isaac Chung początkowo chciał adaptować jeden z tekstów Willi Cather opiewającej amerykańskie pogranicze pełne imigrantów, ale ostatecznie zdecydował się szukać inspiracji we własnych korzeniach).

NAJLEPSZY REŻYSER

Dwóch kandydatów do zwycięstwa i trzy filmy, które nie powinny się tu znaleźć. Zacznę od tych ostatnich. „Na rauszu" Thomasa Vinterberga i „Mank" Davida Finchera to dzieła, które mają swoje wielkie momenty, ale nie są w pełni udane. „Obiecująca. Młoda. Kobieta" Emerald Fennell w ogóle nie powinna się tu znaleźć, bo to najwyżej przyzwoity thriller, tyle że z feministycznym przesłaniem. Żadne wielkie kino. Liczą się tak naprawdę dwa tytuły: „Nomadland" w reżyserii Chloé Zhao oraz „Minari" Lee Isaaca Chunga. Przewrotnie powiem tak: choć „Minari" to moim zdaniem film głębszy i lepszy, to jeśli chodzi o czysto reżyserskie umiejętności, to Chloé Zhao wygrywa o włos. I to do niej powędrowałby mój Oscar. Przy czym nie umniejsza to moich pretensji o niepotrzebne przesuwanie akcentów literackiego oryginału. Książka Jessiki Bruder była wstrząsającym dokumentem i zapisem krzywdy, Chloé Zhao próbuje do tego dorobić ideologię „amerykańskiej wolności".

NAJLEPSZY FILM

„Minari". Właściwie uzasadniłem już dlaczego, pisząc o scenariuszu. Dodam: jeśli jakiś film z nominowanych w tym roku ma przetrwać próbę czasu, to ten. Będziemy wracać do niego po latach, tak jak wracamy do filmów Terence'a Malicka, szukając filmowej sztuki, a nie tylko fabuły.

PRZECENIENI I SKRZYWDZENI

Zdecydowanie zbyt wiele uwagi – przynajmniej moim zdaniem – poświęcono w tegorocznych nominacjach filmom „Mank" oraz „Proces Siódemki z Chicago". Nie dość, że są bardzo nierówne, to jeszcze fałszują rzeczywistość, zamiast ją opowiadać. Trzy tytuły w ogóle nie powinny się pieścić z Oscarami w tym roku, bo są jedynie zgrabnym kinem gatunkowym: „Obiecująca. Młoda. Kobieta", „Borat 2" oraz „Ma Rainey: Matka bluesa". Jedynie pilną potrzebą uwiarygodnienia się Akademii w trosce o afroamerykańską mniejszość przypisuję aż sześć nominacji dla filmu „Judas and the Black Messiah". Powinna być jedna – za rolę Daniela Kaluuyi.

Zbyt surowo potraktowano „Nowiny ze świata", film pominięty w najważniejszych kategoriach, gdzie powinien być moim zdaniem obecny – i za adaptację scenariusza, i za reżyserię, i za aktorskie kreacje Toma Hanksa oraz małoletniej Heleny Zengel. À propos Toma Hanksa – pominięto zupełnie inny film z jego udziałem, moim zdaniem bardzo dobry, czyli „Misja Greyhound" Aarona Schneidera (powinna być nominacja przynajmniej za adaptację scenariusza). Skrzywdzono także „Białego Tygrysa" – to jeden z najlepszych filmów minionego roku.

Film „Może pora z tym skończyć" („I'm Thinking of Ending Things") Charliego Kaufmana został przegapiony całkowicie – to kino trudne, ale wybitne. Zasłużył choćby na nominację za scenografię, jeśli treści członkowie Akademii nie zrozumieli. Gdzież jest Jude Law? Czyż jego rola w „Gnieździe" nie była wybitna? A największym przegranym – ze względów proceduralnych – jest Steve McQueen, którego antologia filmów z HBO („Mały topór", org. „Small Axe") kwalifikowana jest jako produkt telewizyjny, więc nominowana być nie mogła. Szkoda, bo przynajmniej dwa tytuły z pięciu to lepsze kino od niejednego filmu, na który Akademia zwróciła uwagę.

Dla polskiego widza – na koniec – dobra wiadomość jest taka, że większość tytułów, o których mowa, jest już dostępna w rozmaitych serwisach streamingowych czy VOD, a te, których jeszcze nie widzieliście, trafią najpewniej do kin już w maju, kiedy przyjdzie pora na ponowne otwieranie placówek kultury.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

„Powrót do Reims" według Didiera Eribona, Nowy Teatr w Warszawie, Łaźnia Nowa w Krakowie, Festiwal Boska Komedia; reżyseria, scenografia, kostiumy: Katarzyna Kalwat; dramaturgia, tekst: Beniamin Bukowski; premiera: 9 grudnia 2019 r. (on-line), 5 marca 2020 r. FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI

Nienawiść

Grzegorz Kondrasiuk

Spektakl powstał tylko po to, by Jacek Poniedziałek, patrząc wprost do kamery, mógł wypowiedzieć swoje myśli o głosującej na PiS polskiej prowincji

Miało być tak pięknie, miał być – jak to się zwykle pisze – „głośny spektakl sezonu" albo nawet „najważniejszy spektakl ostatnich lat". W 2019 r. wyszło tłumaczenie książki Didiera Eribona „Powrót do Reims", dzieła próbującego lewicy wyjaśnić, jak to się stało, że Polska głosuje na PiS, a nie na nią. Można się było spodziewać, że zainteresuje się nim teatr. W końcu co najmniej od króla Stasia wiadomo, że nasze niepokoje najlepiej brzmią po francusku, a to, co przeżyte we Francji, jest bardziej realne od przeżyć na miejscu. Patrząc z drugiej strony – zastanawiający jest fakt, że nie mamy w polskiej literaturze tekstów zdających relację z napięć metropolia–peryferie. Chociaż co drugi bohater współczesnej polskiej prozy to uciekinier z prowincji do wielkiego miasta, tzw. słoik, to wciąż czekamy na dzieło znakomite, które przekroczy łatwe klisze, opowie o przyczynach zjawiska i mentalnych skutkach. A na razie próbujemy posiłkować się rozmaitymi Eribonami.

Autor, wiodący intelektualista, na własnym przykładzie podejmuje temat wstydu społecznego i awansu, ucieczki od robotniczego pochodzenia, wymyślania siebie na nowo w wielkomiejskim środowisku: i jako człowieka wykształconego, i jako homoseksualisty. Wpada w ton znany choćby z „Wyznań" Rousseau. „Byłem egoistą, chciałem się ratować" – śmiało się przyznaje do zerwania więzi z liczną, prowincjonalną rodziną, zerwania fizycznego – bo poza zasięgiem jego możliwości były odwiedziny umierającego ojca i udział w jego pogrzebie albo rozmowa twarzą w twarz z rodzeństwem (której unika od 35 lat). Eribon stawia tezy o ksenofobii i homofobii mas, ale też pisze o klasizmie, o pogardzie elit wobec ludu, wykrywając w sobie pęknięcie – współistnienie odruchów solidarności z biedotą i wstrętu do niej. Zdobywa się więc na szczerość, a nawet samobiczowanie, nazywa siebie uciekinierem, zdrajcą społecznym – ale tak bez przesady, bo nie dopowiada, nie rozlicza swojego obecnego środowiska. Kończy na banalnej przecież konstatacji, że lud głosujący na Le Pena „trzeba zrozumieć", i wyznaje żal, że nie pomógł swoim bratankom w wykształceniu i nie poszedł na pogrzeb ojca. Łatwo więc zrozumieć ekscytację salonów czytających tę książkę jako strawny, napisany w żargonie (na każdej stronie nazwisko, Bourdieu, Foucault, Lacan…) reportaż z egzotycznych robociarskich krain. Dobre i to, w końcu Eribon zadał pytania o powojenną biedę i prowincję zostawioną samą sobie, dotknął wrażliwych miejsc, przy wszystkich różnicach między Polską i Francją.

Miało więc być pięknie. Naiwny, sądziłem, że teatralna inscenizacja literatury (wszak spektakl ma taki sam tytuł jak książka Eribona) jest przynajmniej próbą rozmowy z jej autorem. Tymczasem Katarzyna Kalwat, która podpisała tę realizację, nie zadała sobie trudu zrozumienia, o czym autor napisał książkę. Stery przejął Jacek Poniedziałek, obsadzony w roli pisarza, znany aktor teatralny i telewizyjny. Dość szybko można się zorientować, że przywołanie Eribona ma charakter snobistyczny i pretekstowy, oparty na podobieństwie biografii obu panów. Poniedziałek gra „profesora" uczestniczącego w programie telewizyjnym, próbującego opowiedzieć, o czym pisał, choć para prowadząca program (Jaśmina Polak i Yacine Zmit) okazuje się być półgłówkami. Przerywają, nie słuchają, a pytania, które zadają, są czystym bełkotem wywiedzionym z języka francuskiej lewicy. Są płascy, bo mają być płascy. Stroją miny, szczerzą zęby – a jako aktorzy nie mają co grać, bo tego kabareciku wystarcza może na kwadrans. Niespodziewanie spektakl staje się opowieścią o tabloidyzacji filozofii i o języku, o słowniku debaty narzuconym społeczeństwu przez kastę intelektualistów. Jest to jednak opowieść, która wymknęła się spod kontroli, te tematy pojawiają się mimowolnie. Intencja była prostsza – wyeksponowanie buntownika i ideologa na bezbarwnym, aideologicznym tle. Jest nim Jacek Poniedziałek, bo twórców przedstawienia nie interesują rozpoznania zapisane przez Eribona w „Powrocie…". Tekst eseistyczny został podmieniony, zbanalizowany i wyostrzony, nie bawimy się tu w niuanse, metafory, w postaci reprezentujące złożone społeczne problemy. Chodzi po prostu o poglądy samego Poniedziałka. Spektakl powstał tylko po to, by Poniedziałek, patrząc wprost do kamery, mógł wykrzyczeć: „Nienawidzę klasy robotniczej!", „Nienawidzę mojej matki, tej głupiej pizdy!" (w książce matka jest jedną z niewielu osób opisanych z szacunkiem). Aby mógł wypowiedzieć swoje myśli o głosującej na PiS polskiej prowincji, z której sam się wywodzi. Aby mógł wyrazić nadzieję, że przyjdzie jakaś bliżej niesprecyzowana rewolucja i zmiecie „cały ten pierdolony teatrzyk". I w końcu – by bezradnie wyznać, że nie wie, kim naprawdę jest.

Miało być tak pięknie. „Powrót…" dostaje piękne recenzje, nagrodę Onetu. Ale oto następuje wolta. Jaśminę Polak przed jednym z pokazów odwozi karetka. Młody, debiutujący aktor Yacine Zmit, pochodzący z rodziny emigrantów, wyznaje w mediach (stukrotnie wszak silniejszych od teatru), że gwiazdor dopuszczał się na nim przemocy psychicznej i fizycznej, nazywając go, oto próbka stylu, „wszą bezdomną", „pasożytem". Nazwisko Zmita znika z obsady zamieszczonej na stronie Teatru Nowego, a sprawa być może skończy się w sądzie. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

Portret z ról utkany

Tomasz Zbigniew Zapert

Holoubek, Holubek albo Hołołbek. Niezależnie od tego, jak wymawiano to nazwisko, zapisało się ono w dziejach polskiego aktorstwa złotymi zgłoskami

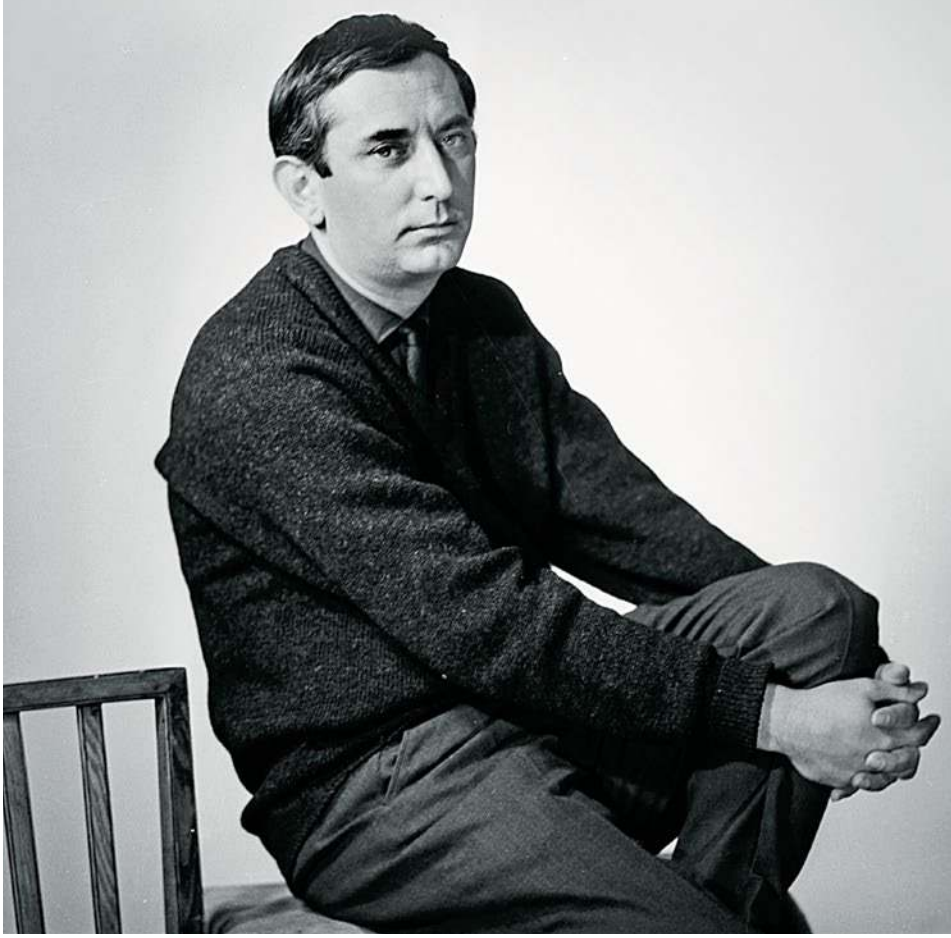

FOT. NAC

Miło mi donieść, że Zofia Turowska, autorka biografii zmarłego przed 13 laty artysty, czyni postępy. Przede wszystkim przestała pisać wazeliną – jak to miało miejsce w jej biografistycznym debiucie pt. „Agnieszki" (wznowionym niedawno przy okazji emisji serialu o Osieckiej jako „Nikomu nie żal pięknych kobiet"). Niniejsza pozycja zawiera znacznie mniej elementów hagiograficznych. Pieczołowicie zrekonstruowane koleje losów opisywanego gwarantują nam konterfekt wielowymiarowy. A gęsto przytaczane listy czy też wypowiedzi jego bliskich odkrywają mało znane epizody z CV giganta naszego teatru i filmu.

Dajmy na to ten dotyczący niedoszłego angażu Gustawa Holoubka do Teatru Narodowego w Warszawie, u progu lat 50.

„Zawsze pragnąłem i pragnę pracować pod Pana kierownictwem. […] Zrobię wszystko, żeby się stąd wyrwać. Nie będzie to łatwa sprawa. Spodziewam się wielu trudności ze strony […] tutejszych władz. Jedynym argumentem, którym mogą operować, są względy zdrowotne" – pisał z Katowic, gdzie zdobywał doświadczenie po ukończeniu krakowskiej szkoły teatralnej, w liście do Bohdana Korzeniewskiego, dyrektorującego wtedy stołecznej scenie.

W odpowiedzi otrzymał ofertę zagrania Stalina w „Człowieku z karabinem" Nikołaja Pogodina, którą Teatr Narodowy ma uczcić rocznicę rewolucji październikowej. Rolę odrzucił korespondencyjnie: „Mam dodatkową prośbę, już osobistą i bardziej gorącą. Powiem prosto: bardzo bym nie chciał grać Stalina. […] Nie chciałbym wchodzić tą rolą do Warszawy".

ZŁE SPOJRZENIE

Stolicę zdobył kilka lat później kreacją sędziego Custa w spektaklu „Trąd w pałacu sprawiedliwości" Ugo Bettiego, wystawionym na Scenie Kameralnej Teatru Polskiego. Miał już 35 lat, właśnie pokonał gruźlicę i był po debiucie filmowym – w „Żołnierzu zwycięstwa" („komunistycznej chale kosmicznej o generale Świerczewskim-Walterze, bełkot na miarę Giewontu" – jak recenzował Leopold Tyrmand).

Nieprawdopodobnie brzmi wspomnienie aktora na temat pierwszych występów przed kamerą. Otóż miał nie zdawać sobie sprawy, kogo ma... odtwarzać. „Rozpalała mnie chęć grania w filmie. Dopiero po nałożeniu charakteryzacji rozpoznałem w sobie ministra Józefa Becka". Okazało się jednak, że charakteryzatorka się pomyliła, a w Holoubku reżyserka Wanda Jakubowska widziała... Feliksa Dzierżyńskiego. Stworzył wizerunek demoniczny. „Ten Dzierżyński ma złe spojrzenie" – narzekał po pokazie dla egzekutywy jeden z notabli.

Kinomanów aktor zaskarbił sobie kreacją alkoholika Kuby w kongenialnej adaptacji – autorstwa Wojciecha J. Hasa – opowiadania Marka Hłaski „Pętla". Od tej chwili w kamery Holoubek wpadał regularnie. Turowska pisze o tym obszernie,

eprasa.pl 8cfe74c930

chociaż czasem nieprecyzyjnie. Weźmy literacką „spółkę Roberta Azderballa, niemieckiego scenarzysty, i polsko-izraelskiego dziennikarza Romana Fristera", pomysłodawców „Białego niedźwiedzia". De facto ów tandem dziennikarski zasłynął w latach odwilży napisanym na cztery ręce – po polsku! – kryminałem pt. „Naszyjnik kapitana Holicza", a niebawem obaj współautorzy wyjechali na Zachód, wykorzystując swą żydowską genealogię. To z pleneru tego obrazu pochodzi sławetna dykteryjka: „Zdjęcia kręcono latem, upał szalony, a na planie piękne, wydekoltowane dziewczyny. Flirtują z nimi dźwiękowcy, oświetleniowcy, kamerzyści i tylko aktor nie może, zły i spocony w swoim niedźwiedzim futrze. Wreszcie w rozpaczy ściąga włochaty łeb i krzyczy do najbliższej ślicznotki:

– Jestem Holoubek. Gustaw Holoubek!

– Odpi….. się misiu – słyszy".

Uzupełnienia wymaga również książkowy opis ekranizacji prozy Zbigniewa Uniłowskiego „Wspólny pokój". Bohater książki w istocie grał Dziadzię, lecz warto chyba wzbogacić wiedzę czytelników, że pod ową ksywką krył się Stanisław Maria Saliński, pisarz marynista z grupy Kwadryga, w międzywojniu dziennikarz prasy bulwarowej, a w PRL sekretarz redakcji „Expressu Wieczornego".

LUDZKA TWARZ SYSTEMU

Chociaż Holoubek nigdy nie był partyjny, to polityka nieraz deptała mu po piętach. W latach bierutowszczyzny odmówił założenia maski Josipa Broza-Tito podczas pochodu pierwszomajowego, obcesowo strofując nakłaniających go do tej przebieranki ubeków. Niespełna dwie dekady później kreacja Konrada-Gustawa w Dejmkowskiej inscenizacji „Dziadów" Adama Mickiewicza zadziałała niczym zapalnik Marca 1968. Dlatego decyzja o „podpisaniu swoistego cyrografu wzmacniającego soft power rządów Edwarda Gierka" zaskoczyła wielu. „Jak niemal wszyscy idzie w pierwszomajowym pochodzie. Obok Tadeusz Łomnicki, Wojciech Siemion, Andrzej Szczepkowski, Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Łapicki. Jan Englert i Daniel Olbrychski z dziećmi na ramionach. Uśmiechnięci, machają rękami, pozdrawiają Edwarda Gierka i Piotra Jaroszewicza" – przypomina Turowska.

Wiosną 1976 r. Holoubka wybrano jednym z 21. bezpartyjnym posłów. Zasiadał w parlamencie także w kolejnej kadencji. „Był to czas prowadzenia podwójnej buchalterii: moralnej i intelektualnej, bo zachowywało się tylko część samego siebie dla osób najbliższych" – wyjaśniał po latach. A anonimowy internauta komentował: „Pan Holoubek być może był najbardziej ludzką z twarzy systemu, co nie zmienia faktu, że był jego twarzą".

Mandat poselski złożył w piątym tygodniu stanu wojennego: „w związku z […] pozbawianiem internowanych możliwości obrony, mnie zaś, jako posła, możliwości skutecznego upominania się o ich prawa".

Wkrótce potem na zebraniu środowiska kultury bezpardonowo zaatakował go z mównicy partyjny aparatczyk, nazwiskiem Damski. Świadkiem incydentu był Wojciech Duryasz: „W co drugim zdaniu go obrażał, przede wszystkim, że Żyd. Cisza się zrobiła, bo nie wiadomo, jak na to zareagować. Wyszedł wtedy Holoubek na mównicę i powiedział: »Proszę państwa, wiele ch…. już w życiu widziałem, ale Damskiego po raz pierwszy...«".

Niepokorność spowodowała, że władza ludowa odebrała Holoubkowi dyrekcję Teatru Dramatycznego. Kilka sezonów wcześniej wystawiano tam „Odprawę posłów greckich". „Na to przedstawienie mieli wybrać się w ramach działań ukulturalniających, potocznie nazwanych »odchamieniem«, pracownicy Spółdzielni Kółek Rolniczych z Krzynowłogi Małej. Zanim jednak załoga zasiadła na widowni, po drodze podobno odwiedziła kilka stołecznych knajpek. Dlatego też uczestniczy wycieczki spóźnili się na spektakl, a do sali weszli z przytupem, kiedy już odgrywane były kolejne sceny dramatu Jana Kochanowskiego. I kiedy Holoubek wypowiedział słowa: »Skąd przybywacie?«, pracownicy SKR-u myśląc, że to ich się pyta, gromkim głosem odpowiedzieli: »SKR Krzynowłoga Mała«. Sala zatrzęsła się od śmiechu, a Holoubek dodał: »Więc siadajcie, szlachetni rycerze, a nie spóźniajcie się więcej«".

BARSZCZ Z USZKAMI

O tym, jak ważne miejsce w życiorysie aktora odgrywał sport, wiedzieliśmy już z lektury memuarów artysty pt. „Wspomnienia z niepamięci", gdzie deklarował się jako sympatyk futbolu i kibic Cracovii. Krąg dyscyplin mu nieobcych był szerszy. Tenis, lekka atletyka, szermierka… Z czempionami chętnie stykał się podczas spotkań medalistów olimpijskich z ludźmi kultury. Aczkolwiek przywoływany w książce na stronie 168 florecista Witold Woyda został podwójnym mistrzem igrzysk w Monachium, a nie w Meksyku.

Skosztował też hazardu. Brydż, poker, wyścigi konne: „Siedemdziesiąty pierwszy rok, Wielka Warszawska – gonitwa roku. Postawił na Daglezję, mało znaną klacz. Do tego na drugim miejscu przyszedł ogier Durango, też żaden faworyt. Za 10 złotych płacili cztery i pół tysiąca". Urlopy spędzał na ogół w Chałupach, Juracie, tudzież Bukowinie. „Nigdy nie zapomnę – wspomina Magdalena Zawadzka – jak o mało nie pękł ze śmiechu, kiedy szliśmy z Bukowiny do Gliczarowa, a przy drodze góral sprzedawał miód. Kupiliśmy od niego słoik, a gdy Gustaw płacił, góral popatrzył na mnie i mówi: »Ładną macie, panocku, córeckę!«".

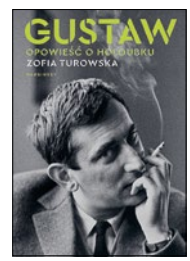

ZOFIA TUROWSKA „GUSTAW. OPOWIEŚĆ O HOLOUBKU" MARGINESY 2021

Ale to Holoubek był wirtuozem opowiadania wiców czy szmoncesów. Choćby taki, najkrótszy:

– Przepraszam, czy to pan Szapiro?

– Nie.

– A może pan Rozenzwajg?

– To już prędzej Szapiro...".

Frajdę sprawiała mu popularność. Onegdaj podróżował pociągiem. „Naprzeciwko niego w przedziale siedziała bardzo młoda dziewczyna, która nie zwracała na niego uwagi. Chrząkał, wiercił się, aż w końcu zapytał: »Czy pani już widziała Holoubka?«. Odpowiedziała: »Nie i nie chcę widzieć, więc proszę siedzieć spokojnie, bo zawołam konduktora!«".

Innym razem: „Przyjechał do Kielc i po parogodzinnej podróży udał się do miejskiej toalety. Wymienił ukłon z panią opiekującą się tym przybytkiem, a gdy wychodził, owa pani uśmiechnęła się miło, mówiąc: »Tak się cieszę, panie Holoubek, że mogę pana bliżej poznać...«".

Janusz Zaorski przypomina z kolei, jak w porze obiadowej siedział w teatralnym bufecie Teatru Dramatycznego: „Wchodzi Gustaw i pyta:

– Wiecie, jak w teatrze Holoubka zamawia się pewną potrawę?

– Nie wiemy…

– Zagram to wam.

Podchodzi do bufetu i mówi. »Proszę barszcz, przepraszam, panie Holoubek, z uszkami«".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

CINEMAN

Buszująca w zbożu

★★★★☆☆

REŻ. PHILIPPE FALARDEAU „MÓJ ROK Z SALINGEREM” KANADA/ IRLANDIA 2020

wyst. Margaret Qualley, Sigourney Weaver, Douglas Booth

Joanna (Margaret Qualley), dziecię niewinne i marzące o karierze pisarki, trafia do mauzoleum gigantów. W agencji literackiej, gdzie pracuje, na ścianach wiszą portrety autorów, których firma reprezentowała: Ernesta Hemingwaya, F. Scotta Fitzgeralda, Agathy Christie. No i jego – J.D. Salingera, najbardziej tajemniczego pisarza świata, który po sukcesie „Buszującego w zbożu” udał się na wewnętrzną emigrację. Czyli zaszył się na odludziu i zerwał niemal wszelkie kontakty ze światem. Tylko ze swoją agentką (Sigourney Weaver) nadal rozmawia przez telefon. Kiedy ma ochotę.

Młoda, ambitna i nieco naiwna Joanna jest asystentką groźnej szefowej, więc siłą rzeczy też zamieni z Salingerem kilka słów, bo odbiera jej telefony. Ale przede wszystkim do obowiązków dziewczyny należy zajmowanie się kierowaną do niego korespondencją. Czyli odpisywanie wszystkim: „Pan Salinger nie życzy sobie żadnego kontaktu” i wrzucanie listów do niszczarki. Żal serce ściska, bo wiele listów wzrusza, ale mus to mus. W dodatku Joanna ma własne problemy. Jest rozdarta między dawnym a obecnym chłopakiem, próbuje pisać, ale jakoś brakuje jej uporu i wiary we własny talent. W dodatku na kilka kwestii ma całkiem odmienne zdanie od szefowej.

Ta historia wydarzyła się mniej więcej naprawdę, bo film Philippe'a Falardeau jest ekranizacją wspomnień Joanny Rakoff, która nie dość, że opisała swój rok stażu, to jeszcze wydała książkę z pomocą tej samej agencji, w której pracowała. Bądźmy szczerzy – udało się ostatecznie nie dzięki temu, że jest wyjątkową pisarką, tylko dlatego, że przez chwilę pracowała w cieniu Salingera, postaci dla Amerykanów XX w. wyjątkowej, żywej (naonczas jeszcze) legendy.

Opowieść ma swoje wady: jest to mniej efektowna wersja filmu „Diabeł ubiera się u Prady”, ześlizguje się też w hollywoodzki banał o podążaniu za głosem serca i swoimi marzeniami, ale ma swój urok. Nie tylko dzięki talentowi młodej Margaret Qualley, która błyszczy w roli Joanny. W czasach filmów głośnych, drogich i niezbyt mądrych dobrze jest przypomnieć sobie o całkiem innym świecie. Świecie, w którym słowo pisane jest równie ważne jak samo życie. Świecie, w którym znaczenie mają i ci, którzy piszą książki, i ci, którzy je czytają. Oraz oczywiście ci, którzy stoją pomiędzy nimi, jeszcze niezdecydowani, niczym Nike, która się waha w wierszu Zbigniewa Herberta. ©℗

NOWE SERIALE: „CIEŃ I KOŚĆ”

Serial na podstawie znanej także w Polsce powieści Leigh Bardugo (książka otwiera trylogię „Grisza”). Jedno z najciekawszych dokonań młodzieżowej fantasy ostatniej dekady, dla widzów z naszej części Europy szczególnie interesujące, bo Bardugo, tworząc swój wymyślony świat, inspirowała się klimatami wschodnioeuropejskimi. Twórcą adaptacji telewizyjnej jest Eric Heisserer, nominowany do Oscara za scenariusz do filmu „Nowy początek”. W roli głównej (Aliny Starkow z Ravki) debiutantka Jessie Mei Li. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Cień i kość” („Shadow and Bone”), USA 2021, Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 4* ***„Opowieść podręcznej” („The Handmaid's Tale”),*** *USA 2021* HBO GO
- *reż. David Wnendt* ***„Słoneczna noc” („The Sunlit Night”),*** *Niemcy/Norwegia 2019* CINEMAN
- *reż. Stephen Merchant* ***„Na ringu z rodziną” („Fighting with My Family”)*** CINEMAX

eprasa.pl 8cfe74c930

O mój Boże!

Kto by pomyślał, że ze wszystkich tasiemców, jakimi raczyła nas telewizja na przełomie wieków, próbę czasu najlepiej zniosą „Przyjaciele"? Scenariusze pisane na kolanie, aktorzy średniej klasy (żadnemu nie udało się na dłużej wyjść z cienia rzucanego przez serial) tudzież programowy eskapizm nie zaszkodziły amerykańskiemu sitcomowi. Może nawet okazały się dodatkowym atutem. Plotki o nakręceniu 11. sezonu i wersji kinowej umarły śmiercią naturalną. Zarzuty, że twórcy „Przyjaciół" za słabo promowali multi-kulti, LGBTQIA oraz feminizm, nikogo, poza fanatykami postępu, nie kręcą. Młodszym widzom całkowicie wystarczają sarkazm Chandlera, głupota Joeya, perfekcjonizm Moniki, dziwactwa Phoebe, sztywniactwo Rossa i muchy w nosie Rachel. U starszaków dochodzi jeszcze sentyment. Cóż może być milszego od powrotu do czasów, gdy żyło się złudzeniami, a przyszłość była tajemnicą? Już miało się trochę oleju w głowie, ale jeszcze nie straciło się bezpowrotnie ciekawości świata i zaufania do bliźnich. Nowy Jork wydawał się przytulnym miejscem, lurowata kawa z Central Perk smakowała jak ambrozja, piosenka o śmierdzącym kocie szturmowała listy przebojów i tylko śmiech Janice był trudny do zniesienia. 236 odcinków znowu można oglądać bez reklam, choć nie za darmo. Do dzieła! ©℗

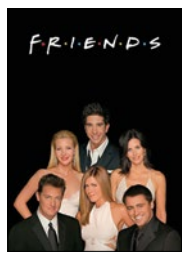

★★★★★☆
„PRZYJACIELE" („FRIENDS")
USA 1994–2004

wyst. Matthew Perry, Matt LeBlanc, Lisa Kudrow

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BYLE DO ŚWITU

Straszny film oprawiony w zabobonną ramę. Nowojorczyk Yakov porzucił wspólnotę chasydów, by zostać zwykłym Amerykaninem. Z pobudek finansowych zgadza się jednak pełnić wartę przy zwłokach Żyda pozbawionego przyjaciół i rodziny (żona się nie liczy). To oczywiście pułapka. Yakov, gdyby obejrzał w życiu choć jeden horror, wiedziałby, jak złym pomysłem jest drzemka tudzież bawienie się telefonem komórkowym w domu śmierci. Keith Thomas, scenarzysta i reżyser „Nocnego czuwania", hołduje przekonaniu, że zło może przychodzić z zewnątrz, ale najgorsze demony lęgną się w ludzkich umysłach. Koncept mało oryginalny, więc postanowił go wzmocnić odwoływaniem się do historycznej traumy. Rezultatem jest mieszanka scen intrygujących oraz irytujących. Kiedyś popkultura ignorowała ortodoksów, teraz z rozkoszą zagląda im do dusz, garnków, a nawet sypialni. Podejrzewam, że nie są tym zachwyceni.

★★★☆☆☆
REŻ. KEITH THOMAS
„NOCNE CZUWANIE" („THE VIGIL")
USA 2019

wyst. Dave Davis, Lynn Cohen, Menashe Lustig

ZATRZYMANY W KADRZE

Pozostały po nim prawie 2 mln negatywów, ponad 1,4 tys. okładek płyt. Fotografował Ellę Fitzgerald, Milesa Davisa, Stonesów i Krzysztofa Komedę. Zmarły dwa lata temu Marek Karewicz był emblematyczną postacią pokolenia, które doszło do głosu w roku 1956. Cóż za ironia losu! Gomułka miał artystów za darmozjadów, a lata jego rządów okazały się jeśli nie złotą, to na pewno srebrną epoką polskiej kultury. „Karo" – niedoszły muzyk i operator filmowy, okazjonalny didżej i prezenter – był jej kronikarzem tudzież aktywnym uczestnikiem. Świat jazzmanów i bigbitowców stał przed nim otworem. Odpłacił się za zaufanie najlepiej, jak mógł. „Z jego zdjęć słychać muzykę" – twierdzi Irena Santor. Film, w którym produkują się tuzy krajowej sceny muzycznej, pozostawia uczucie niedosytu, gdyż jest bardziej impresją niż rzetelną biografią Jamesa Bonda obiektywu. Na tę drugą przyjdzie jeszcze trochę poczekać. ©℗

recenzuje Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆
REŻ. TOMASZ RADZIEMSKI
„CZŁOWIEK ZE ZŁOTYM OBIEKTYWEM"
POLSKA 2009

GRA TYGODNIA: „MOTOGP 21"

W lepszej z każdym rokiem serii „MotoGP" za sprawą licencji motocyklowych mistrzostw świata zakładamy kask jednego z istniejących w rzeczywistości zespołów i zdzieramy opony na torach, które miłośnicy wyścigów motocyklowych znają z relacji telewizyjnych. À propos zdzierania opon – kluczem do sukcesu na wirtualnym torze są nie tylko refleks i zręczność palców przeskakujących na padzie, lecz także podejście strategiczne, bo musimy tu wziąć pod uwagę również takie aspekty jak właśnie poziom zużycia opon czy paliwa, a także temperaturę elementów układu hamulcowego. Dość wymagający model jazdy może dać sporo frajdy, jeśli tylko wystarczy nam cierpliwości, by go opanować. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★☆☆

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *Wyścigi, symulacja*
- ***Platforma:*** *PC, XONE, XSX, PS4, PS5, NS*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Milestone*

eprasa.pl 8cfe74c930

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Orwell na farmie

W 1947 r., w przedmowie do ukraińskiej edycji „Folwarku zwierzęcego", George Orwell napisał: „Po powrocie z Hiszpanii rozważałem zdemaskowanie mitu sowieckiego w opowieści, którą mógłby zrozumieć niemal każdy i którą nietrudno byłoby przełożyć na inne języki. Przez pewien czas nie wiedziałem jednak, jaką treść mam nadać tej historii: pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy pewnego dnia (mieszkałem wtedy w małej wiosce) ujrzałem, jak może dziesięcioletni chłopiec prowadzi wąską ścieżką potężnego konia pociągowego, chłoszcząc zwierzę batem, ilekroć tylko usiłowało zboczyć z drogi. Uderzyło mnie wtedy to, iż ludzie wykorzystują zwierzęta prawie tak samo, jak bogacze wykorzystują proletariat…

Zacząłem więc analizować teorię Marksa ze zwierzęcego punktu widzenia… […]".

Co z tego wyniknęło, wiemy. „Folwark zwierzęcy", zanim po raz pierwszy ukazał się w sierpniu 1945 r., został odrzucony przez kilku wydawców jako utwór godzący w sojusz Wielkiej Brytanii z Sowietami. Wkrótce miało się okazać, że takie opinie głosili sowieccy agenci. A „Folwark…" zrobił oszołamiającą karierę, przełożony na ponad 60 języków wydany został w dziesiątkach milionów egzemplarzy, zapewniając autorowi niezależność materialną, dzięki której mógł napisać swe drugie, pomnikowe dzieło – „Rok 1984". Niestety, powaliła go gruźlica i zmarł w roku 1950 w wieku 47 lat.

Wioska, o której wspominał Orwell w cytowanym tekście, to Wallington w hrabstwie Herdfordshire, gdzie pisarz zamieszkał wiosną 1936 r. Borykając się z trudnościami materialnymi, z pasją oddawał się ogrodnictwu

FOT. ADOC-PHOTOS/CORBIS/GETTY IMAGES

i hodowli, wspomagając swój domowy budżet wpływami z prowadzonego sklepu spożywczego, w którym sprzedawał również artykuły rolnicze. I oczywiście pisał, prowadząc od 9 sierpnia 1938 do 29 kwietnia 1940 r. „Dziennik z folwarku", który teraz możemy już przeczytać po polsku w przekładzie Bartłomieja Zborskiego.

Zadziwiająca to lektura, ukazuje czytelnikowi bowiem zupełnie innego, nieznanego pisarza. W „Dzienniku z folwarku" nie ma śladu polityki, są natomiast regularne podsumowania plonów rolniczych i dochodów, obserwacje meteorologiczne i przyrodnicze. W praktyce wyglądało to tak, że np. 27 stycznia 1940 r. Orwell zapisywał: „Nadal nie cieplej. Noc wyraźnie łagodniejsza, potem jednak gęsty, rozmokły śnieg. Wieczorem znów bardzo mroźno. Ptaki nadzwyczaj wygłodzone. Dziś wokół szopy polatywał drozd, najwyraźniej opadł z sił z głodu.

9 jaj. Razem w tym tygodniu – 56. Sprzedałem dwudziestkę za 3 szylingi & 6 pensów".

Oczywiście, zapiski te powstawały niejako obok zasadniczej twórczości literackiej Erica Arthura Blaira (tak naprawdę nazywał się Orwell). A równolegle z „Dziennikiem z folwarku" sporządzał on w 1939 r. „Dziennik wydarzeń prowadzących do wybuchu wojny". I 24 sierpnia tamtego roku zanotował: „Lotnisko w Moskwie udekorowane na przyjęcie Ribbentropa flagami ze swastyką. »M. Guardian« pisze, że zaopatrzono je w osłony po to, żeby nie były widoczne z okolicznych części miasta". I dalej: „Partia Konserwatywna robi dobrą minę do złej gry, jeśli chodzi o pakt Ribbentrop-Mołotow, deklarowany jako ruch ku pokojowi. Tak jak wcześniej, słychać głosy domagające się zawarcia układu Londyn-Moskwa".

Orwell był przyjacielem Polski. Słynne są jego słowa z sierpnia 1944 r., w których zaprotestował przeciw stanowisku brytyjskiej prasy, szczególnie lewicowej, starającej się sprawiać wrażenie, że Polacy w gruncie rzeczy zasługują na klęskę, choć zrobili dokładnie to, do czego namawiały ich rozgłośnie alianckie. „Pamiętajcie, że każdy z was zapłaci za swoją nieszczerość i tchórzostwo – grzmiał. – Nawet nie myślcie, że przez lata będziecie służalczo lizać buty sowieckiego reżimu i nagle znowu powrócicie do duchowej godności. Raz się skurwisz – kurwą zostaniesz".

Planowanej powieści o Katyniu nie zdążył już napisać. Pozostawił nam jednak książki niebywałe, jedne z najważniejszych, jakie powstały w minionym stuleciu, w tym tę wyjątkową „bajkę", bo taki nosi podtytuł „Folwark zwierzęcy", przypomniany teraz przez Bellonę w jednym tomie z „Dziennikiem z folwarku". Czytając w tym ostatnim o domowych zwierzętach Orwella, znajdziemy pierwowzór kozy Muriel, a w wizerunku konia smaganego batem przez chłopca z pewnością dostrzeżemy niezapomnianego Boxera – pamiętnych z „Animal Farm". ©℗

★★★★★★

GEORGE ORWELL „FOLWARK ZWIERZĘCY. DZIENNIK Z FOLWARKU" BELLONA, WARSZAWA 2021

eprasa.pl 8cfe74c930

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dwie Ukrainy

Dziesięć lat temu, za zachętą mera Lwowa, znany dobrze także w Polsce ukraiński pisarz Andrij Kurkow napisał powieść o tym wspaniałym mieście. Zabawną, ciepłą, w której legenda o lwowskim grobie Jimiego Hendrixa przeplata się z tajemniczą historią pewnego matrosa, grozą wiszącą nad miastem, stadami mew, wspomnieniami hippisów, gitarami Fendera oraz po prostu z miłością. (Ups, zapomniałem o nietypowym sposobie pozyskiwania pereł – będziecie zaskoczeni). „Jimi Hendrix we Lwowie" to świetnie napisana gawęda, bez jakiegoś mocnego przesłania, jedna z tych książek, które czytamy dla przyjemności obcowania z zajmującą opowieścią.

Kurkow tworzył hymn ku czci miejsca i ludzi, a jego książka to powieść przedmajdanowa. Niby tylko sprzed dekady, a jednak z epoki odległej. „Magnetyzm" Petra Jacenki to z kolei mroczna historia czasów po Majdanie i po rosyjskiej inwazji. Powieści Kurkowa i Jacenki to owoce dwóch różnych epok, ale łączy je metoda. Pisarze porzucają realizm, sięgając po elementy fantastyczne, jednak nie po to, by nas zadziwiać, lecz używając ich jako szkła powiększającego.

Główna bohaterka „Magnetyzmu", zwana Gadżet, obdarzona jest niezwykłą zdolnością: wystarczy, by dotknęła kawałka metalu, by ujrzeć całą jego historię. Możecie więc sobie wyobrazić, co widzi, gdy dotyka kuli, łuski pocisku, odłamka. Gadżet, której życie rozsypuje się na naszych oczach, ucieka z ogarniętego wojną Donbasu, szuka zajęcia, szuka bezpieczeństwa, wikła się w nowe uczuciowe współzależności.

Dwie Ukrainy: pierwsza rozmarzona, magiczna, pełna życia, druga rozstrzelana, zbrukana, opuszczona. Gadżet dorabia sobie, produkując steampunkową biżuterię na eksport – lepsze to niż kariera w biznesie erotycznym (też próbowała). Tyleż wart jest dla Zachodu kraj walczący o przetrwanie z rosyjskim agresorem: przyślą parę dolarów za drobiazgi poskładane ze skrawków metalu, które być może niedawno przeszyły czyjeś serce.

Bohaterowie Kurkowa przyszłość wiążą ze Lwowem i uważają to za rzecz oczywistą. Gadżet z książki Jacenki śni o ucieczce na Zachód, bo Ukraina wydaje się krainą no future. Zmieni zdanie, ale będzie to wymagało wiary, i to na skalę, o jakiej jeszcze dekadę wcześniej na Ukrainie nikt nie myślał. ©℗

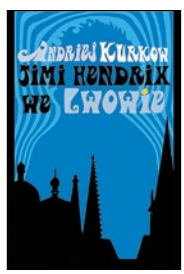

★★★★☆
ANDRIJ KURKOW „JIMI HENDRIX WE LWOWIE" NOIR SUR BLANC 2021

★★★★★☆
PETRO JACENKA „MAGNETYZM" WARSTWY 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Historia obsesji, obsesja historii" – dodaje w podtytule wywiadu rzeki znany historyk. I przygląda się kluczowym momentom naszych dziejów, od chrztu Polski i Rusi przez pytanie o możliwość unii trzech narodów aż do zaborów.

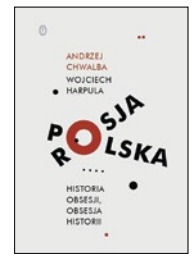

ANDRZEJ CHWALBA, WOJCIECH HARPULA „POLSKA ROSJA" WYDAWNICTWO LITERACKIE

Doświadczenie GUŁagu w literaturze – wychodząc od książki Herlinga-Grudzińskiego, przez dzieła z Ukrainy, Litwy, Rosji czy Bułgarii, a skończywszy na refleksjach twórców późniejszych (Jacek Kaczmarski, Jan Polkowski).

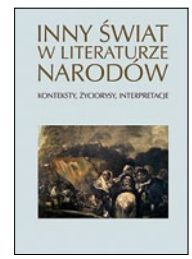

AUTORZY RÓŻNI „INNY ŚWIAT W LITERATURZE NARODÓW" INSTYTUT LITERACKI

Od warty przy grobie marszałka Piłsudskiego do pieszczot ze strony władz PRL – długa, powikłana i przedziwna historia życia Jarosława Iwaszkiewicza, twórcy tyleż wybitnego, co niepełnego, uwikłanego i wreszcie rozczarowanego.

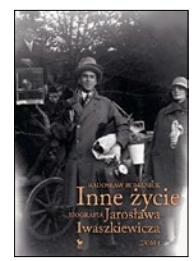

RADOSŁAW ROMANIUK „INNE ŻYCIE" ISKRY

Wybuch wulkanu sprawi, że nadejdzie wieczna zima? Ludzkość wytłuką wirusy? Sami się wytrujemy? Wszystkie te drogi są otwarte. Niestety. Opisuje je popularyzator nauki, redaktor magazynu „Time". ©℗

recenzuje Piotr Gociek

BRYAN WALSH „KONIEC ŚWIATA" CZARNA OWCA

KOMIKS TYGODNIA: „HUBERT"

Hubert wiedzie życie osobne, ale nie samotne, bo jest w nim sztuka – każdą wolną chwilę spędza w muzeach, przed ulubionymi obrazami. Medytuje. Podpatruje. Zapamiętuje. Dlaczego piękno nie miałoby mu towarzyszyć zawsze? Zwłaszcza gdy wokół nudna telewizja i jeszcze nudniejsi ludzie? Hubert sam sięga więc po pędzel. Czasem chce z pamięci namalować znane arcydzieło. A czasem uwiecznić nieznajomą mieszkającą po drugiej stronie ulicy. Czy taki rodzaj szczęścia to szczęście prawdziwe? Czy tylko poszukiwanie piękna uzasadnia nasze istnienie? Album Gijsemansa to piękny i zmuszający do myślenia debiut. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

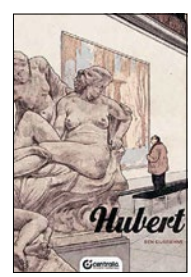

BEN GIJSEMANS „HUBERT" CENTRALA MĄDRE KOMIKSY 2021

eprasa.pl 8cfe74c930

Od lewej: Michał Francuz, Rafał Kwiatkowski, Joanna Konarzewska FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Żeleński / Szeluto / Fitelberg

„Przełom XIX i XX wieku to bez wątpienia jeden z najciekawszych i najbarwniejszych okresów w historii muzyki polskiej, a jednocześnie wciąż niewyczerpane źródło utworów, które czekają na przywrócenie im życia" – zauważa Mateusz Borkowski w opisie dwupłytowego albumu, którego wydaniu przyświecała idea przywrócenia do koncertowego życia albo niemal całkiem zapomnianych, albo po prostu mniej znanych przejawów twórczości kameralnej trzech twórców: Władysława Żeleńskiego (1837–1921), Apolinarego Szeluty (1884–1966) oraz Grzegorza Fitelberga (1879–1953). Na tym porządnie wydanym przez Stowarzyszenie Polskich Muzyków Kameralistów albumie znalazły się tria fortepianowe w wykonaniu Michała Francuza, Joanny Konarzewskiej oraz Rafała Kwiatkowskiego.

Pianista, kameralista i pedagog Michał Francuz, absolwent, a od 2010 r. wykładowca Akademii Muzycznej im. Ignacego Jana Paderewskiego w Poznaniu, prowadzi działalność artystyczną od przeszło 20 lat. Ze swoimi recitalami solowymi i kameralnymi oraz koncertami symfonicznymi zjeździł większość krajów Europy i ładny kawałek świata od Stanów Zjednoczonych do Arabii Saudyjskiej, Indii czy Wietnamu. Równie imponująca i zbyt długa na publikację w tym miejscu jest lista orkiestr i filharmonii, z którymi Francuz współpracuje. Towarzysząca mu na albumie pochodząca z Łodzi skrzypaczka Joanna Konarzewska to absolwentka Akademii Muzycznej w Krakowie oraz Syddansk Musikkonservatorium & Skuespillerskole w Odense. Solistka, kameralistka, muzyk orkiestrowy, koncertmistrz, uczestniczyła w licznych kursach mistrzowskich instrumentalistyki. Trio uzupełnia znakomity wiolonczelista Rafał Kwiatkowski. Absolwent i doktorant Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie, laureat pierwszych nagród międzynarodowych konkursów na całym świecie, solista i kameralista z imponującym muzycznym dossier obejmującym występy na renomowanych festiwalach i współpracę ze znakomitymi orkiestrami. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Piękne życzenia z kresów

Na piątym albumie polsko-ukraińska formacja zinterpretowała szczedriwki, tradycyjne pieśni życzeniowe śpiewane po prawosławnym Nowym Roku na terenie Ukrainy, Białorusi oraz wschodniej Polski. Jak piszą autorzy, nagrania „powstały z potrzeby przebudzenia życzliwości i dzielenia się Dobrem ze Wszystkimi ponad wszelkimi podziałami".

Piętnaście szczedriwek, w Polsce znanych jako szczodrówki, zarówno ukraińskich, jak i polskich, przepięknie zaśpiewały Daga Gregorowicz i Dana Vynnytska. W utworze „Na zdrowie" pojawia się Białorusinka Alena Kadanova, a tekst pieśni wykonany jest w trzech językach.

Wyjątkowość albumu „Tobie" polega także na przełożeniu „nieznanych" pieśni na język współczesnej muzyki. Ludowe melodie zostały wzbogacone o jazzowo-elektroniczne improwizacje („Hola hola", „Zazhurylasia") i groove'owe granie („Inaczej"), dzięki czemu nagrania omijają dalekim łukiem cepeliadę, a jednocześnie zachowują szacunek dla oryginałów. Duża w tym zasługa męskiej części zespołu, który tworzą: basista/skrzypek Mikołaj Pospieszalski i perkusista Bartosz Nazaruk. Kolejnym atutem jest udział w nagraniach prawie tuzina gości, w tym wuja Mateusza Pospieszalskiego.

Album kończy, zaaranżowana z wielkim rozmachem, ukraińska pieśń „Slaven es" („Sławiony jesteś"), której pisany po angielsku tytuł, „Slaven yes", nabiera symbolicznego znaczenia. ©℗

★★★★★☆
DAGADANA
„TOBIE"
AGORA

★★★★★★
VALERIE JUNE
„THE MOON AND STARS: PRESCRIPTIONS FOR DREAMERS"
FANTASY

Przepiękny, wielowymiarowy głos Valerie wyczarowuje nastroje radości, zachwytu czy tęsknoty. Czerpiąc z tradycji amerykańskiej muzyki (od gospel do folku), June szybuje między duchowością a cielesnością, snem i realnością. Orkiestrowe miniatury dodają całości tajemniczego uroku.

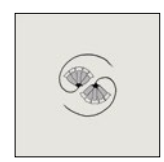

★★★★★☆
GODSPEED YOU! BLACK EMPEROR
„G_D'S PEE AT STATE'S END 1"
CONSTELLATION

Album zawiera dwie 20-minutowe suity i dwie 6-minutowe dronowe podróże. Jest to dramatyczna, instrumentalna ilustracja czasów ostatecznych. Finałowa „Our Side Has to Win" pokazuje, że Kanadyjczycy wierzą, iż nieunikniona zwycięska walka przywróci piękno i nadzieję. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

230. rocznica uchwalenia Konstytucji 3 maja

- Ustawa Rządowa z dnia 3 maja 1791 r.
- Nieoficjalny 3 Maja
- Konstytucja 3 maja – europejskie dziedzictwo w Archiwach Państwowych

PARTNER WYDANIA

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

eprasa.pl 8cfe74c930

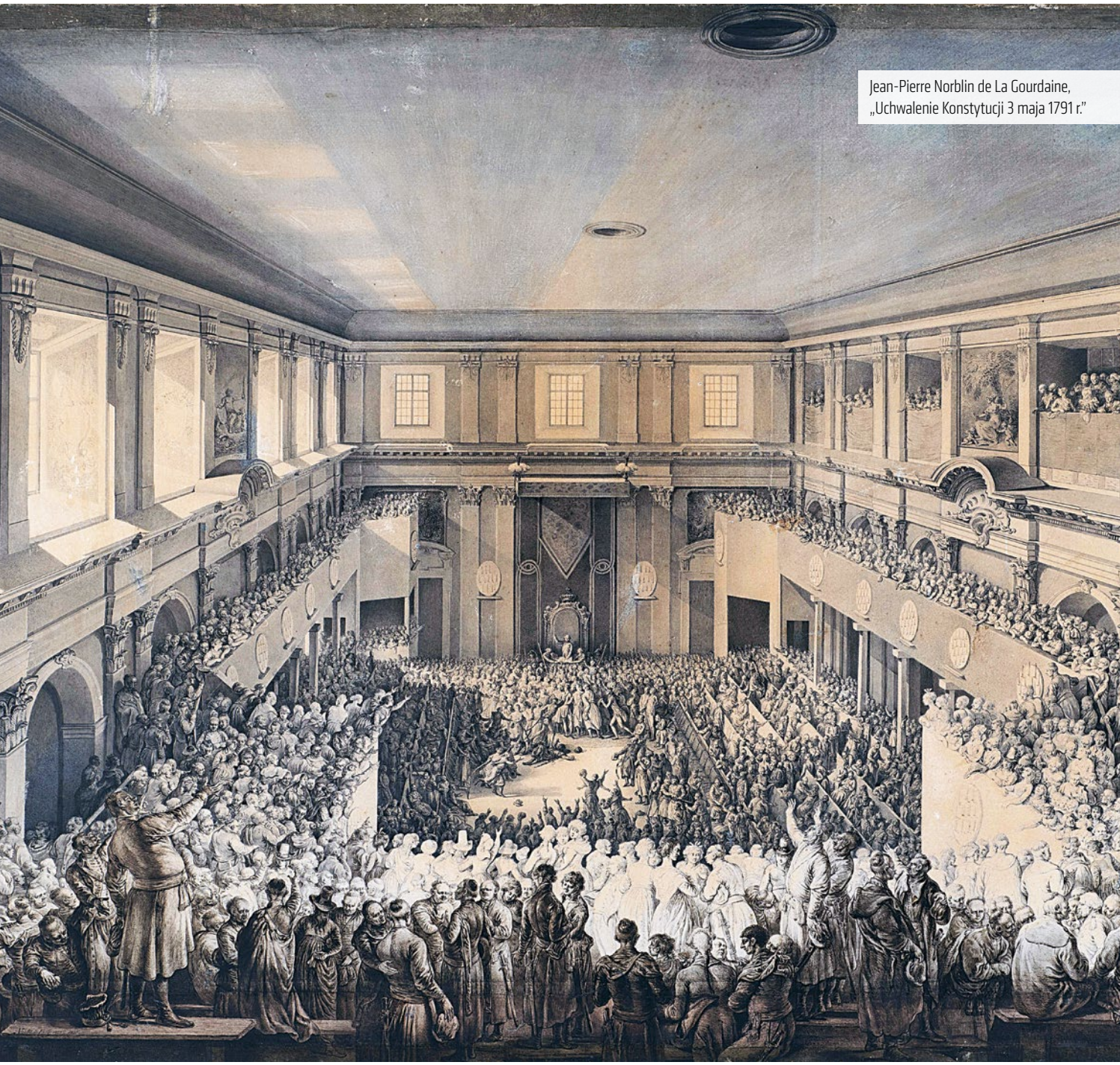

Jean-Pierre Norblin de La Gourdaine, „Uchwalenie Konstytucji 3 maja 1791 r."

Ustawa Rządowa z dnia 3 maja 1791 r.

eprasa.pl 8cfe74c930

Rafał Nowakowski

Pierwsza w Europie, druga na świecie" – tak konstatowano fakt uchwalenia ustawy rządowej 3 maja 1791 r. przez Sejm Czteroletni (1788–1792). Ustawa majowa była próbą ratowania Rzeczypospolitej Obojga Narodów po pierwszym rozbiorze (1772). W kontekście geopolitycznym była próbą ograniczenia ingerencji i wpływów zewnętrznych, ale przede wszystkim odrzucenia narzuconego protektoratu Rosji, która od 1768 r. była gwarantem status quo ustroju państwa polskiego (tzw. traktat o wieczystej przyjaźni). Sojusz zaczepno-obronny z 26 marca 1790 r. z Prusami, który był militarną gwarancją wsparcia dla Polski w razie ataku Rosji zaangażowanej od 1787 r. w wojnę z Turcją, a od 1788 r. ze Szwecją, stworzył w Sejmie warunki, by obóz patriotyczno-reformatorski (opozycja) pozyskał króla Stanisław Augusta Poniatowskiego. Panaceum upatrywano w gruntowanej reformie ustroju państwa, którą miał przeprowadzić sejm skonfederowany, podejmujący więc decyzję większością, a nie jednomyślnością głosów. Początkowe projekty – w duchu republikańskim – opracowane zostały przez członków Deputacji do Formy Rządów (m.in. Adam Stanisław Krasiński, Ignacy Potocki, Wojciech Suchodolski). Z końcem 1790 r. przekazano inicjatywę królowi, a 25 marca 1791 r. po licznych zmianach i konsultacjach powstał projekt „Prawa konstytucyjnego". Oprócz króla w redakcji tekstu konstytucji brali udział m.in. Hugo Kołłątaj, Ignacy Potocki czy Stanisław Małachowski. Istotny wpływ na treść przyszłej konstytucji, a przez to i ustroju państwa przewidzianego jako monarchia konstytucyjna, miało jednak przedłużenie z końcem 1790 r. konfederacji sejmowej połączonej z nowymi wyborami (w ich wyniku skład liczebny posłów uległ podwojeniu – liczył ponad 480, przy czym mandaty zachowali dotychczasowi posłowie). W zamian za zaakceptowanie postulatów szlacheckich, m.in. w zakresie przywilejów czy wzmocnienia roli i pozycji Sejmu, wypracowano model ustroju zbliżony do monarchii konstytucyjno-parlamentarnej.

Uchwalenie konstytucji dokonało się w wyjątkowych okolicznościach. W trosce o losy reformy środowisko prokonstytucyjne zastosowało fortel. Wykorzystało przerwę świąteczną (Wielkanoc), aby opóźnić przyjazd wszystkich posłów, przede wszystkim tych o orientacji promoskiewskiej. Dodatkowo przesunięto termin obrad z 5 na 3 maja, wystosowując zaproszenia imiennie głównie do posłów z obozu proreformatorskiego. W dniu głosowania na Zamku Królewskim w Warszawie obecnych było 182 deputowanych. W Sali Senatorskiej połączone stany posłów i senatorów – przy sprzeciwie 72 głosów, w atmosferze oburzenia, zarzutach o zamachu stanu – większością głosów przyjęły projekt konstytucji. Przebudowa państwa została zainicjowana.

Konstytucja składała się ze wstępu, jedenastu artykułów bez podziału na paragrafy, zakończenia, a także trzech dodatkowych ustaw (o miastach królewskich, o sejmikach). Artykuły 1–4 dotyczyły ustroju społecznego. Sankcjonowano wiarę katolicką jako panującą, ale z gwarancją i ochroną innych wyznań (apostazja pozostała karana). Regulowano pozycję szlachty (zachowanie przywilejów i gwarancję równości, ale z wyłączeniem tzw. gołoty – szlachty nieosiadłej), mieszczan (uzyskali nietykalność osobistą, możliwość wejścia do stanu szlacheckiego i dostępu do urzędów publicznych, prawo nabywania nieruchomości poza murami miasta), a także włościan, którym co prawda nie nadano pełni praw, w tym prawa własności ziemi, ale gwarantowano opiekę prawną i władzy rządowej. Kolejne trzy rozdziały dotyczyły ustroju politycznego. Znajdujemy w nim zapisy o zwierzchnictwie narodu (suweren), trójpodziale władzy: prawodawczej (sejm), władzy wykonawczej (król, Straż Praw i Komisje Wielkie) i sądowniczej (uporządkowano sądy miejskie i wprowadzono sądy ziemiańskie i trybunalskie). W rozdziale dotyczącym władzy wyczuwalny jest duch czasów oświecenia, to znaczy wpływów francuskich i angielskich. Parlament otrzymał dwuizbowy kształt: z dominującą, składającą się z 204 posłów, izbą poselską i kierowaną przez króla izbą senacką obejmującą 132 członków. W miejsce liberum veto wprowadzono głosowanie większością głosów. Sejm działał w dwuletniej kadencji i zbierał się na 70-dniowe sesje. Istotne zmiany zaszły w obszarze władzy wykonawczej. Zamiast wolnej elekcji wprowadzono monarchię dziedziczną (w razie wymarcia linii na tron wstąpić mieli przedstawiciele saskich Wettynów). Króla pozbawiono uprawnień ustawodawczych, pozostawiając mu honorowe przewodniczenie senatowi, a także zawiadywanie „gabinetem" – Strażą Praw. Konstytucja wprowadzała jednolity („unitarny") charakter państwa zamiast dotychczasowego federacyjnego ustroju państwa polsko-litewskiego, instytucje odrębne dla królestwa i księstwa zastąpiono wspólnymi instytucjami centralnymi. Ustawa porządkowała jednocześnie stan finansów publicznych i wzmacniała pozycję militarną państwa poprzez rozbudowę armii do 100 tys. żołnierzy.

Chociaż konstytucja miała charakter reformatorski, to nie była aktem doskonałym. Nie przełamała ostatecznie ustroju stanowego, nie wprowadziła zasady równości wszystkich wobec prawa. Zrywała z wieloma patologami tzw. demokracji szlacheckiej, co nie uchroniło jednak kraju przez upadkiem. Zapisy o trwałości norm i zasad konstytucyjnych, które mogły być zrewidowane dopiero po 25 latach przez sejm konstytucyjny, rok po jego uchwaleniu okazały się już martwą literą. Przeciwnicy reform zawiązali konfederację targowicką nad Dnieprem. Po krótkiej i przegranej kampanii wojennej z Rosją i opowiedzeniu się króla Stanisława Augusta Poniatowskiego po stronie targowiczan dokonał się drugi rozbiór Polski. Obradujący w Grodnie od czerwca do listopada 1793 r. sejm skonfederowany, zwołany pod dyktando Katarzyny Wielkiej, odrzucił w całości dorobek Sejmu Wielkiego. Zatwierdził też kolejne cesje terytorialne i sprowadził kraj do roli satelity Rosji. Upadek państwa zakończył trzeci rozbiór Polski wraz z fiaskiem insurekcji kościuszkowskiej.

„Konstytucje polskie. Z dziejów konstytucji na ziemiach polskich" – przegląd akt, który ukaże się w kwartalniku „Pamięć i Przyszłość" nr 1/2021 (51) wydawanym przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość" we Wrocławiu. Cały numer od 30 kwietnia 2021 r. dostępny będzie m.in. na stronie www.zajezdnia.org.

Rafał Nowakowski *– doktor nauk humanistycznych, historyk, politolog, absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Zawodowo związany z administracją publiczną, naukowo – z Dolnośląską Szkołą Wyższą. Współpracownik Ośrodka „Pamięć i Przyszłość" (Centrum Historii Zajezdnia) we Wrocławiu.*

eprasa.pl 8cfe74c930

Nieoficjalny 3 Maja

W okresie Polski Ludowej w 1951 r. 3 Maja zniknął z kalendarza świąt państwowych. Osoby, które chciały zamanifestować pamięć o konstytucji z 1791 r., a nade wszystko zaprotestować przeciwko polityce komunistów w Polsce, były w różny sposób represjonowane. 3 Maja to także jedno z najważniejszych świąt kościelnych, co dodatkowo powodowało niechęć PRL-owskich władz

Sebastian Ligarski Grzegorz Majchrzak

Obchodzone jeszcze w 1946 r. święto stało się okazją do jednoznacznego poparcia dla Stanisława Mikołajczyka oraz kierowanego przez niego Polskiego Stronnictwa Ludowego i wyrażenia sprzeciwu przeciwko nowej władzy. Do największej manifestacji doszło tego dnia w Krakowie. Wówczas to „uformowany po mszy pochód – złożony głównie ze studentów, ale też m.in. harcerzy czy uczniów szkół średnich – nie został wpuszczony na ul. Grodzką. Po negocjacjach skierował się w stronę ul. św. Anny, tam jednak zażądano rozwiązania zgromadzenia. Nastroje były już napięte, wznoszono okrzyki na cześć Mikołajczyka i PSL, z żądaniem wolnych wyborów czy powrotu Wilna i Lwowa do Polski. Funkcjonariusze UB i KBW, częściowo na koniach, rozpoczęli rozpędzanie manifestacji. Zamieszki rozlały się na centrum miasta. Wkrótce zaczęły padać strzały. Dowodzący akcją szef UB w Krakowie Jan Frey-Bielecki osobiście jeździł wzdłuż Plant wojskowym samochodem ze sprzężonym czterolufowym karabinem maszynowym, z którego strzelano na postrach ponad manifestantami. Jeden z uczestników wydarzeń relacjonował, że kanonada była większa, niż jak Niemcy opuszczali Kraków przed Sowietami" – pisał Michał Wenklar. W czasie demonstracji aresztowano wiele osób, mówiono również o ofiarach, czego jednak nigdy nie udało się potwierdzić. W lipcu siedmiu aresztowanych skazano na kary od jednego roku do pięciu lat więzienia.

Warto wspomnieć również o manifestacji z okazji święta 3 Maja w 1946 r. w Szczecinku. „Po odprawieniu mszy świętej w miejscowym kościele, mimo obowiązującego zakazu, ulicami Szczecinka przemaszerował tłum mieszkańców. Na czele pochodu niesiono trumienkę opatrzoną napisem »3 Maja« oraz flagi państwowe przewiązane czarnym kirem, symbolizujące pogrzebanie praw demokratycznych i swobód obywatelskich w Polsce. Podczas marszu skandowano hasła sprzeciwu wobec komunistycznym rządom i obecności wojsk sowieckich w Polsce, jednocześnie wyrażając poparcie dla PSL" – relacjonował Tomasz Dźwigał. Inicjatorzy tej manifestacji zostali skazani przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Szczecinie na kary kilku lat więzienia za rzekome „czynienie przygotowań do zmiany przemocą ustroju Państwa Polskiego".

Później, przez wiele lat, do 1980 r. święto 3 Maja obchodzono głównie w kościołach, przypominano o nim w ulotkach czy na napisach na murach. Zaczęło się to zmieniać dopiero w momencie utworzenia opozycji demokratycznej. 3 maja 1980 r. obchody w Gdańsku zorganizowały wspólnie Ruch Młodej Polski i Wolne Związki Zawodowe. Arkadiusz Kazański pisał: „W poprzedzających ją dniach wydrukowano kilkanaście tysięcy ulotek. Po mszy w kościele NMP zorganizowano wiec pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego. Podczas pochodu z kościoła pod pomnik niesiono flagi narodowe i transparenty: »Ruch Młodej Polski«, »Katyń pamiętamy«, »Niepodległość Polsce – demokracja Polakom«, »Broniąc ludzi, bronimy Ojczyzny« i »Żądamy nauczania bez kłamstwa«. Ostatnie hasło wiązało się z akcją prowadzoną przez RMP, głównie w szkołach średnich, która polegała na tworzeniu kół samokształceniowych z zakresu historii i kultury polskiej". Do ok. 5 tys. osób przemawiali m.in. współzałożyciel RMP Dariusz Kobzdej, a także związany z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela Tadeusz Szczudłowski. Obaj zostali później zatrzymani i skazani przez kolegium ds. wykroczeń na karę trzech miesięcy aresztu. Ponadto już po zakończeniu uroczystości funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa pobili kilka osób.

Następna rocznica przypadała już w czasie tzw. karnawału Solidarności. Z inicjatywy środowiska RMP w Gdańsku 22 kwietnia ukonstytuował się Komitet Obywatelski Obchodów 190. Rocznicy Uchwalenia Konstytucji 3 maja. Manifestacja po raz kolejny miała odbyć się pod pomnikiem króla Jana III Sobieskiego. Wzięło w niej udział ponad 100 tys. osób.

O ile w czasie tzw. karnawału Solidarności obchody przebiegały spokojnie, uroczyście, o tyle w stanie wojennym zawsze kończyły się walkami ze Zmotoryzowanymi Odwodami Milicji Obywatelskiej (ZOMO). Tak było już od 3 maja 1982 r. Do gwałtownych starć doszło w Warszawie, Gdańsku, Gdyni, Szczecinie, Elblągu, Toruniu, Lublinie, Krakowie, Łodzi, Gliwicach i Bydgoszczy.

O obchodach rocznicy Konstytucji 3 maja w czasach PRL można przeczytać w najnowszym wydaniu kwartalnika „Pamięć i Przyszłość" nr 1/2021 (51) wydawanego przez Ośrodek „Pamięć i Przyszłość" we Wrocławiu. Cały numer od 30 kwietnia 2021 r. dostępny będzie m.in. na stronie: www.zajezdnia.org.

Sebastian Ligarski *– doktor habilitowany nauk humanistycznych w zakresie historii, pracownik Instytutu Pamięci Narodowej w Szczecinie.*

Grzegorz Majchrzak *– doktor nauk politycznych w zakresie historii, od 2000 r. pracownik Biura Edukacji Publicznej (od 2015 r. Biura Badań Historycznych) Instytutu Pamięci Narodowej, członek Stowarzyszenia „Archiwum Solidarności" i Stowarzyszenia Wolnego Słowa.*

eprasa.pl 8cfe74c930

Konstytucja 3 maja

– europejskie dziedzictwo w Archiwach Państwowych

3 maja 1791 r. Sejm Czteroletni uchwalił Ustawę Rządową – Konstytucję 3 maja. To jeden z najważniejszych aktów w dziejach Polski i jeden z najcenniejszych rękopisów przechowywanych obecnie w Archiwum Głównym Akt Dawnych. W 2015 r. dokument wyróżniony został prestiżowym Znakiem Dziedzictwa Europejskiego

Konstytucja obowiązywała zaledwie rok. 18 maja 1792 r. caryca rosyjska Katarzyna II wypowiedziała Polsce wojnę i odniosła w niej zwycięstwo, doprowadzając do kolejnego rozbioru Rzeczypospolitej. Jej sojusznicy skupieni w szeregach konfederacji targowickiej podjęli próby zatarcia wszelkich śladów po ustawie zasadniczej, z zaciekłością ścigając oryginalne egzemplarze dokumentu.

ORYGINAŁY DOKUMENTU W ARCHIWACH PAŃSTWOWYCH

W Archiwum Głównym Akt Dawnych w Warszawie przechowywane są trzy unikatowe oryginalne egzemplarze Konstytucji 3 maja. Tekst z tzw. Metryki Litewskiej z podpisami marszałków sejmu został ocalony przed zniszczeniem przez Rosjan w Bibliotece Królewskiej. Egzemplarz z Archiwum Publicznego Potockich przechowali w ukryciu przedstawiciele tego rodu. Trzeci egzemplarz Konstytucji jest częścią obszernego, liczącego 25 tomów Archiwum Sejmu Czteroletniego. Zbiór ten, zabezpieczony przez jednego z sekretarzy sejmowych, Antoniego Siarczyńskiego, trafił w 1808 r. do Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, a po rozwiązaniu tej instytucji w 1832 r. wywieziono go do Rosji, skąd powrócił do Polski w ramach rewindykacji archiwaliów dopiero w 1964 r.

Ponadto w AGAD zachował się urzędowy druk tekstu Ustawy Rządowej z formułą wpisu do akt grodzkich warszawskich, potwierdzony pieczęcią i podpisem pisarza grodzkiego.

W skład Ustawy Rządowej wchodzi uroczysta preambuła i 11 artykułów, w których uregulowano podstawowe zasady ustrojowe ówczesnej Rzeczypospolitej, kształt przyszłego rządu, problemy gospodarcze i społeczne oraz miejsce Kościoła w państwie.

Pudło w ozdobnej oprawie ze zbiorów arcybiskupa warszawskiego i prymasa Królestwa Polskiego Jana Pawła Woronicza, w którym prawdopodobnie była przechowywana Konstytucja 3 maja, ukrywana przed Rosjanami po rozbiorach państwa polskiego. Oprawa przedstawia herby Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego wyszyte srebrną nicią na czerwonym aksamicie. Pudło przechowywane jest w Archiwach Państwowych: Archiwum Głównym Akt Dawnych

PAMIĘĆ O KONSTYTUCJI W SIECI ARCHIWÓW PAŃSTWOWYCH I ARCHIWACH POLONIJNYCH

Wiele bezcennych źródeł uzupełniających zbiory AGAD przechowywanych jest w sieci Archiwów Państwowych w całej Polsce. Dotyczą one głównie obchodów kolejnych rocznic uchwalenia Konstytucji 3 maja w różnych regionach Polski. Szczególne znaczenie miały te organizowane przed odzyskaniem niepodległości. Materiały historyczne 100. rocznicy w 1891 r. zachowały się m.in. w Archiwum Narodowym w Krakowie, z kolei interesujące źródła do 125. rocznicy, świętowanej w 1916 r., przechowują m.in. Archiwum Państwowe w Przemyślu oraz Archiwum Państwowe w Warszawie. Ukazują one uczczenie tego wydarzenia także przez społeczności innych wyznań, w tym Kościół ewangelicko-reformowany w Warszawie. Dowodzi to uniwersalnego charakteru idei 3 Maja, które odgrywały rolę integrującą w warunkach braku niepodległego państwa polskiego.

Pamięć o Konstytucji była elementem budowania wspólnoty narodowej w okresie II Rzeczypospolitej, jak też po drugiej wojnie światowej, co znajduje potwierdzenie w zasobach archiwalnych z tego okresu. Od ponad 20 lat materiały dotyczące obchodów kolejnych rocznic ustanowienia Konstytucji są także zabezpieczane przez Archiwa Państwowe w ośrodkach polonijnych, m.in. w Londynie, Paryżu, Rzymie, Nowym Jorku i Chicago.

Wiele bezcennych źródeł wskazanych w niniejszym tekście jest dostępnych on-line na ogólnopolskim portalu: www.szukajwarchiwach.gov.pl.

eprasa.pl 8cfe74c930

Łukasz Warzecha

Covidowa segregacja

FOT. ALAIN ROLLAND/EU/EP

Konstrukcja Zielonego Certyfikatu Cyfrowego okazuje się przy bliższym przyjrzeniu się na tyle liberalna, że powstaje pytanie, czy w ogóle ma on sens. Można postawić pytanie: Czy nie jest to jedna wielka gra pozorów, która ma jedynie służyć Komisji Europejskiej do podreperowania swojej pozycji?

Żyć tylko po to, żeby przeżyć, nie ma sensu w dłuższym okresie – taki trafny argument padał nieraz, choćby ze strony najbardziej medialnych francuskich filozofów, takich jak Chantal Delsol, Bernard-Henri Lévy czy André Comte-Sponville. Pandemia zabrała nam mnóstwo rzeczy, za sprawą których nasze życie miało wartość. Taką rzeczą było podróżowanie pomiędzy państwami. To, co miało być jednym z głównych osiągnięć zjednoczonej Europy, ugruntowanym porozumieniem z Schengen, niemal z dnia na dzień stało się ryzykownym i obarczonym ogromnymi trudnościami luksusem. Wiele osób, dla których zagraniczne podróże były nie tylko sposobem na spędzanie wakacji, lecz także częścią pracy, odczuwa ten stan jako poważny cios dla psychiki.

Zresztą gdy chodzi o podróże służbowe, trzeba założyć, że nawet po wygaśnięciu pandemii sprawy nie wrócą długo lub nigdy do dawnego poziomu, ponieważ zdalne spotkania okazały się sposobem na duże oszczędności i w większości przypadków mogą zastąpić kontakty twarzą w twarz.

UDERZENIE W UNIĘ

Zamrożenie podróży ma oczywiście wymiar nie tylko psychologiczny, lecz także ekonomiczny. Dane dotyczące branży lotniczej są porażające. W ubiegłym roku liczba powietrznych podróży spadła rok do roku o 60 proc., do poziomu z roku 2003. W 2019 r. pasażerów było ok. 4,5 mld, zaś rok później tylko 1,8 mld. Międzynarodowa Organizacja Lotnictwa Cywilnego (ICAO) podaje, że branża straciła zyski rzędu 370 mld dol. Nic dziwnego, skoro tylko do kwietnia 2020 r. liczba pasażerów spadła o 92 proc. w ruchu wewnętrznym i międzynarodowym wobec tego samego okresu w poprzedniego roku. ICAO nie przewiduje szybkiej i znaczącej poprawy sytuacji. Przedstawione w styczniu scenariusze nie dają wielkich nadziei. Optymistyczny zakłada, że do czerwca ruch lotniczy wyniesie 71 proc. wartości z 2019 r. Pesymistyczny mówi jedynie o 49 proc. To przekłada się na inne branże: przemysł lotniczy, obsługę cateringową, miejsca pracy w lotnictwie, a nawet sytuację agencji kontroli lotów, w większości państw (także w Polsce) utrzymywanych z wpływów od linii lotniczych.

Jeszcze potężniejsze są straty krajów żyjących z turystyki. Według danych z lutego tego roku 50 krajów najważniejszych dla światowej branży turystycznej straciło już łącznie wskutek pandemii ponad 753 mld dol.! Platforma międzynarodowej rezerwacji hoteli Hoo oszacowała, że koszt rezerwacji poczynionych w 2020 r. spadł rok do roku prawie o 58 proc., z 1,3 bln dol. do niecałych 549 mld dol.

Odbija się to zwłaszcza na tych państwach UE, które z turystyki żyją – to przede wszystkim Hiszpania, Włochy, Grecja. Same Włochy szacują swoje straty w turystyce tylko w ubiegłym roku na 121 mld euro.

Nic dziwnego, że już miesiące temu zaczęły się na poziomie unijnym dyskusje o tym, jak można by w tym roku choćby częściowo uruchomić turystykę, przynajmniej wewnątrz UE. Po blamażu związanym ze zbiorowym zakupem szczepionek Bruksela mogła uznać, że to doskonały sposób, by choć częściowo odzyskać utracone zaufanie. Ten plan trzeba widzieć w kontekście szerszego procesu, którego tutaj analizować nie będziemy, ale trzeba go jednak dostrzec. Pandemia to bowiem między innymi uderzenie w Unię. Jej powolna, nieadekwatna początkowa reakcja, następnie problemy ze szczepionkami, a do tego praktyczne przywrócenie granic, a więc utrata jednej z najbardziej widocznych korzyści z istnienia wspólnoty, mogą się przełożyć na ogólny sentyment wobec UE. To zaś z kolei może wpłynąć na wybory polityczne w krajach członkowskich i wzmocnić siły Unii niechętne. Pamiętajmy, że we wrześniu w Niemczech – najsilniejszym kraju UE – odbędą się wybory do Bundestagu. Wszystko to jest ze sobą powiązane.

eprasa.pl 8cfe74c930

Struktury unijne popychają zatem do przodu pomysł Zielonego Certyfikatu Cyfrowego. Jako że procedura nie napotyka przeszkód, realny jest zaplanowany termin uruchomienia systemu w czerwcu. Podczas głosowania nad tym pomysłem pod koniec marca w Parlamencie Europejskim na tak byli wszyscy polscy europosłowie ze Zjednoczonej Prawicy poza Patrykiem Jakim i Beatą Kempą, którzy wstrzymali się od głosu. Przeciwko nie opowiedział się nikt z polskich deputowanych.

GRA POZORÓW

Certyfikat wywołuje jednak olbrzymie emocje i obawy, które mają dwojaką podstawę. Po pierwsze – to kwestia naruszenia prywatności i tak już mocno nadwątlonej podczas pandemii. Po drugie – potencjalnej dyskryminacji w zależności od kwestii zdrowotnych. Jednak bliższe przyjrzenie się projektowi prowadzi do zaskakujących wniosków.

Przede wszystkim nie mówimy tutaj o systemie scentralizowanym. Chociaż sam certyfikat miałby mieć ujednoliconą postać, to dane obywateli poszczególnych krajów byłyby przechowywane jedynie na poziomie tych państw. To oczywiście nie oznacza, że nie mamy się czego obawiać. Jeśli przyglądamy się temu, jak radzi sobie z zabezpieczaniem danych polska administracja, to nie mamy powodów do wielkiego zaufania. Najnowszy incydent w postaci omyłkowego ujawnienia danych pracowników różnych służb – w tym specjalnych – zgłoszonych do szczepienia nie pomaga.

Dorota Głowacka z Fundacji Panoptykon, zajmującej się zagadnieniami ochrony prywatności i inwigilacji obywateli, w rozmowie z „Do Rzeczy" zauważa, że te akurat kwestie w przypadku paszportu szczepionkowego nie powinny budzić największych obaw. „Te dane na poziomie krajowym i tak są już w większości zbierane" – mówi Głowacka, aczkolwiek dodaje, że faktycznie nie znamy szczegółów technicznych rozwiązań.

Propozycji KE przyjrzała się także uważnie Europejska Rada Ochrony Danych Osobowych – jeden z organów UE. Raport w tej sprawie, opublikowany pod koniec marca, nie zawiera sformułowań alarmujących, aczkolwiek zauważono w nim między innymi, że Komisja nie rozważyła, czy podobnych celów nie uda się osiągnąć za pomocą metod już istniejących i mniej wkraczających w sferę prywatną. Z drugiej strony odnotowano, że propozycja jasno mówi, iż certyfikat ma zawierać tylko dane absolutnie niezbędne do osiągnięcia zakładanych celów.

Komisja zapowiada, że certyfikaty mają być tymczasowe i zostaną zniesione, gdy WHO ogłosi koniec pandemii. Tutaj jednak mamy powody do sceptycyzmu – jak wiadomo, rozwiązania tymczasowe, zwłaszcza powiększające zakres ingerencji rządów w nasze życie, mają tendencję do trwania latami. Co więcej, rozporządzenie wspólne PE i Rady UE nie jest tu jednoznaczne. W art. 4. mówi tylko: „Rok po tym, jak dyrektor generalny Światowej Organizacji Zdrowia ogłosi […], że skończył się stan zagrożenia zdrowia publicznego o zasięgu międzynarodowym spowodowanego przez SARS-CoV-2, Komisja przedstawia Parlamentowi Europejskiemu i Radzie sprawozdanie ze stosowania niniejszego rozporządzenia. Sprawozdanie zawiera w szczególności ocenę wpływu niniejszego rozporządzenia na ułatwienie swobodnego przepływu obywateli Unii i członków ich rodzin, a także na ochronę danych osobowych podczas pandemii COVID-19". Ani słowa o automatycznej likwidacji certyfikatów.

Problem z certyfikatem leży w czym innym: otóż jego konstrukcja okazuje się przy bliższym przyjrzeniu się na tyle liberalna, że powstaje pytanie, czy w ogóle ma on sens. Jasne jest, że nie można było ograniczyć jego dostępności jedynie do osób zaszczepionych. Po pierwsze – bo do lata tego roku na pewno nie wszyscy chcący się zaszczepić otrzymają szczepionki. Po drugie – bo szczepienia pozostają, przynajmniej formalnie, nieobowiązkowe. Dlatego otwarto dwie alternatywne drogi. Jedna to przechorowanie COVID, druga to test, w tym także antygenowy. W pierwszym przypadku certyfikat ma być ważny przez 180 dni. Co do czasu ważności testu – nie ma o tym mowy w cytowanym wyżej rozporządzeniu, bo zostanie to zapewne sprecyzowane w aktach wykonawczych KE. Można jednak założyć, że nawet jeśli nie będzie to również 180 dni, to będzie to w każdym razie czas dłuższy niż dziś przyjmowany przez linie lotnicze czy niektóre państwa przy przekraczaniu granicy, a wynoszący często jedynie kilkadziesiąt godzin. Nawet gdyby certyfikat miał ważność, dajmy na to, 30 dni po wykonaniu testu, to i tak zabezpieczenie, jakie będzie dawał, będzie przecież złudne. W ciągu miesiąca można się spokojnie zarazić i zacząć zakażać. A skoro tak, to można postawić pytanie: Po co w ogóle certyfikat? Czy nie jest to jedna wielka gra pozorów, która ma jedynie służyć Komisji Europejskiej do podreperowania swojej pozycji? Tego typu wątpliwości ma także Panoptykon. Jego aktywiści uważają, że system może tworzyć fałszywe poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie niesie ze sobą koszty finansowe oraz dla praw człowieka. Dlatego nie budzi on ich entuzjazmu.

Z drugiej strony państwa członkowskie będą mieć prawo ustanawiania surowszych reguł. Będą jedynie musiały zgłosić taki zamiar KE i go uzasadnić. A o to nietrudno.

POWODY DO OBAW

Jeżeli zatem pójdzie źle, to możemy mieć w praktyce bezużyteczny dokument, i tak nieuznawany przez część państw, wkraczający w naszą prywatność oraz obowiązujący latami, dawno po ustaniu pandemii. A wówczas będzie można podpiąć pod niego kolejne dane, tworząc system zróżnicowania przywilejów w zależności od stanu zdrowia.

Tego przede wszystkim powinniśmy się obawiać. Niestety, taki pomysł pojawił się również w Polsce w postaci zadziwiającej propozycji wicepremiera Jarosława Gowina, który chce, żeby dostęp do usług czasu wolnego – kin, restauracji, siłowni itd. – mieli zaszczepieni. To propozycja niekonstytucyjna, bo różnicująca obywateli ze względu na stan zdrowia, a na dodatek absurdalna w momencie, gdy całe miesiące dzielą nas od momentu, kiedy wszyscy chętni będą już po przyjęciu szczepionki. Nawet wówczas trudno byłoby ją zaakceptować. Jeśli takie zasady chcieliby tworzyć prywatni przedsiębiorcy, to może dałoby się z tym pogodzić, choć nawet tutaj byłyby duże wątpliwości prawne. Ale wprowadzanie takiej reguły na poziomie państwowym jest ewidentnie niezgodne z zasadą nieobowiązkowości szczepień.

Zresztą i nad propozycją Gowina, i nad unijnym certyfikatem wiszą te same pytania. Jak długo będzie działać szczepionka? Co w razie pojawienia się nowych wariantów wirusa, na dotychczasowe preparaty niewrażliwych? Nie wiadomo. Jedno jest pewne: każdą tego typu inicjatywę trzeba bardzo uważnie obserwować i wywierać presję, aby miała jak najbardziej ograniczony zakres.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

FOT. ADOBE STOCK

Apologia Jezusa Chrystusa

ks. Przemysław Artemiuk

Paweł Lisicki, po ostatnich pracach poświęconych Kościołowi, powraca do obrony Mistrza z Nazaretu i czyni to w pięknym stylu. Jego najnowsza książka, zatytułowana „Kto fałszuje Jezusa? Odpowiedź na oskarżenia współczesnych ateistów", jest apologią sensu stricto

Redaktor naczelny „Do Rzeczy" nie tylko zapoznaje czytelnika z fałszywymi wizerunkami Jezusa autorstwa nowych ateistów i pokazuje intelektualne zaplecze współczesnych krytyków chrześcijaństwa, lecz także przeprowadza wobec tego rodzaju poglądów konsekwentną i kompetentną obronę. W części pierwszej pracy Lisicki rozprawia się z tezami Richarda Dawkinsa, Christophera Hitchensa, Yuvala N. Harariego. Nie brakuje również słów krytyki dla poglądów Barta D. Ehrmana, Gerda Lüdemana, Gezy Vermesa, Jensa Schrötera, Johna P. Meiera czy Karen L. King, którymi redaktor „Do Rzeczy" zajmuje się w części drugiej. Lisicki pokazuje dobitnie, że innego Jezusa niż Ten, którego znamy z kart Ewangelii, po prostu nie ma. Uzasadniając tę tezę w części trzeciej i czwartej, konsekwentnie rozwija apologię Chrystusa, ukazując Jego historię od dzieciństwa aż do Zmartwychwstania. Dotyka szczególnie tych miejsc z Ewangelii i faktów z życia Jezusa, które szczególnie upodobali sobie krytycy, budując na nich swoje fałszywe i nierzadko obrazoburcze narracje.

CHARAKTERYSTYKA NOWEGO ATEIZMU

Dlaczego tym razem redaktor naczelny „Do Rzeczy" postanowił rozprawić się z nowymi ateistami? Czym w swej istocie jest nowy ateizm? Termin został ukuty przez dziennikarzy. Jako pierwszy użył tej nazwy Gary Wolf, publikując w roku 2006 na łamach angielskiego magazynu „Wired" artykuł o trzech głośnych książkach antyreligijnych. Były nimi: „Koniec wiary" Sama Harrisa, „Odczarowanie. Religia jako zjawisko naturalne" Daniela Dennetta oraz „Bóg urojony" Richarda Dawkinsa. Z czasem do tego grona dołączono Christophera Hitchensa, który publikując pracę „Bóg nie jest wielki", stał się czwartym ideologiem nowego ateizmu. Ten ateizm różni się od klasycznych form negacji, które znamy. Jego specyfika nie dotyczy jedynie nazwy. Z pewnością jest bardziej agresywny, nie przebiera w środkach, wszystko dla niego jest dobre, co służy ośmieszeniu religii i ludzi wierzących. Nowy ateizm instrumentalizuje dla swoich celów nauki przyrodnicze, manipuluje wynikami badań i w ten sposób próbuje narzucić swój własny pogląd na świat. Znakomicie uchwycił działania nowych ateistów niemiecki biblista i teolog Gerhard Lohfink.

eprasa.pl 8cfe74c930

Niczym misjonarze „naukowcy, publicznie głoszący ateizm, piszą książki – stające się szybko bestsellerami – skierowane przeciw chrześcijaństwu. Mają oni wiele do powiedzenia w telewizji. Wszędzie propagują swoją teorię świata i domagają się na cały głos, aby ona stała się panująca. Oni też rezerwują wyłącznie dla siebie prawo tłumaczenia całej rzeczywistości. Przemysł, zorganizowany wokół kultury, sięga chciwie po ich argumenty. Ma wielki żołądek. Cały czas potrzebuje pożywki. Łaknie również takiego tematu jak »ateizm«". Jaki cel stawiają sobie nowi ateiści? Chodzi im przede wszystkim o wyrugowanie ze świata „niebezpiecznej głupoty", jaką jest religia. Czynią to w imię nauki i humanizmu. W tym celu organizują się w związki i systematycznie podejmują walkę z „religijnymi zabobonami". Przedstawiają przy tym religię jako truciznę, „która zawsze wnosiła do świata gwałt, terror i zniewolenie". Zdaniem nowych ateistów, „kto wierzy w Boga, ten nie tylko jest w błędzie, ale jest też zaślepiony i cierpi urojenia". Wierzący stanowią dla społeczeństwa bardzo niebezpieczną kategorię, dlatego „koniecznie potrzebują pomocy, która wyzwoli ich z narzuconych przez wiarę zachowań". Jakimi argumentami posługują się nowi ateiści? W zasadzie wykorzystują stare slogany, podgrzewane biologią ewolucyjną. Bóg jest dla nich projekcją; człowiek powstał w wyniku ewolucji; cierpienie przeczy istnieniu Boga; religie generują jedynie przemoc; dobro pochodzi z nas; Biblia jest prymitywna; nie ma innego życia poza ziemią.

GŁOSY KRYTYKÓW

Poglądy na osobę Jezusa i genezę chrześcijaństwa nowi ateiści czerpią od biblistów krytyków niezgadzających się z oficjalną narracją katolicką. Lisicki odsłania ich intelektualne zaplecze, analizuje poglądy, polemizuje, odwołując się do prac znakomitych badaczy życia Jezusa, pozostających ortodoksyjnymi pomimo różnic konfesyjnych. Mierząc się z głosami krytyków, redaktor naczelny „Do Rzeczy" ukazuje kontekst ich wypowiedzi, klimat towarzyszący publikacji prac, przychylność lewicowych mediów. Kiedy czyta się na spokojnie i z dystansem kontrowersyjne wypowiedzi na temat Jezusa, uderzają w nich ideologiczne zacietrzewienie i towarzyszące badaniom wstępne założenia, które lekceważą obiektywność źródeł. Krytycy patrzą na wczesne teksty chrześcijan, mając na nosie okulary całkowicie zaciemniające spojrzenie. Osobę Jezusa odczytują przez pryzmat dzisiejszych sporów i dominujących ideologii. Aż dziw bierze, że ich prace nazywane bywają wybitnymi czy też przełomowymi. Najlepszym przykładem niech będzie „historia jednego papirusu", którą relacjonuje Lisicki.

POWRÓT DO ŹRÓDEŁ

Prezentując życie Jezusa, redaktor naczelny „Do Rzeczy" sięga do najlepszych prac historyków i biblistów. Przywołuje tutaj badaczy tej miary co Klaus Berger, Martin Hengel, Larry W. Hurtado, Richard Bauckham, Brant Pitre czy Rainer Riesner. Wspomniany już Gerhard Lohfink, publikując w roku 2011 pracę poświęconą Jezusowi, stanowiącą niejako syntezę jego badań nad życiem Nazarejczyka, zauważył, że napisano na ten temat niezliczoną ilość książek, a jednak cały czas „nie można pojąć do końca Jego Osoby i każda epoka musi Go odkrywać na nowo". Wydaje się, że to przekonanie towarzyszy także polskiemu apologecie. Lisicki odkrywa przed nami prawdziwe i zarazem pełne oblicze Chrystusa. Wie bowiem doskonale, i tutaj całkowicie zgadza się z niemieckim biblistą, że „obecnie Jezus nazbyt często uznawany jest za zwykłego proroka, uzdolnionego charyzmatyka, radykalnego rewolucjonistę, skutecznego uzdrowiciela, przyjaznego ludziom pracownika społecznego czy też wręcz za pobożnego rabbiego". A przecież „rzeczywiste roszczenia tego, co się ujawnia i wyraża w działalności Jezusa, zostaje tym samym pominięte, a w konsekwencji powstaje przekonanie, że to dopiero gminy wczesnego chrześcijaństwa »ubóstwiły« Jezusa".

Dlatego Lisicki podpowiada, co mamy zrobić, jeśli chcemy wiedzieć, kim rzeczywiście Nazarejczyk był i czego chciał. Winniśmy wrócić do najbardziej pierwotnych źródeł. One w gruncie rzeczy pokazują rzecz fundamentalną: Jezus żył w pełni doświadczeniem wiary swojego ludu, ale wskazał też, objawił przepastne, Boskie głębiny tego doświadczenia. Kto rzeczywiście chce pójść za Jezusem Chrystusem, ten musi naśladować Go na tej drodze, odkrywając szlaki tych, którzy na początku, niekiedy przedzierając się przez ciemności niezrozumienia i swoich osobistych ograniczeń, odkryli w Nim prawdę i życie. „To pamięć uczniów jest podstawą wiary. A podstawą pamięci są czyny i słowa Jezusa, Jego boska osoba". I jeszcze jedno: „Wiedza historyczna na temat kultu oddawanego Chrystusowi sama w sobie jest znakiem autentyczności przekazów". Dlatego z całą mocą należy podkreślić, że „między Jezusem historycznym a Chrystusem wiary żadnej przepaści nie ma. Była i żyła tylko jedna bosko-ludzka osoba, jeden Jezus Chrystus, jeden Syn Człowieczy, jeden Pan i Sługa, przed którym zgięło się wszelkie kolano".

PAWEŁ LISICKI „KTO FAŁSZUJE JEZUSA? ODPOWIEDŹ NA OSKARŻENIA WSPÓŁCZESNYCH ATEISTÓW" ESPRIT 2021

PIERWOTNA SIŁA KERYGMATU

Pracę Lisickiego kończy głęboki, rozbudowany kerygmat, czyli podstawowy przekaz, wyznanie wiary, przeznaczony dla współczesnego człowieka. Przywołam go więc w całości: „Ten Jezus, wbrew wszystkim wyznawcom systemu krytyczno-racjonalistyczno-ateistycznego, przyszedł z góry, zstąpił z nieba, istniał przed wiekami. Umarł na krzyżu i po trzech dniach wyszedł z grobu, i dał się widzieć swoim uczniom, a potem nawet prześladowcom, jak Paweł. Był naprawdę światłością świata. Żeby to dostrzec, wystarczy właściwie myśleć. Wystarczy dostrzec skutek: wiarę uczniów w Jezusa jako Boga, by zobaczyć podstawę – Jezusa jako Boga. Wystarczy zbadać dokumenty, by zauważyć, że wiary w Zmartwychwstanie nie da się wyprowadzić ani z tekstów żydowskich, ani pogańskich. Nikt nigdy nie przewidział, że przybity do krzyża Galilejczyk powstanie z grobu. Że wcześniej zstąpi do otchłani, skąd wyprowadzi oczekujących Go sprawiedliwych, a następnie zasiądzie po prawicy Ojca – co proklamują Jego uczniowie. I że od tej pory przez te wszystkie wieki ta sama moc, która była w Nim za życia w Galilei i Judei, będzie ożywiała pokolenia Jego uczniów, którzy w Kościele doświadczają tajemnicy, niepochwytnej, ale cudownej i pięknej obecności Boga, tej Bożej Szechiny, która nie mieszka już w Świętym Świętych, ale w Kościele".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ksiądz Przemysław Artemiuk (ur. 1974 r.) – teolog fundamentalny, profesor UKSW i adiunkt na Wydziale Teologicznym tego uniwersytetu, przewodniczący Stowarzyszenia Teologów Fundamentalnych w Polsce. Ostatnio opublikował monografie: „Renesans apologii" (2016) i „W obronie spraw najważniejszych. Szkice o apologii" (2019) oraz zbiór tekstów publicystycznych „Podręczny alfabet katolika" (2018).

eprasa.pl 8cfe74c930

Sojusz elit z motłochem

Antoni Buchała

Od końca XIX w. kultura europejska, a co za tym idzie – europejska historia, toczy się w cieniu kolejnych fal kryzysów elit intelektualnych. Obecnie obserwowane zjawiska dowodzą, że proces demoralizacji i infantylizacji elit osiąga kolejną kulminację

W 1951 r. ukazała się książka Hannah Arendt „Korzenie totalitaryzmu". Autorka stawia w niej tezę o sojuszu elit z motłochem jako o jednym z tych zjawisk, które są warunkiem powstania i rozwoju ustrojów totalitarnych. Poddając je głębszej analizie na przykładzie bolszewickiej Rosji i nazistowskiej Rzeszy Niemieckiej, ujawnia mechanizmy podmywające fundamenty tradycyjnego porządku społecznego i odsłania reguły procesu niszczącego racjonalny ogląd rzeczywistości.

Arendt pisze, że od końca XIX w., w społeczeństwie już bezklasowym, zaczął się ujawniać nowy układ sił politycznych. Zamiast dawnego podziału na arystokrację, szlachtę, mieszczaństwo i włościaństwo, w wyniku przemian demograficznych, w tym urbanizacji, zaczął się kształtować nowy podział: na elity, masy i motłoch.

Grupą o sprecyzowanych interesach politycznych stały się elity intelektualne, które przejęły ambicje dawnych sfer arystokratycznych, ale którym jednocześnie przyszło działać w ramach nowych reguł porządku demokratycznego. Krótko mówiąc, elity musiały znaleźć sposób na uwiedzenie szerokich mas, aby swoje interesy zrealizować. Od początku szło to opornie, bo owe masy, stanowiące w każdym społeczeństwie znakomitą większość, były dosyć apatyczne i bierne politycznie. Owa obojętność i oporność mas miała swoje uzasadnienie w ich trybie i stylu życia, polegającego głównie na systematycznej, ciężkiej pracy na utrzymanie rodziny. Horyzont ambicji tych ludzi był określany przez stopniowe zmniejszanie obciążeń w postaci skracania czasu pracy, zapewnienia regularnych dni wolnych i opieki lekarskiej, możliwości zaoszczędzenia większych lub mniejszych sum, wreszcie szansy na wykształcenie dzieci. Tym, czego zawsze obawiały się społeczne masy, były i są nagłe wstrząsy polityczne, które mogły wywrócić ten na ogół akceptowany tryb życia, zbudowany na chrześcijańskim etosie pracy i tradycyjnej moralności.

ZATARTA GRANICA

Tak rozumiany porządek społeczny zaczął być kwestionowany z jednej strony przez elity intelektualne, a z drugiej przez motłoch definiowany przez Arendt jako ludzi z różnych powodów niedostosowanych społecznie, w tym liczne grupy marginesu społecznego. Dla obu tych społeczności masy stały się na przełomie XIX i XX w. wspólnym wrogiem, który został zaatakowany na wielu płaszczyznach, głównie w kulturze. Manifesty artystyczne i konkretne dzieła pełne były bezbrzeżnej pogardy dla tzw. mieszczańskiego gustu i prymitywizmu filistrów. Mieszczański styl życia z jego powtarzalnymi rytuałami, rzetelnością, pracowitością, zasadami dobrego wychowania oraz – o zgrozo! – systematycznymi praktykami religijnymi stał się obiektem drwin jako synonim przeciętności, bylejakości i nudy.

Wtedy nastąpiło zbliżenie elit, głównie artystycznych, z motłochem. W wielu zjawiskach kultury została zatarta granica między artystą i żulem; do dobrego tonu należało epatowanie filistrów skandalem i obsceną, a następnie drwiny z głośno przez nich wyrażanego oburzenia.

Te tendencje są bardzo wyraźnie widoczne w literaturze polskiej. Jednym z objawów owego zbliżenia skrajności była ludomania, bezlitośnie wyśmiana przez Wyspiańskiego w „Weselu". Zblazowanych dekadentów fascynował prosty lud, jednak niekoniecznie jako reprezentant etosu ciężkiej pracy: goście z Krakowa zachwycają się witalnością mieszkańców wsi rozumianą jako kierowanie się emocjami, rozwiązywanie konfliktów siłą oraz jurnością chłopów buzującą pod gorsetem surowej etyki katolickiej.

eprasa.pl 8cfe74c930

Znakomitą satyrą na fascynację elit politycznych prostym chamem jest powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy" (kadr z ekranizacji) FOT. INPLUS/EAST NEWS

Kulturą zachodnioeuropejską wstrząsały wtedy skandale związane z baletem Strawińskiego „Święto wiosny", twórczością ekspresjonistów czy malarstwem Picassa. Epatowanie widzów brutalnością, kultem przemocy czy prymitywnymi atawizmami w następnych dekadach na stałe weszło do repertuaru sztuki nazywanej „wysoką". To w tych latach Julian Tuwim opiewał dziki witalizm tłumów, najpierw w wierszu „Wiosna. Dytyramb", a później przedstawił groteskową wizję elit politycznych i biznesowych, z ich niewyszukanymi rozrywkami w „Balu w operze". Za to „straszni mieszczanie", czyli przedstawiciele mas, zostali poddani przez poetę zjadliwej krytyce w wierszu „Mieszkańcy": odtąd mieszczańskość rozumiana jako dbanie o życiową stabilizację na gruncie tradycyjnej etyki stała się synonimem ciasnoty horyzontów myślowych, moralnego wstecznictwa i obskurantyzmu. (Daleki jestem od przypisywania naszemu poecie celowego działania na rzecz rozmontowania porządku społecznego; wydaje się, że on „tylko" chciał pisać w zgodzie z ówcześnie modnymi tendencjami, ale jednak tak wyszło).

POTENCJALNIE GROŹNY SOJUSZ

Znakomitą satyrą na fascynację elit politycznych prostym chamem jest powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza „Kariera Nikodema Dyzmy". Autor bodaj jako pierwszy w naszej literaturze zwrócił uwagę na to, że taki sojusz jest nie tylko śmieszny, lecz także może być groźny.

Stąd już tylko krok do przeniesienia owej fascynacji pierwotną, nieokiełznaną siłą, spontanicznością i naturalnością na grunt polityczny. Szerokie masy, poddane kulturowej „obróbce" przez elity hołdujące estetyce przynależącej dotychczas do ludzi ze społecznych nizin, dały się uwieść. Za upodobaniami estetycznymi elit musiała pójść fascynacja indyferentyzmem moralnym: zło i zbrodnie, zawsze pociągające dla mentalności motłochu, okazały się także chorobliwie nęcące dla elit, a potem, w wyniku zmasowanej propagandy, nieodporne na nie okazały się szerokie masy.

Niezwykle przydatny w dziele uwiedzenia mas okazał się wizerunek mitycznego „prostego człowieka", wykreowany na tak przygotowanym kulturowym podglebiu przez intelektualistów nazistowskich i komunistycznych. Nie jest to jednak spokojny mieszczanin, bo taki został już zohydzony jako kołtun, filister lub burżuj, ale raczej przedstawiciel społecznych mętów i innych niebieskich ptaków, często żyjący na bakier z normami społecznymi i prawem. Tacy ludzie, naturalnie antysystemowi, idealnie nadawali się na pełnienie funkcji tarana, który zniszczy dotychczasowy porządek i pomoże wdrożyć nowe rozwiązania ustrojowe, kiełkujące w głowach rozdyskutowanych aktywistów.

W alegorycznym skrócie przedstawił ten proces Mrożek w „Tangu". Słynna sztuka z 1964 r. powstała, jak się wydaje, pod wpływem tez zawartych w książce Arendt: oto dwa pokolenia zdegenerowanej inteligencji zniszczyły porządek społeczny w imię nieskrępowanego rozwoju jednostki. Próba kontrrewolucyjnego buntu Artura w imię wartości konserwatywnych jest spóźniona, bo inteligencja sprzymierza się z Edkiem – wulgarnym osobnikiem zainteresowanym głównie podbojami seksualnymi. Kiedy dotychczasowe zasady znikają, triumfuje bezwzględna przemoc: przewrót zostaje uwieńczony wprowadzeniem przez Edka swoich zasad, to znaczy dyktatury motłochu.

POSZUKIWANIE WYZNAWCÓW

Dzisiejsze czasy postliberalnej demokracji pokazują, że partie potrzebują nie wyborców, tylko wyznawców, i gotowe są ich szukać w środowiskach niemających wiele wspólnego z szacunkiem dla zasad demokratycznych. Albo jakichkolwiek zasad. Podejrzana próba flirtu strony konserwatywnej ze środowiskiem kibiców piłkarskich była przed kilku laty sygnałem niepokojącym dla wielu umiarkowanych wyborców. Obecnie, kiedy wahadło nastrojów społecznych wychyla się w przeciwną stronę, kariera takich ludzi jak „Margot" czy sukces tzw. Strajku Kobiet, osiągnięty przy użyciu dotychczas nieakceptowanych metod, przy pełnej aprobacie elit uniwersyteckich, dowodzi słuszności i przenikliwości diagnozy Hannah Arendt sprzed 70 lat, a także uniwersalności sztuki Mrożka.

Elity w sojuszu z motłochem są w trakcie przeorywania świadomości społecznej. Na razie wydaje się, że to zrewoltowane tłumy tańczą tak, jak im elity każą. W finałowej scenie dramatu Mrożka do tanga jednak zmusza Edek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest profesorem oświaty, polonistą i wicedyrektorem LO Katolickiego Stowarzyszenia Wychowawców w Libiążu, autorem publikacji na temat literatury, teatru, oświaty i wychowania.

eprasa.pl 8cfe74c930

Tsunami bzdur

Leszek Żebrowski

Najnowsza książka Kanadyjki, która przypisuje jednej Żydówce – Rywie Tajtelbaum – akcje przeciw Niemcom w rzeczywistości przeprowadzone przez AK, to tylko element zalewającej nas rzeki kłamstw

eprasa.pl 8cfe74c930

AK podczas akcji „Wieniec" wysadziła tory w Warszawie i sparaliżowała ruch pociągów FOT. NAC

Za każdym razem, gdy spotykamy się z agresją propagandową wobec naszej najnowszej historii, traktujemy sprawę indywidualnie, jako jednostkowy wybryk jakiegoś harcownika. To jednak trwa już dziesiątki lat, ataki są coraz częstsze i brutalniejsze. Kiedyś jeszcze atakujący starali się zachować jakieś pozory prawdy, dziś już nie obowiązują żadne reguły. Na ogół histerię w sprawach polsko-żydowskiej historii kojarzymy na podstawie takich zjawisk jak publikacje Jana T. Grossa (przecież nie tylko o Jedwabnem) czy Jana Grabowskiego i jego środowiska. Jeśli spojrzymy szerzej i głębiej, to widać, że są to tylko elementy (choć bardzo wyraziste) tej samej, długotrwałej kampanii. O co w niej chodzi?

Każdy naród, pielęgnując swą przeszłość i dziedzictwo ideowo-kulturowe, stara się przede wszystkim zachować to, co najbardziej istotne, co wchodzi do narodowego etosu. Dlatego nie czcimy pospolitych bandziorów i okrutników, a z władców stawiamy za wzór przede wszystkim tych, którymi możemy się pochwalić. I ich czyny. I z każdej epoki należy wybierać takich bohaterów, których chcemy naśladować, podobnie jak z wzorców literackich. Takie powinny być lektury szkolne. Czy tak jest? Od dawna już nie...

KRUSZĄC ETOS

Mamy bowiem do czynienia z aktami coraz bardziej brutalnej destrukcji, dobieraniem takich fragmentów dziejów, na które można dziś patrzeć z zażenowaniem, a z biografii osób zasłużonych wydobywaniem wyłącznie tego, co ich etos kruszy. Co się dzieje jednak, gdy takich elementów dziejów czy życiorysów brakuje, gdy są one nieistotne? Można je odpowiednio przerabiać, a tam, gdzie wymaga tego „potrzeba", można dowolnie dorabiać elementy destrukcyjne. Dzieje się to na różnych poziomach, bo przecież kropla drąży skałę.

Najbardziej wrażliwe z obecnego punktu widzenia są stosunki polsko-żydowskie w okresie drugiej RP, wojny i okupacji lat 1939–1945 oraz pierwszych lat powojennych, czyli podstaw i budowy Polski Ludowej. Wystarczy w to wszystko odpowiednio ingerować, wyrywać z fundamentów najważniejsze fragmenty i „dokładać" w ich miejsce czynniki rozsadzające.

Jest to działalność wielowątkowa i wielopłaszczyznowa. Od fałszowania źródeł historycznych (co jest działalnością szczególnie haniebną) do konstruowania nieuprawnionych uogólnień. Wybitny humanista hiszpański Miguel de Cervantes w swej bogatej twórczości wyraził opinię, że fałszywych historyków należałoby karać tak jak fałszerzy pieniędzy: karą śmieci. To było bardziej ostrzeżenie przed tolerowaniem groźnych kłamstw niż postulat przejścia do czynów, ale porównanie było celne. Celowe psucie historii jest bowiem tak samo szkodliwe dla tożsamości narodowej, jak psucie pieniądza dla gospodarki.

Najnowsze osiągnięcie propagandy historycznej z tego zakresu to książka Judy Batalion „The Light of Days: The Untold Story of Women Resistance Fighters in Hitler's Ghettos". Autorka lansuje w niej m.in. Rywę Tajtelbaum i odkrywa przed światem nieznane dotychczas nam osiągnięcia, na miarę co najmniej kilku gigantów. Oto w październiku 1942 r. wysadziła „kilka linii kolejowych" – a przecież tu chodzi o AK-owską akcję „Wieniec", w której brały udział co najmniej dziesiątki żołnierzy! Wcześniej przywłaszczyli ją sobie komuniści, odbierając za to pochwały z Moskwy. Teraz mamy konkrety – dokonała tego samodzielnie jedna żydowska bohaterka.

Inny przykład jej niesamowitych wyczynów to samodzielna akcja w siedzibie gestapo w Warszawie, do której po prostu weszła i zastrzeliła kilku funkcjonariuszy (z pistoletu z tłumikiem), a następnie... wyszła. To bajki dla osób, które nie mają wiedzy o realiach okupacji. Ale kto dziś je zna, szczególnie na Zachodzie? Książka Judy Batalion wychodzi równolegle w tłumaczeniach na 15 (!) języków (portugalski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, hebrajski, polski, rosyjski, hiszpański, szwedzki, litewski, turecki, rumuński, ukraiński, włoski), i to dopiero na początek.

LEPIEJ W NAZISTOWSKIM OBOZIE NIŻ U POLAKÓW

Czy Polacy w ogóle wysadzali jakiekolwiek pociągi? Być może nie. Wyjaśnia to Philip Bialowitz w książce „Bunt w Sobiborze. Opowieść o przetrwaniu w Polsce okupowanej przez Niemców" (Warszawa 2008). Autor uciekł z Sobiboru i miał naprawdę niezwykłe przygody: „Po trzech godzinach marszu spotkaliśmy grupę dziesięciu polskich partyzantów, w tym

eprasa.pl 8cfe74c930

dwie kobiety. Oddział był dobrze uzbrojony, mieli broń i amunicję. Zorientowaliśmy się, że jesteśmy w bardzo delikatnej sytuacji. Mogli nam pomóc przetrwać, ale też mogli nas zabić za to, że jesteśmy Żydami, lub z powodu posiadanych przez nas pieniędzy i innych wartościowych rzeczy". Czy można było wynieść coś z Sobiboru? Widocznie można. Ponurych wspomnień Bialowitza ciąg dalszy wygląda tak: „Porozmawiali ze sobą i zaproponowali, abyśmy się do nich przyłączyli. Kto jednak wie, czego naprawdę chcieli? Może potrzebowali trochę więcej czasu, by zdecydować, jak bez użycia broni nas obrabować i zabić, tak aby nie zwracać niczyjej uwagi". Jednak ich nie zabili, bo mieli określony cel: „Nauczyli nas strzelania i zakładania min. Wkrótce sami staliśmy się żołnierzami. Nasze pierwsze zadania polegały na zakładaniu min przy szlakach kolejowych". Bo to takie proste było, prawda? Polacy musieli się specjalnie szkolić miesiącami, wysyłać do kraju cichociemnych, a było takie łatwe rozwiązanie. Wystarczyło ratować Żydów, dać każdemu minę i wojna szybko by się skończyła. Ale happy endu nie było, ponieważ polscy partyzanci wrócili do pomysłu zabicia ocalałych z Sobiboru: „Kilka tygodni minęło bez większych problemów. [...] W nocy wysłali nas na tory kolejowe, żebyśmy założyli miny. [...] Kiedy szliśmy w stronę torów, zaczęli do nas strzelać. Uciekliśmy, ratując życie". Autor miał wtedy 16, może nawet tylko 14 lat (co jest bardziej prawdopodobne). I taki był pojętny, że zaraz po wojnie wylądował w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Zamościu. Tam oczywiście Polacy chcieli go zabić, ale przecież nie jako ubeka, tylko Żyda. Bialowitz wyjechał do Niemiec, gdzie wreszcie spokojnie odetchnął w... byłych obozach koncentracyjnych. „Warunki panujące w tych obozach nie były idealne – niektóre ulokowano w miejscach byłych nazistowskich obozów Dachau i Bergen-Belsen – ale przynajmniej nie zdarzały się tam antysemickie akty przemocy, powtarzające się w Polsce i innych miejscach". Dlaczego to nie jest dziwne? Bo nie są to wspomnienia wyjątkowe, tylko coraz bardziej typowe. I nie ma kto ich analizować i kwestionować.

Nie są to jednorazowe wybryki i wypadki przy pracy, wynikające z niewiedzy, niechlujstwa itd. To jest masowa kampania dezinformacyjna, trwa od kilkudziesięciu lat, a jej celem jest stworzenie „nowej" historii, w której prawie wszystko będzie na odwrót. Temu też służyły „poprawki" dokonywane w relacjach składanych w archiwach Żydowskiego Instytutu Historycznego. Typowy przykład, jak na nich tego dokonywano, czyli swoista cenzura – fragment jednej z nich brzmi następująco: „Sprzątnęliśmy kilku żydowskich agentów gestapo. Razem z koordynacją sprzątnęliśmy prowokatora. Zastrzelił go Sewek Nulman". Ale po obróbce fragment ten brzmi już inaczej: „Sprzątnęliśmy kilku agentów gestapo. Odznaczał się w tych akcjach towarzysz Sewek Nulman". Którą wersję cytować? Czy oryginalną, o żydowskich agentach gestapo, czy też o „towarzyszu" Nulmanie, co ma sugerować, że najdzielniejsi Żydzi byli komunistami?

Rywa Tajtelbaum miała rzekomo wejść do siedziby gestapo, zastrzelić kilku funkcjonariuszy i... wyjść FOT. WIKIPEDIA

BANDZIOR HEROSEM

W hagadzie nic nie może się zmarnować, wszystko da się przerobić i dopasować do aktualnych potrzeb. Jeden z największych bandziorów, złodziej, recydywista i morderca Izrael Ajzenman „Lew" w historiografii żydowskiej stał się jednym z najbardziej zasłużonych, dzielnych... partyzantów. A jakie miał dokonania! Oto jedno z nich (pisownia zgodna z oryginałem): „25 marca [1943 r.] oddział przeszedł ciężka obława w której brało 20 tysięcy esesowców. Strata własna 6 zabitych. [...] Niemców dokładnie niewiadomo ile zabitych, 3 samochodów rannych 4 zabitych ilości nie wiadomo. [...] W lasach Starachowickich [1944 r.] zostaliśmy okrążeni przez 8 tysięcy esesmanów własne straty 6 zabitych [...]. 65 zabitych i 40 rannych esesmanów". Nic dziwnego, że oddział o nazwie „Lwy" trafił do poważnych opracowań, książek i encyklopedii. Ale nigdzie nie ma mowy o jego prawdziwych dokonaniach. W „Encyclopaedia Judaica" (tom 13, Jerusalem – New York 1971, s. 141) zamieszczona jest mapa do hasła „Partisans", która obejmuje tereny II RP i zachodnie fragmenty Związku Sowieckiego. Jest na niej oznaczony teren działania żydowskiego oddziału „Lions" („Lwy") pod dowództwem Ajzenmana. „Lwy" trafiły również do legendy tej mapy, aby bardziej utrwalić to czytelnikowi.

Banda „Lwa" najbardziej osławiła się pacyfikacją miasteczka Drzewica 22 stycznia 1943 r. Mieszkańcy zostali obrabowani, a siedmiu z nich zamordowano w okrutny sposób. Co z tym można było zrobić? Stefan Krakowski (mjr Shmuel Erlich, po kursach MBP oficer komunistycznego wywiadu wojskowego), gdy był już historykiem w ŻIH (a po wyjeździe z Polski Ludowej został dyrektorem instytutu Yad Vashem w Jerozolimie), przypomniał jego postać i dowodzony przez niego oddział żydowskich partyzantów GL w całkiem nowy sposób. W „Biuletynie Żydowskiego Instytutu Historycznego" napisał bowiem: „[...] oddział dokonał ataku na posterunek policji niemieckiej w Drzewicy. Partyzanci zabili 7 hitlerowców, w tym komendanta posterunku". Krakowski bardzo dobrze wiedział, co się stało w Drzewicy, korzystał bowiem z niedostępnych wówczas na zewnątrz materiałów archiwalnych. Sfałszował tę historię z całą premedytacją, od początku do końca. W małej Drzewicy nie było posterunku niemieckiej policji. Czyżby tym „komendantem posterunku" stał się dla niego zamordowany i obrabowany August Kobylański, dyrektor fabryczki Gerlach?

Dzisiaj mało kto jest w stanie opanować całą tzw. literaturę przedmiotu. Publikacji na temat tego okresu jest w świecie coraz więcej, podobnie jak w Polsce. Czy ktoś to systematycznie śledzi, robi rejestr, usiłuje wyjaśniać

eprasa.pl 8cfe74c930

i prostować? Jeśli nie, to taka specyficzna „wiedza" będzie się po prostu utrwalać, tym bardziej że następni autorzy powołują się na to, co już jest opublikowane, nie podchodząc do tego krytycznie. A opinii nie mamy w świecie dobrej i od razu widać, czyja to jest zasługa.

SZKALOWANIE AK

Faye Schulman (kiedyś w Polsce nazywała się Fajna Łaziebnik), która pochodziła z małego kresowego miasteczka Łunin, a „poprawiła" jego nazwę (z powodów ideologicznych?) na... Lenin, w latach okupacji przebywała w sowieckiej brygadzie „im. Mołotowa". I tak zapamiętała tamten czas: „Żydowscy partyzanci odnajdywali się w lasach, walcząc z mnóstwem lokalnych band, popieranych przez nazistów, które były szczególnie antysemickie i zawsze uważały na Żydów. Były to różne grupy bandyckie: AK-owcy, bulbowcy, banderowcy i własowcy...". Fajna vel Faye jednym tchem wymienia nazwy grup bandyckich, na pierwszym miejscu stawiając żołnierzy AK. Książka została wydana w 1995 r. w Toronto przy poparciu oficjalnych instytucji kanadyjskich. Autorka opowiadała swe „doświadczenia" z partyzantki sowieckiej również w „szkołach publicznych i na uniwersytetach, na seminariach nauczycielskich i zebraniach ekumenicznych", co raczyła zaznaczyć w przedmowie, a nawet zamieściła zdjęcia z takich spotkań. Być może dla młodych odbiorców słów „świadka historii" jej słowa pozostaną w nich na zawsze jako jedyne źródło wiedzy.

To jest masowa kampania dezinformacyjna, trwa od kilkudziesięciu lat, a jej celem jest stworzenie „nowej" historii

Armia Krajowa szkalowana jest od bardzo dawna, i to praktycznie już nie szokuje. Czytelnik anglojęzyczny został do tego odpowiednio przygotowany, patronat zaś dają odpowiednie instytucje. Dlatego w publikacji Andre Steina „Hidden children: forgotten survivors of the Holocaust" (Toronto 1993), wydanej

Kanadyjka Judy Batalion w swojej książce jednej Żydówce przypisała sukces wielkiej akcji dywersyjnej AK FOT. BEOWULF SHEEHAN

przy finansowej pomocy kanadyjskiego ministerstwa ds. wielokulturowości, w rozdziale o Abrahamie Foxmanie, działaczu B'nai B'rith wysokiego szczebla, autor mógł zawrzeć następujące określenie: „AK, pronazistowska, nienawidząca Żydów polska organizacja ekstremistyczna, która wyszukiwała i zabijała Żydów".

Peter Silverman, David Smuschkowitz i Peter Smuszkowicz w książce „From Victims to Victors" (wydanej w Kanadzie w 1992 r. pod patronatem Kanadyjskiego Towarzystwa Yad Vashem) napisali o Armii Krajowej: „Jeżeli Niemcom powiodłoby się na froncie rosyjskim, to mieli rozkazy przyłączyć się do nich i ogłosić wolną Polskę. Jeżeli wygrywaliby alianci, to przyłączyliby się zamiast tego do nich. [...] AK była skrajnie antysemicka. W wielu częściach Polski brali oni udział w masowych egzekucjach Żydów. W innych miejscach zabijali Żydów dla ich kosztowności. Kiedy wreszcie stało się jasne, że Niemcy przegrali wojnę, wiele oddziałów AK poszło do lasów, gdzie udało im się zamordować tysiące bezbronnych Żydów".

W takich przekazach AK niczym nie różni się od Niemców. A o to przecież chodzi – o przesycenie literatury „naukowej" i publicystki takimi treściami, aby stało się to już nieodwracalne.

„Niebezpieczeństwo ze strony AK było dla nas dużym problemem. [...] musieliśmy się obawiać o nasze bezpieczeństwo zarówno w dzień (ze strony Niemców) i w nocy (ze strony AK). Wielu Żydów straciło życie z ręki partyzantów AK, w szczególności oddziału generała Kamińskiego". Brigadeführer SS B. Kaminski był przecież dowódcą rosyjskiej formacji kolaboracyjnej RONA (Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia), która zasłynęła m.in. pacyfikacjami ludności cywilnej na Białorusi i w powstańczej Warszawie. Czyli AK-owcy pacyfikowali swe własne powstanie? Tak. Ale co byłoby, gdyby ktoś zdecydował się na podłość odwrotną, nazywając np. Mordechaja Anielewicza dowódcą oddziału SS pacyfikującego warszawskie getto? A byłoby to tylko odwrócenie sytuacji!

CI WSPANIALI NIEMCY!

Powstanie warszawskie i w ogóle Polskie Państwo Podziemne są ulubionym celem takiej propagandy. Wielce ceniony publicysta żydowski Reuben Ainsztein napisał przecież: „Polscy faszyści podczas powstania [warszawskiego] prawdopodobnie zabili więcej Żydów niż Niemców".

Późniejsze publikacje „Gazety Wyborczej" (1994 r.) o powstaniu warszawskim i masowym zabijaniu w nim Żydów były już tylko bladym pokłosiem Ainszteinów i innych autorów.

Doktor Icchak (Henryk) Rubin uznał, że „stosunek Polski Podziemnej i całej prawie ludności polskiej do Żydów powodował, że getto i obóz pracy lub obóz koncentracyjny były jedynymi miejscami na świecie, które dawały Żydom nikłą nadzieję i szansę na przetrwanie". Tutaj też po latach odnaleźć można echa we wspomnianej wcześniej gazecie, jakoby Żydzi ukrywali się przed Polakami w gettach, bo tylko tam mieli szansę przeżyć. I być może dlatego obecnie negowany jest fakt, że ci Żydzi, którzy przeżyli okupację gdzieś w ukryciu, mogli to zrobić wyłącznie z pomocą Polaków. Zapewne byli całkowicie samowystarczalni, w dodatku przez kilka lat.

Ale może tak nie było, może mogli jednak na czyjąś bezinteresowną pomoc liczyć? Są podstawy, aby tak myśleć, że pomagali im… Niemcy. Doktor Tobiasz Cytron we wspomnieniach zatytułowanych „Dzieje zbrojnego powstania w getcie białostockim" (Tel Awiw 1996; książka faktycznie ukazała się w Polsce, została wydana ze środków jednej z centralnych instytucji, ze wsparciem jej kierownika): „Dzięki pomocy Niemców powstańcy

eprasa.pl 8cfe74c930

w getcie i partyzanci dostawali broń, fałszywe dokumenty, kenkarty, a niejednokrotnie również miejsce schronienia w czasie łapanki. Wspomniani Niemcy udzielali również moralnego wsparcia partyzantom w lasach. Powstańcy popadali niejednokrotnie w trudne sytuacje, z których wyjść mogli tylko dzięki pomocy owych Niemców".

To jest dopiero nowatorska wizja naszych najnowszych dziejów. Skoro bowiem po wojnie wypędzaliśmy Niemców, to nasza wina jest podwójna, gdyż dotknęło to „sprawiedliwych", niosących Żydom nieocenioną pomoc! A na pytanie, że skoro to Niemcy udzielali Żydom „schronienia w czasie łapanki", to kto ich łapał, odpowiedź jest już oczywista. Po wojnie nie było już, niestety (dla ocalonych Żydów), społeczności niemieckiej i jej zbrojnych formacji. Nie miał już kto ich bronić przed Polakami. Dlatego „AK-owcy szaleli wszędzie, na drogach, w pociągach. Zatrzymywali jadące pociągi, wyprowadzali z nich Żydów i strzelali do nich. Zdarzało się, że wdzierali się do żydowskich mieszkań i zabijali na miejscu wszystkich mieszkańców". Odpowiedzialne za to były oddziały AK i „rząd polski w Londynie". Było zatem jeszcze gorzej niż podczas okupacji, bo zabrakło niemieckich obrońców. Niemcy ostrzegali przecież polskich ludobójców: „Kto prześladuje Żydów – dostaje kulę w łeb!". Po wojnie tak bardzo zabrakło dobrych Niemców...

I nie łudźmy się, że to się kiedyś bezpowrotnie skończyło. Polska Ludowa skutecznie i krwawo spacyfikowała wprawdzie „wrogów ludu" i wszelką „reakcję", ale te niedobite potwory wypełzły na powierzchnię po 1989 r. i dosłownie szaleją, siejąc strach i przerażenie. Publikacja, dotowana z budżetu polskiego państwa, nie pozostawia nam co do tego złudzeń. Żydzi musieli ponownie zejść do podziemia i żyć „na aryjskich papierach".

Tak np. uważa osobnik posługujący się pseudonimem: „Po zmianie ustroju w 1989 r. w Polsce popadłem ponownie w lęki i rozdwojenie jaźni. [...] Żyję jak niektórzy Żydzi w czasie okupacji na aryjskich papierach. Boję się swego otoczenia. Nie ujawniam swego pochodzenia. Przyczyną jest legalizacja partii skrajnie nacjonalistycznych, głoszących oficjalnie antysemityzm. Uznano za bohaterów narodowych żydobójców spod znaku NSZ. Brak odpowiedniej reakcji ze strony władz państwowych, mediów oraz światłej części ludzi nauki i kultury polskiej, jak i władz kościelnych. [...] Obecnie coraz częściej odczuwam lęk przed zwycięstwem prawicy nacjonalistycznej. [...] W ogóle czuję się dziś tak jak w punkcie wyjścia niniejszych wspomnień, kiedy to chłoptasie z Hitlerjugend, SS i różnych Sonderkommando zaczynali swoje dzieło wprowadzania w okupowanej Polsce nowego ładu w Europie" (Izydor Landersdorfer „Na liście Schindlera" [w:] „Losy żydowskie. Świadectwo żywych", pod red. Mariana Turskiego, Stowarzyszenie Żydów Kombatantów i Poszkodowanych w II Wojnie Światowej, Warszawa 1999).

Czy już się mamy przygotowywać do wyrywania „polskich" drzewek w Yad Vashem i sadzenia tam zupełnie nowych?

JADOWITA NARRACJA

Grunt pod narastającą jadowitą propagandę był długo i starannie przygotowywany, pozostawał ponadto bez odpowiedniego odzewu, nic dziwnego zatem, że np. Jan T. Gross mógł sobie pozwolić na tak bardzo zakłamany opis sprawy Jedwabnego („Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka", Sejny 2000). Książeczka natychmiast została przyjęta z entuzjazmem i poszła w świat. Adam Michnik w niemieckim wydaniu „Sąsiadów" uznał, że „swą książką Gross wpisuje się w długi szereg najświetniejszych polskich intelektualistów, począwszy od Mickiewicza i Słowackiego, a kończąc na Gombrowiczu i Miłoszu" (A. Michnik, „Rachunek polskiego sumienia", „Rzeczpospolita" 5 września 2001 r.).

A sam autor dodawał sobie animuszu i splendorów, uznając, że jego dzieło jest „publikacją naukową, napisaną w oparciu o dostępną dokumentację przedmiotu i skrupulatne badania. [...] łatwo stwierdzić, że jest ona opatrzona przypisami i odnośnikami" (wypowiedź J.T. Grossa na portalu Gazeta.pl, 17 maja 2001 r.). Jednakże rzetelność publikacji naukowej nie polega na tym, że są w niej przypisy. Można je przecież znaleźć PRL-owskiej politgramocie, w edycjach przemówień Stalina, Gomułki, Bieruta, Jaruzelskiego... Nauka polega na wszechstronnym zbadaniu wszystkich dostępnych źródeł i ich starannej weryfikacji. Tego Gross przecież nie zrobił, co więcej – mimo ujawniania dodatkowych okoliczności, przeczących tezom autora, nie odstąpił od nich nawet w nowych wydaniach (krajowych i obcojęzycznych).

Z prawdziwym entuzjazmem przyjęte zostało natomiast buńczuczne pouczenie Grossa, dotyczące metodologii badań: „Jeśli chodzi o warsztat historyka epoki pieców, oznacza to, w moim mniemaniu, konieczność radykalnej zmiany podejścia do źródeł. Nasza postawa wyjściowa do każdego przekazu pochodzącego od niedoszłych ofiar Holokaustu powinna się zmienić z wątpiącej na afirmującą".

Jednak wobec natłoku takich publikacji jak podane powyżej (a to tylko niektóre, nieliczne przykłady) jesteśmy zmuszeni do postawy odwrotnej. Od afirmacji oczywistych kłamstw do postawy co najmniej wątpiącej. Zresztą droga jest już przetarta. Profesor Andrzej Żbikowski z ŻIH, zaniepokojony sięganiem do takich źródeł w celu opisywania postaw ludności żydowskiej podczas okupacji, zauważył, że „jedyną prawidłową metodą badawczą jest brać za pewnik tylko te informacje, które znajdują potwierdzenie w kilku, całkowicie odrębnych źródłach. A że wynik będzie wówczas mniej imponujący, mniej będzie przestępców i ich dowiedzionych zbrodni – cóż, taka dola uczciwego historyka".

Lepiej późno niż wcale – takie wskazanie powinno być (nie tylko dla nas, oczywiście) koniecznym imperatywem. Inaczej zalew publikacji jeszcze bardziej zakłamanych niż powyżej przytoczone zmiecie naszą świadomość narodową i nie będziemy w stanie pozbyć się ludobójczego piętna. W tym znaczeniu pojęcie „pedagogika wstydu" nabiera prawidłowego sensu. Lata temu przewodniczący Komisji Koordynacyjnej Organizacji Żydowskich w RP (pułkownik „ludowego" WP) oświadczył: „Mamy za sobą początek drogi. Teraz trzeba przejść do pracy wychowawczej w parafii, szkole podstawowej". To się przecież dzieje. Pseudoedukacja zaczyna się w „niewinnych" książeczkach dla małych dzieci, przez podręczniki szkolne i akademickie, materiały dla nauczycieli, do sztuk (?) teatralnych i popularnej literatury, gdzie takie wtręty są czymś oczywistym i nawet wskazanym.

Czy już się mamy przygotowywać do wyrywania „polskich" drzewek w parku Yad Vashem w Jerozolimie i sadzenia tam zupełnie nowych? To nie jest śmieszne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

PRODUKT POLSKI

Polski Cukier

LAUR KONSUMENTA 2020

Daje początek polskim wypiekom.

eprasa.pl 8cfe74c930

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Nie tylko Nieśwież

W piękną, a jednocześnie smutną podróż zabiera nas Grzegorz Rąkowski. Jest to bowiem podróż, w trakcie której odwiedzamy relikty dawno nieistniejącego, zgładzonego świata. Świata, który tryskał energią i życiem zaledwie osiem dekad temu. Mowa o szlacheckich dworach i pałacach na Nowogródczyźnie.

Perłą albumu „Kresowe rezydencje" – i całej Nowogródczyzny – jest oczywiście Nieśwież. Wspaniały zamek radziwiłłowski pięknie odnowiony przez władze współczesnej Białorusi. Niestety, Nieśwież należy do wyjątków. Większość dworów i pałaców na Białorusi powoli niszczeje i obraca się w gruzy. Dotyczy to nawet obiektów o nieocenionych walorach zabytkowych.

W większości są to jednak malownicze, drewniane dworki. Jakby żywcem wyjęte z obrazów Henryka Weyssenhoffa. Odpowiednio zakonserwowane, ogrzewane i przykryte porządnymi dachami stałyby jeszcze wiele lat. Niestety, nie będzie im to dane.

Oto jeden przykład: Łask w gminie Zabrzezie. Miejscowy dwór za czasów sowieckich pełnił funkcję przedszkola. Potem został porzucony i dziś wygląda jak obraz nędzy i rozpaczy. Czarne otwory zamiast okien, połamane kolumienki ganku. Próchno, kornik, pleśń. Dziury w eternitowym dachu. Długo nie postoi.

Mocną stroną albumu jest bogaty i fachowy materiał ikonograficzny. Obok współczesnych zdjęć dworów możemy zobaczyć obrazy i rysunki tych budowli z czasów ich świetności. Do tego mapy i przedwojenne zdjęcia. Rąkowskiego interesują nie tylko dwory, lecz także kaplice dworskie, cmentarzyki, parki, rzeźby. Wszystkie ślady, które pozostały po naszej szlachcie.

Autor opisał dzieje każdego z przedstawionych dworów. Kiedy i przez kogo zostały zbudowane, kto w nich mieszkał przed wojną. „Burzliwe dzieje minionego stulecia – pisze Grzegorz Rąkowski – sprawiły, że odeszli stąd ich gospodarze, rody dzierżące swe posiadłości przez dekady, a nawet stulecia. Także większość rezydencji zniknęła z powierzchni ziemi, choć ich ślady i w krajobrazie, i w pamięci ludzkiej wciąż jeszcze trwają. Tym bardziej więc warto odwiedzić te stosunkowo nieliczne, które zachowały się do naszych czasów".

Podpisuję się pod tymi słowami. Gdy tylko minie pandemia – jedziemy na Nowogródczyznę! ©℗

★★★★★★

GRZEGORZ RĄKOWSKI
„KRESOWE REZYDENCJE. WOJEWÓDZTWO NOWOGRÓDZKIE"
IPN

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Piłkarze przemytnicy

Sport w PRL podlegał podobnym prawom ekonomicznym co inne dziedziny życia. To oznaczało, że nawet największe gwiazdy zarabiały niewiele w porównaniu ze swoimi odpowiednikami z Zachodu. Nie były to też pieniądze umożliwiające wzbogacenie się w trakcie kariery na resztę życia. „Jako starszemu sierżantowi płacono mi w Legii 3,2 tys. zł – wspominał skrzydłowy Janusz Żmijewski. – Dostawałem też dodatek na wyżywienie i w sumie dociągałem do 5 tys., gdy przeciętny Polak zarabiał 2,5 tys.". Do tego dochodziły bonusy za wygrane mecze plus służbowe mieszkania, ale z reguły były to lokale o przeciętnym standardzie, gdyż innych w epoce Gomułki nie budowano. Zawodnicy poszukiwali więc dodatkowych dochodów – wyjazdy zagraniczne umożliwiały wręcz hurtowy przemyt, a permanentne braki rynkowe gwarantowały znakomite przebicie. Uważano nawet, że jeśli sportowcy nie przywieźli czegoś do kraju, to tego nie było.

Celnicy z reguły przymykali oczy, ale co pewien czas ogłaszano „wykrycie" kolejnej afery przemytniczej ze sportowcami w rolach głównych połączone z wyrokami sądowymi i dyskwalifikacjami.

Szczególną uwagę zwracano na sprawę wywozu z kraju dewiz, co traktowano jako poważne przestępstwo karnoskarbowe. Cinkciarze pozostawali bowiem pod stałą obserwacją, a milicja monitorowała większe transakcje. Przekonali się o tym Żmijewski i bramkarz Legii, Władysław Grotyński, którzy wyjeżdżając na pucharowy mecz z Feyenoordem Rotterdam, usiłowali przemycić 2,5 tys. dol. na zakupy w Holandii. Podczas kontroli odnaleziono dolary, a chociaż obaj piłkarze odlecieli z drużyną, to Legia przegrała z Feyenoordem i nie awansowała do finału Pucharu Europy, Grotyński i Żmijewski stracili dewizy i skazano ich na wysokie grzywny. Niebawem też zostali wmieszani w sprawę dużego przemytu złota, który zorganizował ich klubowy kolega, koszykarz Włodzimierz Trams.

Sprawę uznano za „rozwojową", tym bardziej że po upadku Gomułki zmieniła się rządząca ekipa, a nowi władcy PRL preferowali śląskie kluby. I osłabienie warszawskiej Legii było im na rękę. Trams został skazany na pięć lat więzienia, Grotyński dostał rok mniej, całą trójkę (razem ze Żmijewskim) dożywotnio zdyskwalifikowano. Wprawdzie powrócili na boiska, ale już w innych klubach, natomiast druga taka szansa w najważniejszym z europejskich pucharów już się dla Legii nie powtórzyła. Gdy zatem ogląda się perypetie piłkarzy i działaczy schyłkowego PRL w filmie „Piłkarski poker" (premiera 31 marca 1989 r.), warto pamiętać, że ich starszym kolegom było znacznie trudniej. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Pojedynek pancernych bestii na gruzach Kolonii

Steve Barnes – **Archipelag zbrodni**
Krzysztof Masłoń – **Świadectwa z nieludzkiej ziemi**
Tomasz Stańczyk – **AK-owcy w łagrach**
Piotr Zychowicz – **Marokańskie gwałty na Włoszkach**
Arkadiusz Karbowiak – **Tajemnice Protektoratu**
Mikołaj Iwanow – **Tajna misja Karola Radka w Polsce**
Piotr Semka – **Krucjata Niemców bałtyckich**
Jacek Bartosiak – **Do Anglii znowu daleko**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Polacy to ludzie łagodni**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 8cfe74c930

Między skrajną lewicą a centrum

Olivier Bault

Dzisiejsi Zieloni to już nie politycy o hippisowskim wyglądzie lansujący hasła o potrzebie powrotu do natury. Zmianę najbardziej widać na przykładzie Niemiec, gdzie partia Zielonych wyraźnie obrała kurs centrowy

Coraz bardziej prawdopodobne wydaje się to, że po wrześniowych wyborach parlamentarnych w Niemczech może powstać koalicja Zielonych z centroprawicową CDU-CSU na wzór koalicji rządzącej w Austrii od stycznia 2020 r. Prezydent Austrii Alexander Van der Bellen wywodzi się z partii Zielonych. Po przyspieszonych wyborach spowodowanych zerwaniem koalicji centroprawicowego ÖVP z narodowo-konserwatywnym FPÖ, po kilkumiesięcznych negocjacjach powstała koalicja partii ÖVP Sebastiana Kurza z Zielonymi. Z kolei w sąsiednich Niemczech na poziomie ogólnokrajowym Zieloni od jesieni 2018 r. utrzymują się w sondażach na drugim miejscu, przed socjaldemokratycznym SPD, z którym koalicja CDU-CSU współrządzi

eprasa.pl 8cfe74c930

Winfried Kretschmann z niemieckiej partii Zielonych jest premierem landu Badenii-Wirtembergii od 2011 r.
FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

na poziomie federalnym od 2005 r. (z przerwą w latach 2009–2013 na koalicję z liberalnym FDP).

Co więcej, 20 lutego sondaż Forsa/RTL/n-tv po raz pierwszy pokazał, że Zieloni mogą mieć we wrześniu nawet lepszy wynik niż CDU-CSU, co by znaczyło, że ich kandydatka na kanclerza Annalena Baerbock, a nie centrysta z CDU Armin Laschet, mogłaby za kilka miesięcy zastąpić Angelę Merkel!

Pod wodzą Angeli Merkel CDU dawno przestała być partią chadecką, a zatem względy ideologiczne powinny w jeszcze mniejszym stopniu niż w Austrii stanowić przeszkody dla ewentualnej współpracy centroprawicy z Zielonymi. Kiedy po wyborach w 2017 r. Angela Merkel prowadziła negocjacje, aby tworzyć rząd wspólnie z partią Zielonych i liberałami z FDP, to między tymi dwoma ostatnimi ugrupowaniami istniała rozbieżność poglądów, nie było jej natomiast między Zielonymi a CDU. Zwłaszcza w dziedzinie imigracji, FDP chciał prowadzić politykę bardziej restrykcyjną, co dla proimigracyjnych Zielonych było nie do zaakceptowania. Natomiast w manifeście Zielonych wydanym przed ostatnimi wyborami europejskimi poza postulatem wprowadzenia europejskiego systemu azylowego i stwierdzeniem, że prawo do azylu nie podlega negocjacji, jest także mowa o tym, że nie powinno się przyjmować wszystkich imigrantów. Rezygnacja z najbardziej radykalnych postulatów i zdolność koalicyjna zarówno z SPD, jak i CDU odzwierciedla po prostu to, że dziś wyborcy niemieckich Zielonych to w większości dobrze zarabiający, wykształceni mieszkańcy miast o lewicowo-liberalnych lub centrowych poglądach, którzy wierzą w dobrodziejstwo społeczeństwa multi-kulti.

ZIELONA EWOLUCJA

Przykładem tego stanu rzeczy są marcowe wybory w będącej do 2011 r. bastionem CDU Badenii-Wirtembergii. Urzędujący premier landu Winfried Kretschmann z partii Zielonych wygrał je bez trudu po raz trzeci z rzędu. Od 2016 r. rządziła tam koalicja Zielonych z CDU (wcześniej koalicja Zielonych z SPD). W wyborach z 14 marca Zieloni otrzymali prawie 33 proc. głosów, CDU – trochę powyżej 24 proc., SPD – 11 proc., a AfD – trochę poniżej 10 proc. Tak wygraną Kretschmanna skomentowano na portalu Deutsche Welle: „W ojczyźnie Daimlera, Porsche i Boscha zdobył on nie tylko poparcie przemysłu metalowego i elektronicznego, lecz także konserwatywnych wyborców, z których 65 proc. wyraziło w sondażach życzenie, aby 72-letni katolik zachował swój urząd". Ten 72-letni katolik to były maoista, który musiał widocznie przejść od lat 70. podobną ewolucję jak cała jego partia.

Dzisiejsi Zieloni to już nie politycy o hippisowskim wyglądzie lansujący hasła o potrzebie powrotu do natury, sprzeciwiający się głównie energetyce atomowej (z której i tak Merkel postanowiła zrezygnować po katastrofie w japońskiej Fukushimie) oraz głoszący postulat jednostronnego pozbycia się amerykańskich rakiet jądrowych, mających chronić Europę Zachodnią przed napaścią Związku Sowieckiego. Zmianę najbardziej widać właśnie na przykładzie Niemiec, gdzie partia Zielonych wyraźnie obrała kurs centrowy. Manifest opublikowany przed wrześniowymi wyborami do Bundestagu potwierdza ten wybór. Dokument przedstawiony 19 marca przez dwoje współprzewodniczących – Annalenę Baerbock i Roberta Habecka (niemieccy Zieloni starają się mieć na wszystkich szczeblach parytet płciowy) – stawia na walkę z globalnym ociepleniem i na inwestycje w ochronę środowiska, przy czym kładzie nacisk na definiowanie realistycznych celów kosztem tradycyjnej bezkompromisowości ekologów. Chociaż chcieliby pójść dalej, niż zakłada to porozumienie paryskie z 2015 r. w sprawie klimatu, są teraz gotowi zadowolić się osiąganiem założeń w nim zapisanych. W dziedzinie upraw GMO ich sprzeciw nie jest już tak zasadniczy jak wcześniej.

Nowy program Zielonych, który jeszcze muszą potwierdzić w głosowaniu członkowie tej partii, podejmuje także inne tematy, takie jak np. integracja europejska. Podobnie jak reszta lewicy i części centroprawicy Zieloni postulują coraz ściślejszą integrację europejską w kierunku federalizmu, lecz robią to z radykalizmem nie większym od tego, który można obserwować w innych partiach centrolewicowych, domagając się przykładowo, jak to proponuje m.in. francuski prezydent Emmanuel Macron, paneuropejskich list wyborczych do Parlamentu Europejskiego czy szerszego stosowania głosowania większościowego w Radzie UE albo uznawania na poziomie europejskim praw socjalnych, których realizacji można by dochodzić przed Europejskim Trybunałem Sprawiedliwości.

Nie znaczy to, że żadnego radykalizmu u niemieckich Zielonych już nie ma. Tyle że zatwardziali ekolodzy w tradycyjnym stylu nie stanowią już trzonu partii, a główny nurt lewicowego radykalizmu Zielonych, w nieco złagodzonej formie, stał się mainstreamowy. Kogo jeszcze szokuje lub śmieszy to, że Zieloni chcą usunięcia słowa „rasa" z konstytucji (tak jak to uczyniło ugrupowanie Emmanuela Macrona we Francji), albo to, że działaczka Zielonych stojąca na czele listy do wyborów landowych w Berlinie uznała za stosowne przeprosić za swoje dziecięce marzenie o tym, żeby zostać indiańskim wodzem, co lewica uznaje dziś za „przywłaszczenie kulturowe"? Nawet skrajny postulat młodzieżówki niemieckich Zielonych, aby zrezygnować z istnienia

eprasa.pl 8cfe74c930

policji w obecnej, represyjnej formie, jest tylko odzwierciedleniem postulatu odcięcia finansowania dla policji popularnego w szeregach rządzącej Partii Demokratycznej w Stanach Zjednoczonych.

Podobnie szerokie poparcie Zielonych dla postulatów lobby LGBT nie odróżnia ich tak bardzo nawet od CDU kanclerz Angeli Merkel, gdyż ona sama przed wyborami w 2017 r. zainicjowała proces, który szybko doprowadził do legalizacji „homomałżeństw" w Niemczech. Jak powiedział mi, będący do 2016 r. działaczem CDU konserwatywny europoseł z AfD Maximilian Krah w niedawnej rozmowie dla anglojęzycznego portalu Remix News: „Pod wieloma względami [były socjaldemokratyczny kanclerz] Schröder był w rzeczywistości o wiele bardziej konserwatywny niż Merkel [...]. Od czasu objęcia przez Merkel władzy w 2005 r. nie doczekaliśmy się przeprowadzenia przez nią ani jednego konserwatywnego projektu".

FRANCUSKA WERSJA

Inna jest sytuacja we Francji, gdzie tamtejsi Zieloni są podzieleni na zwolenników linii centrowej i zwolenników bardziej radykalnych, skrajnie lewicowych postaw. Liderem pierwszej tendencji jest europoseł Yannick Jadot, który był kandydatem Zielonych na prezydenta w 2017 r. i prowadził listę Europe Écologie-Les Verts (EELV) w wyborach europejskich. Jadot chciałby – podobnie, jak to zrobili niemieccy Zieloni – przekształcić EELV w formację bardziej centrową, zdolną do uczestniczenia w koalicjach rządowych nie tylko z samą lewicą. Krytykuje przykładowo brak bezpieczeństwa na ulicach i „separatyzm religijny", podczas gdy część jego partii wyraźnie należy to tzw. islamolewicy. We wrześniu Jadot skrytykował partyjnych kolegów, którzy wyrażali się z pogardą o kolarskim wyścigu Tour de France po tym, jak zdominowany przez ekologów urząd miasta w Rennes w Bretanii nie chciał gościć tej prestiżowej imprezy w ubiegłym roku ze względu na jej rzekomy ujemny wpływ na środowisko naturalne.

Po względnie dobrym wyniku w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2019 r., który uczynił z francuskich Zielonych główną siłę lewicowej opozycji (z wynikiem 13 proc. głosów w stosunku do 6 proc. dla socjalistów i 6 proc. dla skrajnej lewicy), głównym problemem partii EELV może być właśnie to, że po raz pierwszy, po wyborach samorządowych z marca i czerwca 2020 r., rządzi na czele lewicowych koalicji w kilku dużych miastach, takich jak Lyon, Strasburg, Bordeaux czy Grenoble. Skrajnie lewicowy radykalizm merów EELV – w odróżnieniu od postawy Zielonych rządzących w niemieckich landach – może stać się dużą przeszkodą w przyszłych wyborach, zwłaszcza tych parlamentarnych, mających się odbyć w 2022 r. Pierwszym testem będą jednak wybory regionalne, które mają się odbyć w czerwcu, o ile nie zostaną ponownie przełożone ze względu na pandemię.

I tak, podobnie jak władze Rennes, mer Lyonu, drugiego co do wielkości miasta we Francji, stwierdził, że popularny wyścig Tour de France jest „szowinistyczny i zanieczyszczający", a sekretarz generalny EELV Julien Bayou odpowiedział na krytykę Yannicka Jadota stwierdzeniem, iż Tour de France powinien „dostosować się do wyzwań ekologii i feminizmu". Ten sam Bayou stwierdził przy innej okazji, że sprzeciwia się zakazowi noszenia burkini (islamskiego stroju kąpielowego) na publicznych basenach oraz islamskiej chusty w miejscach publicznych, a w listopadzie 2019 r. brał udział w proteście „przeciw islamofobii we Francji", pomimo obecności wśród organizatorów ugrupowań kojarzonych z radykalnym islamem. Podobne stanowisko prezentuje mer miasta Grenoble Éric Piolle, który jest wymieniany jako potencjalny kandydat EELV w wyborach prezydenckich w 2022 r.

Można mnożyć przykłady postaw merów EELV, które u większości Francuzów budzą śmiech, gniew albo konsternację. W ramach ochrony środowiska mer Bordeaux Pierre Hurmic, także z EELV, zrezygnował w grudniu z tradycyjnej choinki bożonarodzeniowej, którą nazwał „martwym drzewem". Tym, którzy go za to krytykowali lub żądali głosowania mieszkańców w tej sprawie, rzucił: „Mam w nosie opinię faszystów". W Lyonie mer Grégory Doucet nakazał zastąpić wszystkie dokumenty urzędowe takimi, które będą pisane tzw. językiem inkluzywnym, czyli neutralnym płciowo. We wrześniu, ze względu na religijny charakter wydarzenia, ten sam mer odmówił udziału w tradycyjnym Wotum Radców Miejskich, podczas którego od czterech wieków arcybiskup Lyonu błogosławi miasto w obecności świeckich władz. Nazajutrz po tej ceremonii Doucet położył za to kamień węgielny pod budowę meczetu, czym chwalił się w mediach społecznościowych. Niedawno postanowił, że szkolne stołówki będą odtąd podawać jedynie posiłki wegetariańskie, aby nie obrażać uczuć religijnych uczniów różnych wyznań w lyońskich szkołach (chodzi o rodzaje podawanego mięsa i metody uboju zwierząt).

GŁÓWNA SIŁA LEWICY

Inny przykład to rządzona przez Zielonych stolica Alzacji. W marcu, gdy wyszło na jaw, że urząd miasta Strasburga przeznaczył dotację w wysokości 2,5 mln euro na budowę największego meczetu w Europie, Zieloni bronili swojej decyzji tym, że w Alzacji obowiązuje konkordat, na mocy którego lokalne władze współfinansują kościoły. W oczach Zielonych taka zasada musi stosować się do wszystkich religii jednakowo, i to nawet w sytuacji, gdy inicjatorem projektu oraz przyszłym zarządcą meczetu jest pozostająca pod wpływem tureckiego rządu organizacja Millî Görüş. Jest ona opisywana przez wielu komentatorów jako radykalna czy wręcz islamistyczna. Jej władze konsekwentnie odmawiają podpisania nowej Karty zasad islamu we Francji, którą przyjęło w tym roku kilka największych organizacji francuskich muzułmanów w celu potwierdzenia zgodności ich wizji islamu z zasadami Republiki Francuskiej i wyrażenia sprzeciwu wobec radykalnych form tej religii. Jednakże w odpowiedzi na krytykę płynącą z rządu, samego prezydenta Macrona oraz prawicowej opozycji radny EELV w Strasburgu stwierdził, że gdyby mieli odebrać organizacji Millî Görüş dotację na meczet, musieliby postępować podobnie w stosunku do „kościołów katolickich ze względu na homofobiczną i seksistowską postawę Watykanu".

W przeciwieństwie do swoich niemieckich kolegów i koleżanek francuscy Zieloni starają się przede wszystkim utwierdzić zdobytą pozycję głównej siły lewicy. Tyle że bój o władzę we Francji będzie się rozgrywać między centrowo-liberalnym obozem Macrona a jego prawicową opozycją, z partią RN Marine Le Pen na czele. Jeśli dojdą do władzy u siebie we wrześniu, to niemieccy Zieloni będą mogli za to bez trudu porozumiewać się z francuskim prezydentem, którego poglądy są im na pewno bliskie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Prostokąt bogaty w symbole

Teresa Stylińska

Nad każdym budynkiem publicznym w Wielkiej Brytanii już wkrótce ma powiewać flaga narodowa. To rewolucyjna zmiana, bo do niedawna eksponowanie Union Jack było mocno ograniczone. Jeszcze kilkanaście lat temu za naklejenie plakietki z flagą na aucie groziła grzywna! Od teraz jednak, jak oświadczył minister kultury Oliver Dowden, flaga będzie „przypominać o naszej dumnej historii i o łączących nas więzach"

Rząd Borisa Johnsona od pewnego czasu prowadzi prawdziwą akcję popularyzowania flagi, i to praktycznie wszędzie. Dwa samoloty, wynajęte ostatnio z myślą o podróżach ministrów, ale także rodziny królewskiej, pomalowano w barwach narodowych, a na ogonie i na skrzydłach umieszczono flagę. Opozycja nie tylko tego nie pochwala, lecz także wręcz uważa, że rząd szasta pieniędzmi podatników.

Nową oprawę mają także wywiady telewizyjne przedstawicieli rządu. W tle czy na biurku musi koniecznie być flaga. Ostatnio, gdy Robert Jenrick, minister ds. społeczności lokalnych, w takiej scenerii rozmawiał z BBC, dziennikarze nieco sobie z tego podkpiwali – za co zostali upomniani przez dyrekcję stacji. Flagę próbowano włączyć – symbolicznie – do walki z pandemią. Władze sugerowały, że na opakowaniach szczepionki AstraZeneca, opracowanej przy udziale naukowców z Oksfordu, powinna widnieć brytyjska flaga. Firmie jednak pomysł się nie spodobał, a rząd się nie upierał.

W tym kontekście należy docenić skarb narodowy, jakim bez wątpienia jest Larry, kot z Downing Street 10, Główny Myszołap Urzędu Premiera, jak brzmi jego oficjalny tytuł. W dniach świąt Larry, z zawiązaną na szyi kokardką w barwach brytyjskich, przypomina o sprawach państwa i narodu. Premier Johnson nie ma z tym jednak nic wspólnego, bo popularny kot podnosił morale narodu już za Davida Camerona.

FLAGA TRZECH KRZYŻY

Sposób uzasadniania obecności flag na budynkach publicznych budzi jednak podejrzenie, że za całą kampanią kryje się zamysł polityczny. Podejrzenie jest uzasadnione. Władzom w Londynie chodzi o podkreślenie, że Zjednoczone Królestwo, choć złożone z czterech regionów – Anglii, Szkocji, Walii i Irlandii Północnej – stanowi całość mocną i niewzruszoną. Separatyści jej nie rozbiją.

Chociaż w porównaniu z flagami wielu państw – zwłaszcza tymi, które, tak jak flagi Polski, Węgier czy Włoch, mają formę prostych pasów – brytyjska wydaje się zagmatwana, w gruncie rzeczy jest całkowicie czytelna. Jej kształt podkreśla istnienie unii zawiązanej jako unia personalna w roku 1606, gdy szkocki król Jakub VI objął również tron Anglii, i przekształconej w unię parlamentów w roku 1707. Flagą wspólnej Wielkiej Brytanii stały się dwa nałożone na siebie krzyże: czerwony krzyż św. Jerzego, patrona Anglii, i ukośny biały krzyż św. Andrzeja, patrona Szkocji. W 1801 r., po powstaniu Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii, flagę uzupełniono o czerwony, skośny krzyż św. Patryka. Brakuje flagi Walii – czerwonego smoka na białym i zielonym tle, bo Walię, już w XIII w. włączoną do Korony angielskiej, potraktowano jak część Anglii.

Do tej pory brytyjskie flagi obowiązkowo wywieszano zaledwie 20 razy w roku, w dni ściśle określone. To urodziny najważniejszych członków rodziny królewskiej i święta narodowe, takie jak Remembrance Day, obchodzony 11 listopada dzień pamięci poległych żołnierzy. Od lata, gdy przepisy wejdą w życie, flagi będą wisieć na stałe. Zarządzenie dotyczy budynków państwowych, ale rząd zachęca samorządy, by na szczeblu lokalnym zrobiono to samo. Zmiany są więc radykalne.

Irlandii Północnej przepisy nie obejmą (o czym dalej). Co jednak sądzą Szkoci i Walijczycy? W Edynburgu i Cardiff intencje pomysłodawców odczytano podobnie: jako chęć ściślejszego zespolenia unii i zakusy na swobodę regionów. Formalnie nie jest to możliwe, bo kompetencje regionów są precyzyjnie określone, ale wymiar symboliczny to inna sprawa. A jest on jasny. Na jednym maszcie można umieścić dwie flagi: brytyjską i regionalną. Co z tego jednak, skoro brytyjska musi być wyżej?

To drażni. Mark Drakeford, premier regionalnego rządu Walii, uważa, że skutek będzie odwrotny, bo walijski nacjonalizm tylko się nasili. Nie inaczej jest w Szkocji. Szkoci cenią sobie symbole i gdy wychodzą na demonstracje, ulice zalewa morze flag biało-niebieskich. Brytyjskiej na pewno nie przyjmą z radością.

NA KAPITOLU I PRZED DOMAMI

Nawet jeśli władze pragną, by Brytyjczycy traktowali wspólną flagę z równym entuzjazmem, jak Amerykanie traktują swoją, to małe są na to szanse. Stosunek Amerykanów do gwiaździstego sztandaru – jest to zarazem tytuł i część treści hymnu USA – jest wyjątkowy. Flaga to świętość, a jej zbezczeszczenie jest odbierane jak osobista zniewaga.

W 2018 r. minęła 200. rocznica przyjęcia flagi z całą jej symboliką. Trzynaście pasków symbolizuje 13 założycielskich stanów USA, gwiazdki zaś ich liczbę

eprasa.pl 8cfe74c930

aktualną, czyli obecnie 50. Paski to element stały, gwiazdki – zmienny, a takie połączenie jak na portalu „The Conversation" – pisał Matthew Ward z uniwersytetu w Dundee – „daje fladze dynamikę i rozpoznawalność". Specjalny Flag Code reguluje wszystko, co dotyczy flagi, włącznie z przechowywaniem i niszczeniem, gdy nadejdzie pora.

Amerykanie widzą w swej fladze nieodległy symbol. Flaga to coś bliskiego. Dlatego flagi są wszędzie. Nierzadki jest widok ubogich, zaniedbanych domków, przed którymi dumnie powiewa flaga. Są naklejki na samochodach i ciężarówkach [widziałam taką, której towarzyszyła deklaracja: „Proud army veteran" („Dumny weteran wojskowy")], flagi na ulicach, w parkach i witrynach, i naturalnie podczas imprez sportowych. A przy tym powszechność flagi nie umniejsza wcale jej powagi.

Dlaczego tak się dzieje? Stany Zjednoczone, ze swą krótką historią, brakiem mocnego zakorzenienia w przeszłości i mieszkańcami rodem z całego świata, potrzebują punktu odniesienia, który każdy obywatel mógłby uznać za swój. „Od samego początku – pisze Matthew Ward – Stany Zjednoczone są krajem zróżnicowanym etnicznie. Nie mają monarchy jako symbolu państwa, a prezydent może zarówno łączyć, jak i dzielić. Granice, tak zewnętrzne, jak wewnętrzne, są sztucznie wytyczone, nie geograficzne. Niejednoznaczny jest nawet sam termin »Ameryka«. Za to flaga sięga samych początków USA i towarzyszy wszystkim ważnym wydarzeniom – lądowaniu na Księżycu, ruinom WTC, walkom na wyspie Iwo Jima". Dlatego to flaga stała się zwornikiem Ameryki: jasnym, mocnym i pewnym.

PYTANIE O PRZESZŁOŚĆ

W Irlandii Północnej nawet ktoś nieobeznany z terenem od razu wie, gdzie jest: w dzielnicy katolickiej czy też protestanckiej. Nieomylnym wskaźnikiem są barwy, na jakie malowane są drzwi, okiennice, latarnie, krawężniki i nawet pojemniki na śmieci. Zielony, biały i pomarańczowy to barwy katolików, którzy podkreślają swe irlandzkie korzenie. Niebieski, biały, czerwony to barwy protestantów, bo czują się oni Brytyjczykami.

Flaga brytyjska budzi w Ulsterze gorące emocje. Protestanci ją kochają, katolicy jej nienawidzą. Już dawno temu więc, ku oburzeniu unionistów, rada miejska Belfastu postanowiła zmniejszyć do zaledwie 18 liczbę dni, gdy nad budynkiem ratusza powiewać będzie flaga brytyjska. Jeśli nowe regulacje nie obejmą Irlandii Północnej, to właśnie dlatego, że rząd, nie chcąc prowokować rozpalenia konfliktu – który zresztą wcale nie wygasł – zachowuje ostrożność.

To zaś pokazuje, jak wielkie emocje – i pozytywne, i negatywne – wyzwalają flagi. Łączą, ale w nie mniejszym stopniu mogą dzielić. Podkreślają więzy

eprasa.pl 8cfe74c930

Brytyjska flaga podkreśla istnienie unii zawiązanej jako unia personalna w roku 1606, gdy szkocki król Jakub VI objął również tron Anglii, i przekształconej w unię parlamentów w roku 1707

FOT. ADOBE STOCK

z przeszłością, ale gdy przeszłość budzi wątpliwości, odrzucenie flagi jest jak kropka nad i. To przypadek krajów, które były koloniami. Przyjęcie nowej flagi ma dla nich rangę symbolu.

Większość dawnych kolonii brytyjskich, choć należy do Commonwealthu i utrzymuje ścisłe więzy z metropolią, ma własne flagi. Union Jack, umieszczony w lewym górnym rogu, widnieje już tylko na flagach Australii, Nowej Zelandii, Fidżi i Tuvalu. Spektakularnej zmiany dokonała Kanada, jedno z najważniejszych państw wspólnoty, gdy w latach 60. przyjęła flagę z liściem klonu. Tą drogą próbowała pójść Nowa Zelandia. Parę lat temu we wstępnym głosowaniu wygrał projekt, w którym elementem centralnym był piękny liść srebrnej paproci, występującej tylko tutaj. W ogólnonarodowym referendum Nowozelandczycy okazali się jednak wierni swym brytyjskim korzeniom i postanowili niczego nie zmieniać.

BIEL, CZERŃ I BŁĘKIT

Nowe kraje, gdy pojawiają się na mapie świata, muszą także odpowiedzieć sobie na pytanie, co chcą symbolicznie utrzymać, a co pragną zmienić. Po rozpadzie Związku Sowieckiego ułatwione zadanie miały Litwa, Łotwa i Estonia, bo przywróciły po prostu swoje przedwojenne flagi, ale inne kraje musiały zdefiniować, jak same siebie widzą. Nie inaczej było, gdy rozpadły się Czechosłowacja i Jugosławia.

Klucz do symboli jest zresztą dość przejrzysty: krzyże to domena państw chrześcijańskich (Gruzja na swej fladze ma ich aż pięć!), natomiast półksiężyc i gwiazdy podkreślają przynależność do świata islamu. Symbolika barw kryje się w przeszłości lub w przyrodzie: błękit morza, biel śniegu, czerń ziemi – choć może też, tak jak w wypadku Sudanu Południowego, być biel pokoju i czerń skóry zamieszkujących go ludzi.

Najważniejsze jest jednak, by flagi miały potencjał jednoczenia. Tak uważa Malcolm Farrow, szef londyńskiego Flag Institute, zajmującego się różnymi aspektami tworzenia i funkcjonowania flag. „Flaga narodowa – mówił BBC – to rzecz niezwykle ważna. W społeczeństwie ludzi różnego pochodzenia, różnych wyznań i języków tylko ona daje każdemu poczucie tożsamości. Ten mały prostokąt mieści w sobie naród i opowieść o jego historii".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ODWIEDŹ STRONĘ filmopedia.org
I ODKRYJ MAGIĘ HISTORII POLSKIEGO KINA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

eprasa.pl 8cfe74c930

Pedro Castillo jest faworytem w wyścigu po prezydenturę
FOT. MARTIN MEJIA/AP/EAST NEWS

„Gra o tron" dawnego imperium Inków

Witold Repetowicz

Gdyby powstał serial na temat najnowszej historii Peru, to mógłby zapewne konkurować z „Grą o tron". Po 4 czerwca kraj ten będzie miał piątego z kolei prezydenta w ciągu niespełna 39 miesięcy. Będzie nim albo skrajnie lewicowy Pedro Castillo, albo Keiko Fujimori, córka odsiadującego wyrok 25 lat więzienia byłego prezydenta Alberta Fujimoriego

Peru to kraj o fascynującej historii, o której przypominają zabytki przyciągające turystów z całego świata. To serce dawnego imperium Inków, po którym pozostały wspaniałe ruiny Machu Picchu. To również kraj nieodłącznie związany z imieniem jednego z najsłynniejszych hiszpańskich konkwistadorów, czyli z Franciskiem Pizarrem, który w towarzystwie zaledwie 180 ludzi podbił największe prekolumbijskie państwo w Ameryce, a następnie założył Limę, dzisiejszą stolicę Peru. Republika ta wkrótce obchodzić będzie 200-lecie swojej niepodległości. 28 lipca 1821 r. proklamował ją legendarny gen. José de San Martín, który jako El Protector został pierwszą głową tego państwa. Później, przez wieki XIX i XX, w Peru miało miejsce wiele wojskowych przewrotów. Ostatni z nich odbył się w 1968 r., gdy lewicowa junta obaliła centrowego prezydenta Fernanda Belaúnde Terry'ego.

W 1980 r. demokracja wróciła do Peru i Belaúnde Terry ponownie został prezydentem. Był on przy tym nie tylko ostatnią wybraną w wyborach powszechnych głową tego państwa, która została obalona przez wojskowych, lecz także ostatnią, która po zakończeniu kadencji nie była ścigana za korupcję i inne przestępstwa. Wraz z demokracją pojawił się jednak w Peru również terroryzm. Zainspirowany wycieczką do Chin profesor filozofii na uniwersytecie w Ayacucho, Abimael Guzmán, założył istniejącą do dziś maoistowską partyzantkę Sendero Luminoso (Świetlisty Szlak), która terroryzowała Peru przez ponad dwie dekady. Kilka lat później powstała też partyzantka marksistowsko-leninowska pod nazwą Ruch Rewolucyjny Tupaca Amaru.

REKORDOWA INFLACJA

Następcą Belaúnde Terry'ego w 1985 r. został lewicowy populista Alan García Pérez, który doprowadził Peru do ruiny finansowej i największej w dziejach świata inflacji. Jej skumulowana wysokość przez pięć lat kadencji Garcíi Péreza wyniosła ponad 2 mln proc. Na prezydencie ciążyły jednak również zarzuty przyjmowania gigantycznych łapówek oraz defraudacji i przywłaszczeń, a także pozasądowych egzekucji w prowadzonej wojnie z terrorystami. Następca Garcíi Péreza, Alberto Fujimori, próbował dorwać go w kwietniu 1992 r., ale byłemu prezydentowi udało się uciec do ambasady Kolumbii, gdzie uzyskał azyl i został stamtąd przetransportowany do Bogoty.

Miesiąc wcześniej Sąd Najwyższy Peru odrzucił wszystkie zarzuty ciążące na Garcíi Pérezie, więc ten nie tylko mógł spokojnie wrócić do kraju po upadku Fujimoriego, lecz także w 2006 r. został

eprasa.pl 8cfe74c930

znów wybrany na prezydenta. Trzynaście lat później, gdy policja przyszła go aresztować w związku z aferą Odebrecht, García Pérez się zastrzelił. Nieco wcześniej dwukrotny prezydent Peru próbował powtórzyć manewr sprzed 21 lat i uzyskać azyl, tym razem w ambasadzie Urugwaju, ale spotkała go odmowa.

Fujimori o śmierci Garcíi Péreza dowiedział się w więziennej celi, gdzie odsiaduje wyrok 25 lat więzienia za masakry dokonane na jego rozkaz, a także defraudacje oraz korupcję. On również usiłował zgłosić swoją kandydaturę w wyborach w 2006 r., ale nie został do nich dopuszczony. García Pérez tymczasem wygrał, bo w drugiej turze zmierzył się z Ollantą Humalą, uznawanym za protegowanego Hugona Cháveza. Peruwiańczycy obawiali się, że wygrana Humali oznaczać będzie lewicową dyktaturę pod patronatem Wenezueli. Gdy jednak w 2011 r. Humala zdobył prezydenturę, nieznacznie pokonując w drugiej turze Keiko Fujimori, to obawy okazały się płonne, a nowy prezydent zawiódł swój lewicowy elektorat, czego kulminacją było siłowe stłumienie protestów Indian w rejonie Cajamarca, protestujących przeciwko uruchomieniu przez amerykańską firmę Newmont kopalni złota Conga. Zdaniem peruwiańskiej prokuratury Humala nie zawiódł za to brazylijskiej spółki Odebrecht, od której, podobnie jak jego dwóch poprzedników oraz następca, miał przyjmować łapówki.

Po autorytarnych rządach Fujimoriego w Peru wprowadzono zasadę, że ustępujący prezydent nie może kandydować w wyborach odbywających się bezpośrednio po upływie jego kadencji. Pierwszym prezydentem po Fujimorim był przy tym ekonomista Alejandro Toledo, który w wyborach w 2000 r. wystartował pod hasłami demokratyzacji, transparentności i decentralizacji. Jego przegrana, w atmosferze oskarżeń o masowe fałszerstwa, a także ujawnienia nielegalnej działalności szefa peruwiańskich służb specjalnych Vladimira Montesinosa, doprowadziły do rewolucji, która zmusiła Fujimoriego do ucieczki do Japonii. Nowe wybory odbyły się rok później i Toledo wygrał w nich z Garcią Pérezem. Rządy Toledo okazały się jednak rozczarowaniem w kraju, choć za granicą, w tym w USA i Izraelu, cieszył się dobrą renomą. Opłaciło się to, bo gdy w lutym 2017 r. peruwiańska prokuratura wydała za nim międzynarodowy list gończy w związku z oskarżeniami korupcyjnymi, w tym przyjęcia od firmy Odebrecht 20 mln dol. łapówki, Toledo był akurat w USA. W lipcu 2019 r. został tam aresztowany, ale w marcu 2020 r. wypuszczono go za kaucją w wysokości 1 mln dol. Proces ekstradycyjny wciąż trwa. Natomiast wcześniej Toledo próbował ponownie szczęścia w wyborach w latach 2011 i 2016, otrzymując odpowiednio 15 proc. i 1,3 proc. W tych drugich wystartował też zresztą García Pérez, który uzyskał niespełna 6 proc.

Jeżeli chodzi o Humalę, to już w 2006 r. pojawiły się oskarżenia związane z jego służbą w peruwiańskiej armii w czasie walk z Sendero Luminoso. W 2017 r. potwierdził je raport opublikowany przez Human Rights Watch. Humala miał wydawać rozkazy egzekucji i tortur, a w niektórych osobiście uczestniczyć. W lipcu tego samego roku były prezydent został wraz z żoną aresztowany pod zarzutami korupcji (w tym w związku z aferą Odebrecht). Humali grozi obecnie 20 lat więzienia. Nie przeszkodziło mu to jednak wystartować w ostatnich wyborach, w których dostał 1,5 proc. głosów.

Afera Odebrechtu została ujawniona za prezydentury Pedra Pabla Kuczynskiego, liberalnego ekonomisty pochodzącego z rodziny żydowskich imigrantów z Wielkopolski. W 2016 r. Kuczynski minimalnie pokonał Keiko Fujimori. Fujimoryści zdobyli jednak większość w parlamencie. To doprowadziło do permanentnego konfliktu między parlamentem a egzekutywą, któremu towarzyszył proceder kupowania głosów. Kuczynski również został przy tym oskarżony o to, że jako premier za rządów Toledo przyjmował łapówki od Odebrechtu. Fujimoryści zainicjowali wówczas impeachment, ale Kuczynski zaoferował Kenjemu Fujimoriemu (synowi Alberta) układ polegający na ułaskawieniu byłego prezydenta w zamian za pomoc w kupieniu głosów niezbędnych do zablokowania impeachmentu. Tak się też stało, ale ułaskawienie zostało unieważnione przez Sąd Najwyższy i w styczniu 2019 r. Fujimori wrócił do więzienia, a w marcu, po podjęciu kolejnej próby impeachmentu, Kuczynski zrezygnował, natomiast w kwietniu 2019 r. został tymczasowo aresztowany na trzy lata.

Po rezygnacji Kuczynskiego prezydenturę objął jego zastępca Martín Vizcarra, który we wrześniu 2019 r. rozwiązał parlament. W przeprowadzonych w styczniu 2020 r. wyborach fujimoryści ponieśli klęskę, ale nie uchroniło to Vizcarry przed impeachmentem. Nowym prezydentem został przewodniczący parlamentu Manuel Merino, którego prawicowy rząd został obalony już po pięciu dniach przez masowe protesty zwolenników Vizcarry, a następcą został centrowy Francisco Sagasti.

Ugrupowanie Keiko Fujimori w wyborach w styczniu 2020 r. zdobyło tylko 7 proc. i wydawało się, że jest to koniec jej ambitnych planów, zwłaszcza że Odebrecht miał ją również nielegalnie wspierać. Keiko została aresztowana w październiku 2018 r., ale sąd nakazał jej wypuszczenie rok później. W dodatku w jej partii doszło do wielu rozłamów. Jednak peruwiańska scena polityczna uległa tak wielkiemu rozdrobnieniu, że w wyborach, które odbyły się 11 kwietnia, wystarczyło niewiele, by dostać się do drugiej tury. Castillo i Fujimori łącznie nie zdobyli nawet jednej trzeciej ważnych głosów przy rekordowo niskiej frekwencji.

JAK CASTRO I CHÁVEZ

Zwycięzca pierwszej tury Pedro Castillo pojawił się na peruwiańskiej scenie politycznej dopiero latem 2017 r. jako lider związkowy w czasie strajku nauczycieli. Wkrótce potem posądzono go o związki z Movadef, tj. politycznym skrzydłem Sendero Luminoso. Castillo chce zmienić konstytucję i nie ukrywa, że wzorem dla niego są tacy liderzy jak Fidel Castro czy Hugo Chávez. Zapowiada radykalną nacjonalizację zasobów naturalnych Peru i narzucenie takiego podziału zysku, by „70 proc. było dla kraju, a 30 proc. dla firm".

Wybór Keiko Fujimori oznaczałby natomiast kontynuację neoliberalnej polityki, która za kadencji jej ojca okazała się skuteczna w walce z kryzysem spowodowanym rządami Garcíi Péreza. Z drugiej jednak strony wielu Peruwiańczyków obawia się powrotu do autorytaryzmu, który cechował rządy jej ojca. Warto dodać, że Fujimori skutecznie zwalczał komunistycznych terrorystów, choć zbrodniczymi metodami, a poza tym jego wszechwładny szef służb specjalnych Montesinos (nomen omen Vladimiro Lenin Ilich) jednocześnie sprzedawał broń komunistycznej partyzantce kolumbijskiej FARC.

Otwarte pozostaje też pytanie, czy utrzymana zostanie swoista tradycja Peru, że wybrani prezydenci trafiają później do więzienia. W przypadku wyboru Castilla istnieje również duże prawdopodobieństwo kolejnego starcia z parlamentem, w którym większość zdobyły partie prawicowe, a partia Castilla zdobyła tylko 32 mandaty spośród 130.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

FOT. ADOBE STOCK

TĘCZOWY HORROR MIGRANTÓW

RFSL – największa szwedzka organizacja LGBT – od 70 lat działa na rzecz osób homoseksualnych, biseksualnych i transpłciowych. Pomaga więc imigrantom otrzymać azyl ze względu na orientację seksualną. Pracownik stowarzyszenia RFSL został właśnie skazany w Sztokholmie na cztery lata więzienia za gwałty na imigrantach. Zastraszeni widmem odmowy azylu, godzili się na wymuszone przez niego stosunki. Mężczyzna, którego zadaniem było informować o „bezpiecznym seksie" i „chorobach przenoszonych drogą płciową", zmuszał swoje ofiary do seksu bez zabezpieczenia. Sztokholm zapowiedział kontrolę stowarzyszenia, która może się zakończyć odebraniem mu dotacji.

DEHUMANIZACJA DAWKINSA

Richard Dawkins, były profesor uniwersytetu oksfordzkiego, wróg kreacjonistów, otwarcie krytykujący religię (autor głośnej książki „Bóg urojony"), uznany za jednego z najwybitniejszych współczesnych intelektualistów, został właśnie zdegradowany. Otóż 25 lat temu Amerykańskie Towarzystwo Humanistów przyznało mu tytuł Humanisty Roku, a teraz ten tytuł mu odebrało. Powód? Post na Twitterze. Dawkins porównał osoby transpłciowe do działaczki na rzecz praw obywatelskich, która latami udawała osobę czarnoskórą. Zarząd ATH uznał, że Dawkins przez lata wypowiadał się „pod pozorem dyskursu naukowego w celu poniżenia zmarginalizowanych grup".

ZA MAŁO CHORYCH NA KORONAWIRUSA

Szwajcarski koncern farmaceutyczny Roche nie może rozpocząć zaplanowanego w Wielkiej Brytanii testu eksperymentalnego leku na koronawirusa. Problemem jest… brak chorych ochotników, którzy mogliby brać udział w badaniu. Na Wyspach tak szybko szczepi się obywateli, że liczba wykrywanych zakażeń spadła z 70 tys. dziennie do zaledwie 2,5 tys.

ZASZCZEPIENI SZCZEPIONKĄ DLA PSÓW

W Chile szczepienia przeciw COVID-19 rozpoczęły się, jeszcze zanim do tego kraju dotarły szczepionki. Weterynarze z miasta Calama szczepili ludzi szczepionką dla psów. To szczepionka także na koronawirusa, ale zupełnie innego niż wywołujący COVID-19 u ludzi. Psią szczepionkę podawali pracownikom miejscowej kliniki medycznej, a także m.in. górnikom.

ZAPACH FORSY

Niemiecki urząd skarbowy w Karlsruhe sprzedaje perfumy o zapachu świeżo wydrukowanych banknotów. To pomysł Kathariny Hohmann, która wygrała konkurs artystyczny taką właśnie koncepcją. Pierwszą partię 600 buteleczek Aerarium – bo tak się nazywa zapach – przeznaczono dla 600 pracowników skarbówki. Teraz nabyć go może już każdy za 60 euro. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Włoski król absencji

Salvatore Scumace w pracy w szpitalu Pugliese-Ciaccio w Catanzaro na południu Włoch pojawił się raz. Był rok 2005, a Włoch przyszedł, by podpisać umowę o pracę. I tyle go w szpitalu widziano. Pensja na konto nieobecnego pracownika wpływała za to regularnie.

Jak poinformował brytyjski „Daily Telegraph", wprawdzie przez lata jeden z szefów chciał z panem Salvatorem zrobić wreszcie porządek, jednak ponoć po groźbach zrobienia krzywdy bliskim dyrektora zrezygnował z formalnych kroków. Zwłaszcza że wkrótce przeszedł na emeryturę. Jego następcy sprawą pracownika, który w pracy nigdy się nie pojawił, już się zaś nie interesowali. Dzięki temu wiecznie nieobecny zatrudniony zainkasował przez 15 lat ponad 538 tys. euro, czyli 2,45 mln zł.

67-letni obecnie Włoch wpadł tylko dlatego, że podobnych mu pracowników sektora publicznego było tak dużo, że w roku 2016 rząd w Rzymie musiał zaostrzyć przepisy związane z zatrudnionymi w budżetówce. W 2020 r. porównano więc listy obecności i sprawa oficjalnie wyszła na jaw. Pan Scumace otrzymał dyscyplinarkę, ale to nie koniec jego problemów ze spokojną emeryturą. Na stare lata policja zarzuca mu nadużycie, fałszerstwo i wymuszenie dużej sumy pieniędzy. Śledczy wzięli pod lupę także sześciu przełożonych mężczyzny, którego włoskie media nazwały „królem absencji". O taki tytuł we Włoszech – kraju, w którym budżet państwa od lat jest okradany przez podobnych cwaniaczków – wcale nie jest łatwo.

Tylko w tym jednym szpitalu w Catanzaro z powodu niepojawiania się w pracy dyscyplinarkę otrzymało ostatnio aż 57 innych pracowników, których w godzinach pracy widziano pijących w barach i grających na automatach. Tak to można (nie)pracować… ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

www.dorzeczy.pl/dodatki

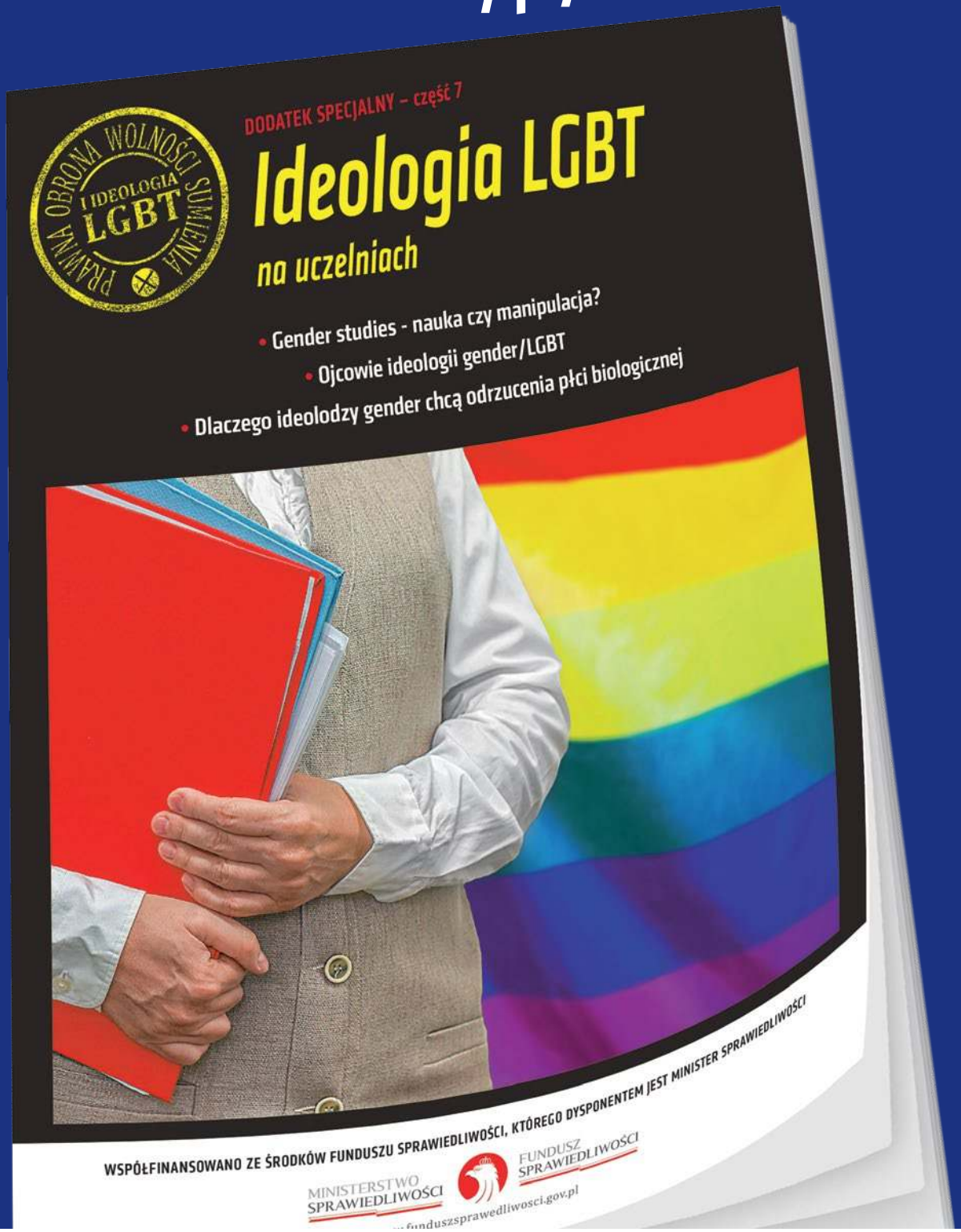

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl 8cfe74c930

Z Dolkunem Isą, przewodniczącym Światowego Kongresu Ujgurów
rozmawia Piotr Włoczyk

Mamy przestać istnieć

PIOTR WŁOCZYK: Amerykański Departament Stanu stwierdził niedawno, że Pekin dokonuje ludobójstwa na Ujgurach. Chińczycy odpowiadają, że to jedynie polityczny atak w wykonaniu Waszyngtonu, który nie ma oparcia w faktach.

DOLKUN ISA: Nie ma żadnych wątpliwości, że chińscy komuniści przeprowadzają ludobójstwo na Ujgurach. Mamy na to bardzo konkretne dowody. Dysponujemy m.in. zeznaniami ludzi, którzy byli zamknięci w chińskich obozach koncentracyjnych na terenie Turkiestanu Wschodniego. Widzieli w nich wynaradawianie, pranie mózgów, tortury, a także zabójstwa. Chińczycy dążą do unicestwienia narodu ujgurskiego. O tym, że to oficjalna polityka, świadczą też wstrząsające chińskie dokumenty rządowe, które wyciekły na Zachód.

Chińskie władze przekonują, że prowadzą w Sinciangu – jak nazywają Turkiestan Wschodni – walkę z islamskim terroryzmem i radykalizmem.

Po pierwsze, my nie używamy nazwy „Sinciang", ponieważ to chiński termin, który oznacza „nowe terytorium". To żadne nowe terytorium, Ujgurzy zamieszkują te ziemie od wieków. Dla nas to Turkiestan Wschodni. Po drugie, Chińczycy cały czas zmieniają narrację. Początkowo chiński rząd zaprzeczał, by w Turkiestanie Wschodnim w ogóle istniały jakiekolwiek obozy. Gdy jednak okazało się, że nie da się temu dłużej zaprzeczać, pojawiła się zmiana narracji: to obozy, w których młodzi Ujgurzy przechodzą szkolenia zawodowe. Dzięki nim będą mieli lepszą przyszłość.

Chińczycy nazywają te miejsca „obozami szkoleniowymi".

Problem w tym, że wiemy, iż zamykani są tam również przedstawiciele ujgurskich elit, m.in. rektor Xinjiang University Tashpolat Tiyip. Czy ten wybitny ujgurski naukowiec rzeczywiście potrzebuje szkolenia zawodowego? Również Halmurat Ghopur, były rektor Uniwersytetu Medycznego w Urumczi, stolicy Turkiestanu Wschodniego, został wysłany do obozu.

Czy dodatkowego przeszkolenia zawodowego potrzebowała moja matka, niemal 80-letnia staruszka, którą także pozbawiono w ten sposób wolności? Moja matka zmarła dwa lata temu w obozie. Bardzo ciężko uzyskać informacje na temat tego, ile dokładnie osób zamkniętych jest w tych obozach, ale wiemy, że jest to olbrzymia liczba.

Według Departamentu Stanu USA Chińczycy przetrzymują w tych miejscach ok. 2 mln Ujgurów i innych przedstawicieli mniejszości muzułmańskiej. Według ONZ ta liczba jest bliższa milionowi.

Dane ONZ to bardzo ostrożne szacunki. Przypomnę tylko, że oficjalnie w Chinach żyje 12 mln Ujgurów... Dane satelitarne pokazują, że w latach 2019–2020 zbudowano 380 nowych obozów. Proces niszczenia ujgurskiej tożsamości bardzo mocno przyspiesza.

Co się dzieje w tych obozach?

Straszne rzeczy. Więźniowie zmuszani są do spania na betonie, każdy ich ruch śledzą kamery, nie wolno im rozmawiać ze sobą. Całe dnie spędzają na dokonywaniu samokrytyki i okazywaniu lojalności komunistom. Ujgurzy zmuszani są do dziękowania Xi Jinpingowi za jedzenie, za wodę, za to, że żyją. To pranie mózgów na masową skalę. Wszyscy muszą się uczyć chińskiego. Ten, kto się nie uczy, jest za to karany. Tortury fizyczne to norma. Ludzie, którzy przeżyli obozy i uciekli potem na Zachód, zgodnie mówią o bardzo wysokiej śmiertelności wśród więźniów. Los kobiet jest szczególnie okrutny, ponieważ strażnicy mogą je bezkarnie gwałcić. Kobiety muszą brać pigułki i podaje się im też zastrzyki. Co to za środki? Mamy wiele doniesień o młodych kobietach, które

eprasa.pl 8cfe74c930

Demonstracja w obronie Ujgurów w Berlinie we wrześniu 2020 r.

FOT. MICHELE TANTUSSI/REUTERS/FORUM

po wyjściu z obozów obserwują u siebie wstrzymanie menstruacji. Niewykluczone więc, że chodzi o sterylizację, by wyniszczyć biologicznie naród ujgurski.

Szczególnie BBC zrobiło wiele dla nagłośnienia tragedii ujgurskich kobiet, które gwałcone są na masową skalę, a także poddawane przymusowym aborcjom.

Ta ostatnia kwestia nie jest jednak niczym nowym w wykonaniu chińskich władz, i to nie tylko w stosunku do Ujgurów. Tak samo jak masowa sterylizacja.

To prawda, ale od kilku lat Chiny odchodzą od polityki jednego dziecka, a tymczasem w Turkiestanie Wschodnim te bestialskie praktyki są wręcz nasilane. Również urodzone dzieci padają ofiarą komunistycznej polityki. Szacuje się, że ok. 580 tys. ujgurskich dzieci zostało odebranych rodzicom i przekazanych na wychowanie chińskim rodzinom.

To temat dobrze znany Polakom. Niemcy w czasie wojny odebrali polskim rodzicom co najmniej 50 tys. dzieci.

Chińscy komuniści czerpią „najlepsze" wzorce z różnych totalitarnych systemów... Jesteśmy świadkami przymusowej asymilacji na niespotykaną skalę. Pekin chce to osiągnąć na kilka sposobów. Od początku okupacji systematycznie przenoszą do nas ludność Han [naród stanowiący 92 proc. mieszkańców Chin – przyp. red.]. W 1949 r., gdy chińscy komuniści rozpoczęli okupację Turkiestanu Wschodniego, cała chińska populacja zamieszkująca te ziemie nie przekraczała 4 proc. Ujgurów było ok. 80 proc. Dzisiaj Chińczyków jest już 42 proc., a Ujgurów tylko niewiele więcej. Niedługo będziemy mniejszością we własnej ojczyźnie.

Kiedy ludzie myślą o ludobójstwie, mają przed oczyma przede wszystkim Holokaust...

Chińczycy nie popełniają oczywiście w Turkiestanie Wschodnim tak masowych mordów. Według Konwencji ONZ w sprawie Zapobiegania i Karania Zbrodni Ludobójstwa istnieje pięć kryteriów ludobójstwa. Masowe mordowanie całości lub części populacji to tylko jedno z nich. Inne to niszczenie warunków do życia, odbieranie dzieci, a także wstrzymywanie urodzeń.

Intencja Pekinu jest bardzo jasna: od 1949 r. chodziło o całkowitą asymilację Ujgurów. Jednak od 2014 r. Xi Jinping narzucił nowy kierunek. Chińskie władze przeszły od polityki przymusowej asymilacji do ludobójstwa. Ujgurzy jako tacy mają przestać istnieć.

Historia pokazuje, że ważnym narzędziem wynaradawiania jest odpowiednio skrojona edukacja. Jak to dziś wygląda w ujgurskich szkołach?

Pekin zakazał w naszych szkołach używania języka ujgurskiego. Kiedy ja się uczyłem, w latach 80., mogliśmy w edukacji swobodnie używać naszej mowy. Dzisiaj to niemożliwe, ponieważ ujgurskie dzieci mają zupełnie utracić swoją tożsamość.

W latach 80., a nawet 90. mieliśmy więcej wolności. Chińczycy chcieli nas asymilować, ale to nie było prowadzone tak brutalnie. W 1988 r. przewodziłem manifestacjom studenckim w Urumczi. Tysiące studentów brało w nich udział. Domagaliśmy się demokracji, odejścia od kontroli urodzeń i zaprzestania testów atomowych w naszym regionie. Brałem udział w pięciu debatach z chińskimi urzędnikami! Teraz to oczywiście niemożliwe. Ujgurzy mają zniknąć i zmienić się w Chińczyków. W czasach mojej młodości komuniści robili problemy ludziom wierzącym, ale dziś nie wolno się nawet pozdrowić na ulicy, używając tradycyjnego: „Salam alejkum". Nierzadko Chińczycy zmuszają wręcz muzułmanów w czasie uroczystości w zakładach pracy do picia alkoholu i jedzenia wieprzowiny!

Największe światowe media alarmują też, że chińscy komuniści zaprzęgają Ujgurów do przymusowej pracy, m.in. przy zbieraniu bawełny.

85 proc. chińskiej bawełny pochodzi z Turkiestanu Wschodniego. Ujgurzy są przewożeni też do innych prowincji, gdzie wykorzystuje się ich do pracy przymusowej w fabrykach. To współczesne niewolnictwo.

Wielkie koncerny lubią podkreślać, że myślą o klimacie, dbają o mniejszości i przeciwdziałają dyskryminacji. Jak wygląda praktyka w tej kwestii?

Staramy się przekonywać największe firmy do wywierania presji na Pekin. Niektóre z nich całkowicie wycofują się z kupowania bawełny z tego regionu Chin, np. H&M. Teraz jednak firmie tej grozi bojkot ze strony Chińczyków. Większość globalnych marek nie przejmuje się jednak za bardzo brutalną polityką komunistów i robi z nimi biznes bez oglądania się na źródło pochodzenia bawełny. A przecież łatwo sprawdzić, skąd pochodzi bawełna używana do produkcji ich ubrań...

Jak się pan czuje jako terrorysta?

Cóż... Moje nazwisko jest na trzecim miejscu chińskiej listy najbardziej poszukiwanych terrorystów. Od 2003 r. Światowy Kongres Ujgurów uważany jest przez Pekin za organizację terrorystyczną. Chińczycy ścigali mnie wiele lat za pośrednictwem Interpolu. Kilka razy byłem zatrzymywany na różnych granicach. Groziła mi deportacja do Chin. Na szczęście moja druga ojczyzna – Niemcy – skutecznie wstawiała się za mną. Wreszcie w 2018 r. Interpol dał sobie spokój z realizowaniem żądań Chin i nie jestem już poszukiwany. Bomby i karabiny widziałem tylko w filmach. Moją bronią są jedynie usta i pióro.

Nie obawia się pan, że nic nie jest w stanie uratować Ujgurów, skoro taki kolos wydał na nich wyrok?

Chiny to oczywiście potęga. Ale to też zagrożenie dla całego świata. Komunistyczny totalitaryzm zagraża całemu światu. Jeżeli Ujgurzy mieliby zostać eksterminowani, to możemy być pewni, że Chińczycy wezmą się też za inne narody.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Dolkun Isa – przewodniczący mającego siedzibę w Monachium Światowego Kongresu Ujgurów.

eprasa.pl 8cfe74c930

Jakub Wozinski

Kolejne banki centralne na świecie ogłaszają zamiar uruchomienia własnej cyfrowej waluty. Trudno sobie jednak wyobrazić, aby szybko zdobyły zaufanie użytkowników

Cyfrowe waluty w natarciu

O nowym wynalazku, jakim są tzw. CBDC (central bank digital currencies), czyli cyfrowe waluty banków centralnych, jest ostatnio coraz głośniej. Już w lutym Szwecja wdrożyła pilotażowy program e-korony, który ma trwać przez rok i odpowiedzieć na pytanie, czy nowy rodzaj waluty zostanie upowszechniony na pełną skalę w całym kraju. Pierwsze miesiące z cyfrową walutą emitowaną przez bank centralny mają już za sobą Bahamy, które 20 października wprowadziły do obiegu tzw. sand dollar. Kraj słynący jako raj podatkowy pracował nad tym rozwiązaniem już od lat, a jego władze deklarują, że ma ono im pomóc w walce z licznymi finansowymi nadużyciami. Nowa waluta nie jest w pełni anonimowa i zakłada się, że właśnie dzięki temu pozwoli ograniczyć m.in. finansowanie światowego terroryzmu.

SZYBCIEJ, EFEKTYWNIEJ, MNIEJ ANONIMOWO

Lista państw, które planują wprowadzenie własnej cyfrowej waluty, jest niezwykle długa. Trudno przy tym nie oprzeć się wrażeniu, że prace nad ich wprowadzeniem znacząco przyspieszyła pandemia koronawirusa. W oficjalnych materiałach Europejskiego Banku Centralnego, który również pracuje nad własną wersją cyfrowego euro, znaleźć można informację, że zagrożenie epidemiczne jeszcze bardziej zwiększyło zapotrzebowanie na płatności bezgotówkowe i wymusiło tym samym konieczność usprawnienia całego systemu.

Zdaniem decydentów potrzeba uruchomienia nowych, cyfrowych walut ma wynikać właśnie z przyczyn technicznych oraz stanowić odpowiedź na wzrost popularności bitcoina oraz innych środków płatniczych. Zdaniem Lecha Wilczyńskiego, współzałożyciela firmy InPay, tego rodzaju diagnoza jest całkowicie mylna i stanowi błędne odczytanie rzeczywistości: „W ocenie przedstawicieli banków centralnych popularność kryptowalut wynika z nieefektywności standardowych metod płatniczych, zarówno cyfrowych, jak i gotówki. Ich zdaniem przelewy zajmują zbyt dużo czasu, generują zbyt wiele kosztów i komplikacji, a istniejących metod płatności jest tak wiele, że prowadzi to do chaosu. W związku z tym twierdzi się, że utworzenie walut cyfrowych banków centralnych zmniejszy nieefektywności i obniży koszty za sprawą standaryzacji. Decydenci nie zauważają zupełnie, że popularność bitcoinów czy też stablecoinów bierze się stąd, że umożliwiają uniknięcie ograniczeń regulacyjnych związanych ze zwykłymi metodami płatności. Transfer kapitału jest obłożony coraz to nowymi regulacjami i staje się przez to bardziej kosztowny. Dlatego właśnie kryptowaluty stają się dziś tak bardzo popularne. Przykładowo Chińczycy używają Tethera, bo umożliwia im swobodny przepływ kapitału”.

Deklarowana przez decydentów chęć usprawnienia systemów płatniczych jest jednak tylko pozorowana. Za ideą utworzenia narodowych walut cyfrowych stoi przede wszystkim chęć przejęcia pełnej kontroli nad systemem finansowym. Walcząc z coraz silniejszymi trendami deflacyjnymi, banki centralne coraz częściej stosują negatywne stopy procentowe. W przedsięwzięciu tym niezwykle pomocne jest zwalczanie gotówki. Nowe, oficjalne waluty cyfrowe mają stworzyć kolejną, zaawansowaną

eprasa.pl 8cfe74c930

FOT. ADOBE STOCK

technologicznie konkurencję dla gotówki i pomóc przezwyciężyć narastające problemy gospodarcze związane z pandemią koronawirusa. Upowszechnienie CBDC może także pomóc zwiększyć możliwości stymulacji gospodarki za pomocą kreacji środka płatniczego. Ostatecznie w obecnej formie jest on tylko zapisem cyfrowym, dlatego władze finansowe zapewne ostrzą już sobie zęby na myśl o możliwościach, jakie w ten sposób zyskają.

Na razie najważniejsza wydaje się jednak kwestia prestiżu. Opracowanie własnej waluty cyfrowej to element wielkiego wyścigu o dominację w zakresie technologicznej. Chiny już od wielu miesięcy chwalą się tym, że są najbliżej uruchomienia własnego cyfrowego juana. Mimo że obecnie jest dopiero w fazie testów, to już za 10 lat ma on odpowiadać za 15 proc. wszystkich transakcji. Swój akces w wyścigu o nową formę waluty zgłosił także Europejski Bank Centralny. Zdaniem członka zarządu tej instytucji, Włocha Fabia Panetty, wprowadzenie do użytku cyfrowego euro stanowiłoby „symbol postępu i integracji Europy". Wiadomo, że wielkim zwolennikiem prac nad e-euro jest szefowa EBC Christine Lagarde. Niedawno przedstawiła śmiałe plany, zgodnie z którymi strefa euro miałaby do dyspozycji własną cyfrową walutę już za dwa lata, czyli jeszcze szybciej niż Stany Zjednoczone.

Zanim jednak Unia Europejska czy też Chiny ogłoszą triumfalnie sukces swoich projektów, upłynie jeszcze nieco czasu. Specjalizujący się w zakresie kryptowalut Lech Wilczyński sugeruje, że prace nad państwowymi odpowiednikami kryptowalut mogą napotkać jeszcze bardzo istotne trudności: „Projekt cyfrowych walut banków centralnych może utknąć na dwóch szczeblach: technologicznym i formalnym. Nowe waluty mogą stać się »potworkami«, posiadającymi wiele niedociągnięć, a z drugiej strony może się pojawić wiele przeszkód natury prawnej. Całość może też utknąć na szczeblu biurokratycznym, choć Chiny pokazały, że mimo wszystko wprowadzenie cyfrowej waluty jest możliwe".

SINIZACJA ŚWIATA FINANSÓW

Powodzenie nowych, cyfrowych walut zależy więc w sporej mierze od tego, na ile rządy na całym świecie zamierzają podążać w kierunku wyznaczonym przez Chiny. Komunistyczne władze Państwa Środka już od wielu lat forsują model „cyfrowego totalitaryzmu", opartego m.in. na ścisłej kontroli Internetu, systemie rozpoznawania twarzy czy też programie punktów społecznych. W przeciwieństwie bowiem do bitcoina cyfrowa waluta emitowana przez bank centralny nie będzie w pełni anonimowa. Dodatkowo, jak ujawniły niedawno chińskie władze, cyfrowy juan miałby mieć „datę ważności", co miałoby iście orwellowski wydźwięk i mogłoby być wykorzystywane jako kolejne narzędzie służące do nieustannej stymulacji popytu konsumpcyjnego.

Osobną kwestię stanowi to, na ile bankowe elity pozwolą w ogóle na to, aby uruchamiając nowe cyfrowe waluty, państwo pozbawiało je władzy nad pieniądzem. Banki komercyjne ze swej natury żyją z depozytów, a rachunki w cyfrowej walucie mają być prowadzone na serwerach banków centralnych. „W Chinach system bankowy jest ściśle podporządkowany państwu, więc musiał pogodzić się ze zmianami, jakie niesie ze sobą wprowadzenie cyfrowej waluty, lecz w Europie czy też Stanach Zjednoczonych banki raczej nie będą chciały odebrać sobie swojego »kawałka chleba«" – zauważa Wilczyński. Niewykluczone więc, że zanim cyfrowe waluty wejdą do szerszego obiegu, będzie musiało dojść do wypracowania pewnego kompromisu między bankami a władzami banków centralnych. Banki będą z pewnością dążyły do tego, aby w jakiś sposób uzyskać możliwość prowadzenia rachunków w CBDC.

Nie brak dziś głosów sugerujących, że przejście do waluty cyfrowej jest już w zasadzie przesądzone i że pieniądz dokona tym samym kolejnego kroku w ewolucji. Tak jak wcześniej istniały opory przed korzystaniem z papierowych banknotów, a w XX w. przed stosowaniem kart płatniczych, tak współcześnie można zapewne zakładać, że minie jakiś czas, zanim nowy wynalazek znajdzie powszechne uznanie. Tym razem jednak przejście na kolejny szczebel pieniężnej ewolucji będzie wymagało poświęcenia naszej prywatności i wolności. Co prawda pomysłodawcy cyfrowych walut zarzekają się, że ich użytkowanie zapewni spory zakres anonimowości, lecz zapewnienia te są mało wiarygodne. Plany finansowych decydentów napotkają więc z pewnością zdecydowany opór.

GOTÓWKA WCIĄŻ W CENIE

Polacy są jednym z najbardziej przywiązanych do gotówki narodów na świecie. Płatności gotówkowe stanowią wciąż ponad 50 proc. wszystkich transakcji detalicznych, a badania opinii publicznej pokazują, że w społeczeństwie nie ma wciąż zgody na odejście od anonimowego pieniądza. Przywiązanie do gotówki nie stanowi przy tym wyrazu technofobii. Tak naprawdę swego rodzaju cyfrowym pieniądzem posługujemy się przecież już od dawna. Co najmniej od lat 70. banki korzystają z technologii cyfrowej, która umożliwia dokonywanie transferów pieniężnych w dowolnym miejscu i czasie. Uruchamianie nowych, cyfrowych walut banków centralnych nie ma więc tak naprawdę żadnego szczególnego uzasadnienia poza chęcią uzyskania jeszcze większej kontroli nad społeczeństwem.

Skoro jednak własne e-waluty posiadać będzie wkrótce coraz więcej krajów, to jak w tej sytuacji powinna zachować się Polska? Kilka lat temu pod patronatem Ministerstwa Cyfryzacji ruszył projekt Polskiego Akceleratora Technologii Blockchain, który miał za zadanie stworzenie narodowej kryptowaluty – dPLN, lecz utracił publiczne finansowanie. Niedawno grupa posłów Lewicy złożyła w Ministerstwie Finansów interpelację w sprawie prac nad polską wersją CBDC i uzyskała odpowiedź, że NBP nie ma takich zamiarów. Brak szczególnego zainteresowania e-złotówką nie powinien nas niepokoić, jednakże dobrze by było, aby polski bank centralny pilnie przyglądał się światowym trendom. W razie gdyby cyfrowe waluty upowszechniły się na całym świecie, posiadanie własnej i niezależnej technologii kryptograficznej będzie istotnym atrybutem suwerenności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Seres SF5 z technologią od Huawei może pokonać na jednym ładowaniu i tankowaniu ponad 1000 km

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Konkurenci Tesli wjeżdżają na rynek

Jacek Przybylski

Znany na świecie chiński producent smartfonów, laptopów i sprzętu telekomunikacyjnego ruszył ze sprzedażą pierwszego samochodu z technologią Huawei na pokładzie. W rynek moto zaangażował się też południowokoreański Samsung. Miliardy w prace nad inteligentnym samochodem inwestuje też Xiaomi. Własne auto chce również sprzedawać koncern Apple

Nowy model nazywa się SF5 i od 21 kwietnia jest już dostępny we wszystkich flagowych salonach Huawei w Chinach. SUV mierzący 4,7 m długości, 1,9 m szerokości oraz 1,6 m wysokości od zera do setki przyspiesza w zaledwie 4,68 s. Za wersję z napędem na jedną oś trzeba zapłacić równowartość 126 tys. zł, a z napędem na cztery koła – 143,5 tys. zł. Całkiem nieźle jak na elektrycznego SUV-a tej wielkości.

– To ekscytujące wydarzenie stanowi precedens zarówno dla branży elektroniki użytkowej, jak i branży motoryzacyjnej. W przyszłości będziemy oferować naszym partnerom inteligentne rozwiązania, które nie tylko pomogą im budować lepsze, inteligentne pojazdy, lecz także ułatwią ich sprzedaż za pośrednictwem naszej sieci detalicznej w Chinach – stwierdził Richard Yu, CEO w Huawei CBG, w przesłanym „Do Rzeczy" komunikacie.

SF5 nie ma na masce logo Huawei, lecz SERES. Jest to bowiem wynik współpracy elektronicznego giganta z koncernem SERES produkującym samochody elektryczne. W aucie zastosowano jednak technologię Huawei DriveONE Three-in--One Electric Drive, która zwiększa zasięg pojazdu do 180 km w trybie całkowicie elektrycznym oraz do ponad tysiąca kilometrów w tzw. trybie rozszerzonego zasięgu, czyli w sytuacji, w której dwóm silnikom elektrycznym napędzającym pojazd energii dostarcza mały silnik spalinowy o pojemności 1,5 litra, pełniący funkcję generatora prądotwórczego.

Niezwykle przydatny może okazać się również system ratunkowego ładowania w ramach technologii pojazd-pojazd (V2V), dzięki któremu użytkownik może podładować swoje auto, jeśli nie udało mu się dotrzeć do stacji ładującej. Bez takiej funkcji elektryk do „ładowarki" musiałby dojechać na lawecie.

Oczywiście – jak na auto opracowane przez znanego producenta elektroniki użytkowej przystało – Huawei HiCar umożliwia błyskawiczne przełączanie się między aplikacjami w panelu sterowania samochodu a smartfonem. Bez problemu można więc podejść do samochodu, słuchając muzyki na smartfonie, która automatycznie będzie odtwarzania z głośników auta już po zajęciu miejsca w fotelu. To niejedyny taki bajer. Inteligentne auto umożliwia też kierowcy i pasażerom nie tylko proste sterowanie funkcjami w samochodzie, lecz także zdalne sterowanie klimatyzacją czy innymi urządzeniami w inteligentnym domu. Samochód wyposażony jest również w trójwymiarowy system audio składający się z 11 jednostek dźwiękowych dostrojonych przez ekspertów i akustyków Huawei.

Jak podał chiński portal Global Times, Wang Jun, szef Huawei's Intelligent Automotive Solution (IAS) Business Unit (BU), ogłosił, że Huawei zainwestuje w tym roku miliard dolarów w rozwój inteligentnych samochodów, a nad konkretnymi rozwiązaniami pracuje na całym świecie zespół ponad 5 tys. inżynierów i techników. Huawei skupia się zwłaszcza na technologii autonomicznego porusza-

eprasa.pl 8cfe74c930

nia się pojazdów, zwłaszcza w bardzo skomplikowanym do zaprogramowania ruchu miejskim.

Pod koniec kwietnia Huawei wraz z firmą BAIC Motor Corp stworzyli samochód elektryczny Arcfox Alpha S, którego system operacyjny oparty jest na HarmonyOS, czyli systemie stworzonym przez chiński koncern jako konkurencja dla amerykańskiego Google. Na prezentacji wideo pokazano np., jak luksusowy samochód elektryczny automatycznie unika kolizji z rowerzystą, który nieprawidłowo zajeżdża mu drogę, przejeżdżając z sąsiedniego pasa.

Huawei powtarza jednak, że nie chce samodzielnie produkować samochodów, lecz współpracować z różnymi firmami, które do swoich modeli będą chciały zainstalować oprogramowanie, czujniki i inne rozwiązania z zakresu sztucznej inteligencji, proponowane przez chiński koncern.

MILIARDY OD XIAOMI

Dzięki wejściu na rynek aut elektrycznych Huawei może rozszerzyć dotychczasowy profil działalności, który mocno ucierpiał w wyniku amerykańskich sankcji odcinających smartfony tej firmy od dostępu do wciąż popularnych usług amerykańskiego koncernu Google. Dla firm, które dotychczas skupiały się na smartfonach, tabletach czy laptopach, wejście na rynek motoryzacyjny będzie jednak wyzwaniem pod względem optymalizacji kosztów. W motoryzacji potencjalne marże są bowiem mniejsze niż na rynku urządzeń mobilnych. Mimo to Huawei nie jest jedynym chińskim producentem elektroniki, który chce podbić serca miłośników motoryzacji. W marcu Lei Jun, założyciel i dyrektor generalny Xiaomi, ogłosił, że chiński gigant podjął decyzję o stworzeniu spółki zależnej, której zadaniem będzie produkcja inteligentnych samochodów elektrycznych. Aby ten cel sprawnie zrealizować, koncern zamierza zainwestować aż 10 mld dol.

Jednym z pierwszych elektrycznych i inteligentnych samochodów stworzonych przy współudziale Xiaomi ma być kamper po brzegi wypełniony urządzeniami i technologiami typu smart home. Za pomocą smartfona będzie więc można korzystać z klimatyzacji, ekspresu do kawy, lodówki etc.

Inżynierowie Xiaomi we współpracy z firmą Baojun stworzyli również niewielki elektryczny samochód miejski Baojun E300, którego cenę ustalono na równowartość 37 tys. zł. Podobnych modeli z pewnością szybko będzie przybywać. Rynek samochodów elektrycznych szybko rośnie nie tylko w Chinach, w których samochody elektryczne – w tym hybrydy plug-in oraz samochody napędzane wodorem – mają już za cztery lata stanowić jedną piątą wszystkich sprzedawanych w Państwie Środka pojazdów.

APPLE CAR?

Plany szybkiej elektryfikacji motoryzacji mają też politycy w Stanach Zjednoczonych. Jak podała w ubiegłym tygodniu Agencja Reutera, gubernatorzy 12 amerykańskich stanów – m.in. Kalifornii, Nowego Jorku czy Karoliny Północnej – wystosowali w środę list do prezydenta Joe Bidena z apelem o wprowadzenie zakazu sprzedaży nowych samochodów benzynowych od roku 2035.

Właśnie do roku 2035 produkcję samochodów spalinowych zakończyć planuje koncern General Motors.

REKLAMA

eprasa.pl 8cfe74c930

Kamper Xiaomi będzie naszpikowany elementami inteligentnego domu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Inżynierowie Xiaomi we współpracy z firmą Baojun stworzyli niewielki elektryczny samochód miejski Baojun E300 FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Elektryczną rewolucję na rynku aut zamierza więc wykorzystać m.in. słynny gigant z Cupertino, czyli producent MacBooków, iPadów, iPhone'ów etc. Na ulice światowych miast ma wyjechać auto z logo nadgryzionego jabłka. Firma Apple potwierdziła już, że zamierza wyprodukować własny samochód elektryczny. Pierwsze egzemplarze miałyby zjechać z taśmy produkcyjnej do roku 2024 lub najpóźniej 2025.

Koncern już w 2014 r. rozpoczął prace nad własnym samochodem. W 2017 r. Apple otrzymało zezwolenie od Kalifornijskiego Departamentu Pojazdów Silnikowych na testowanie autonomicznych pojazdów. Koncern ściągnął również do siebie wielu znanych w branży motoryzacyjnej inżynierów, menedżerów oraz designerów. Znaleźli się wśród nich m.in. Doug Field, wcześniej jeden z czołowych inżynierów Tesli, oraz wielu czołowych projektantów marek klasy premium. Giełdowi analitycy i inwestorzy liczą więc na to, że skoro szefowie Apple wrócili do słynnego Projektu Titan, to chcą na rynku motoryzacyjnym dokonać podobnego przełomu, jak ten, kiedy wprowadzili pierwszego iPhone'a na rynku telefonów komórkowych.

Apple Car miałby być nie tylko elektryczny, lecz także całkowicie autonomiczny. Według portalu Car and Driver zaprojektowany przez designerów z Cupertino Apple Car byłby więc pozbawiony typowego układu siedzeń, w tym tradycyjnego fotela kierowcy. Według informacji CNBC nie jest wykluczone, że auto nie trafi do zwykłej sprzedaży, a koncern zarabiać będzie na rozszerzeniu działalności o działalność nowoczesnej korporacji taksówkarskiej lub firmy kurierskiej (oczywiście bez zatrudniania samych kurierów).

Według nieoficjalnych informacji, które przekazał przed kilkoma tygodniami analityk TF International Securities, samochód ma osiągać prędkość 257 km/h i umożliwiać przejechanie na jednym ładowaniu aż 482 km. Czas naładowania akumulatora do 80 proc. ma zaś wynosić 18 minut. Planowana wielkość sprzedaży miałaby wynieść 100 tys. egzemplarzy rocznie.

Z kolei Reuters podał, że jednym z kluczowych elementów mających doprowadzić do sukcesu koncernu na rynku motoryzacyjnym miałaby być innowacyjna bateria, np. litowo-żelazowo-fosforanowa (LFP). W samochodach koncernu mogłyby się też znaleźć czujniki Lidar, wykorzystywane obecnie w aparatach fotograficznych nowych modeli iPhone'a oraz iPada.

Apple Car miał być skonstruowany na podwoziu elektrycznego pojazdu E-GMP przez firmę Hyundai, co brzmiało wiarygodnie, bo Hyundai i Kia w ciągu najbliższych czterech lat mają wypuścić na rynek 23 nowe modele samochodów elektrycznych. Wartość umowy między amerykańskim gigantem technologicznym i koncernem motoryzacyjnym szacowano na 3,66 mld dol.

Południowokoreański producent samochodów ogłosił jednak w lutym, że nie będzie produkował pojazdów we współpracy z koncernem Apple. Hyundai i Kia nie są oczywiście jedynymi firmami motoryzacyjnymi, z którymi Apple prowadziło rozmowy na temat produkcji Apple Car, ale na razie wciąż nie wiadomo, kto miałby wreszcie zrealizować marzenie fanów gadżetów koncernu z Cupertino o samochodzie swej ulubionej marki.

Nie jest też wykluczone, że zanim technologiczny koncern zbuduje własny samochód, zacznie sprzedawać systemy operacyjne innym gigantom motoryzacyjnym. Pewne jest bowiem, że Apple – jako najcenniejsza firma świata – ma niemal nieograniczone zasoby gotówki, z którymi nie bardzo ma co zrobić. Z pewnością firma zainwestuje w nowe gadżety wykorzystujące sieć 5G oraz będzie mocno rozpychać się na lukratywnym rynku urządzeń medycznych.

Wejście koncernu z Cupertino na wart biliony (!) dolarów globalny rynek mobilności jest więc wielce prawdopodobne. Zwłaszcza że sukces amerykańskiej Tesli – którą niegdyś Elon Musk chciał sprzedać koncernowi z Cupertino – musi budzić apetyty menedżerów i zarządzających, a także strach, że jeśli będzie czekać się zbyt długo, to trudno będzie kiedykolwiek dogonić Teslę.

Kapitalizacja Tesli – która przez lata przynosiła wyłącznie straty – wzrosła w roku 2020 o kilkaset procent, przez co amerykański producent samochodów elektrycznych stał się wart więcej niż np. Volkswagen, Audi, Daimler czy Ferrari. W ciągu najbliższych lat nowych modeli elektryków, a także nowych marek na globalnym motoryzacyjnym rynku może więc przybywać jak grzybów po deszczu. Samochody mają bowiem przestać być oddzielnym bytem, ale stać się częścią inteligentnego domu, zgodnie ze strategią „człowiek + samochód + dom".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Zmiany na rynku nieruchomości wakacyjnych

Beata Bobkiewicz

Emilia Chrastina

BEZPIECZNA LOKATA KAPITAŁU

Rynek nieruchomości wciąż jest rozgrzany do czerwoności, inwestorzy uciekają z gotówką z banków. Niskie stopy procentowe, rosnąca inflacja oraz tanie kredyty sprzyjają licznym transakcjom. Polskie społeczeństwo wciąż uważa nieruchomości za najbezpieczniejszą inwestycję w czasach kryzysu ze względu na długoterminowy charakter i stosunkowo niski poziom ryzyka. W jakie nieruchomości najlepiej zatem inwestować? Pytanie wydaje się z pozoru proste, ale gdyby przenalizować aktualną sytuację, której dwa lata temu nikt się nie spodziewał, należy spojrzeć szerzej i od nowa określić nasze dzisiejsze potrzeby.

Od wybuchu pandemii koronawirusa minął już ponad rok. Każdy z nas musiał nauczyć się funkcjonować z nowymi ograniczeniami. Ludzie zmienili sposób pracy, nauki czy nawet kontaktów towarzyskich na całkowicie zdalny. W związku z przedłużającym się lockdownem, w tym dla branży hotelarskiej, nawet nasze rodzime wyjazdy urlopowe stoją pod znakiem zapytania. Wiele osób całkowicie zrezygnowało z urlopów – czekając na lepsze czasy. Część z nas dalej wybiera wycieczki zagraniczne, jednakże zdecydowana większość decyduje się na wypoczynek w Polsce. W mieście brakuje nam przestrzeni, szczególnie tej zewnętrznej – balkony i ogródki jeszcze nigdy nie były tak popularne jak dziś. Jak wynika z przeprowadzonych badań serwisu Otodom, w okresie pandemii aż 70 proc. więcej użytkowników portalu (porównanie z 2019 r.) poszukuje działek, 30 proc. więcej poszukuje domów, 62 proc. więcej poszukuje mieszkań z balkonem, a 90 proc. więcej poszukuje mieszkań z tarasem.

APARTAMENTY WAKACYJNE

Wielkimi krokami zbliżają się majówka i wakacje, a wciąż niepewna jest sytuacja związana z branżą turystyczną, dlatego wiele osób zaczyna już teraz rozglądać się na rodzimym rynku za zakupem nieruchomości wakacyjnej. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom Polaków, deweloperzy w swoich ofertach przedstawiają różnorodne możliwości zakupu apartamentów wakacyjnych na nadchodzący sezon. Klienci wciąż chętnie inwestują w luksusowe apartamenty, ale zauważalny jest trend zakupu nieruchomości głównie na własne potrzeby, by w jak najbezpieczniejszy i najbardziej kameralny sposób spędzić wakacje z rodziną. Co w sytuacji, gdyby wyjechać z miasta i jako cel podróży wybrać jedną z najpiękniejszych nadmorskich lokalizacji z własnym, prywatnym ogrodem, gdzie możemy połączyć pracę zdalną i wypoczynkiem? Nauczyliśmy się już funkcjonować w domu, a pracę łączyć z opieką nad dziećmi. Wizja porannych spacerów czy joggingu na plaży, oglądania z rodziną pięknych zachodów słońca, wspólnych grilli z przyjaciółmi, połączona z możliwością pracy zdalnej, wydaje się być idealną perspektywą.

SŁOŃCE, MORZE I PIĘKNA PLAŻA

Bardzo dobrze w aktualne trendy wpasował się polski deweloper – Grupa Inwest, która postawiła na budowę niezależnych mieszkań w kameralnych domkach z własnymi ogródkami w jednej z piękniejszych nadmorskich miejscowości, jaką niewątpliwie są Dębki w powiecie puckim. Wybór miejscowości wydaje się nieprzypadkowy – ze względu na panujący tam klimat jest to raczej mała miejscowość, wybierana głównie przez rodziny z dziećmi. Na plażę idzie się lasem, ale warto, gdyż jest ona długa i szeroka, a według wielu uważana za jedną najpiękniejszych plaż w Polsce. Jest to też najszersza plaża w Polsce, a piasek łączy tu złocisty kolor z idealną niemalże konsystencją. Z każdego miejsca w Dębkach do plaży dojdziemy w maksymalnie 15 minut. Plaża w Dębkach rozciąga się pomiędzy 18. a 26. wejściem. Każde z wejść jest inne, ma swój unikalny charakter i klimat. Mimo rosnącej popularności miasteczka wciąż w sezonie jest tu spokojniej niż w okolicznych nadmorskich kurortach – w Karwi, Jastrzębiej Górze czy we Władysławowie. Do Dębek jest wygodny dojazd z każdej części Polski, w tym autostradą A1, dlatego przyciągają turystów z Polski i stanowią weekendową bazę dla mieszkańców Trójmiasta.

Osiedle Słoneczne Dębki, bo tak nazywa się najnowsza inwestycja dewelopera, usytuowane jest w cichej i spokojnej części Dębek, w bliskiej odległości od morza. Osiedle idealnie wpisuje się w obecne potrzeby klientów na rynku nieruchomości, gdyż gwarantuje spokój, bezpieczeństwo i tak bardzo obecnie pożądaną niezależność. Osiedle składa się z 16 mieszkań położonych w ośmiu budynkach o optymalnych metrażach od 54 do 61 mkw. Układy mieszkań zaplanowane zostały tak, by zadbać o wygodę i komfort mieszkańców, dając im poczucie prywatności, a jednocześnie dbając o ich bezpieczeństwo. Co bardzo ważne, każde mieszkanie posiada niezależne wejście, ogródek oraz miejsce postojowe. Kupując mieszkanie nawet na własne potrzeby, można również skorzystać z możliwości opieki nad obiektem podczas nieobecności właściciela oraz zawarcia umowy z operatorem najmu, z uwzględnieniem harmonogramu przyjazdów właściciela nieruchomości. Inwestor oferuje mieszkania w stanie deweloperskim oraz wykończone pod klucz, co wydaje się być świetnym rozwiązaniem, gdyż klienci będą mogli praktycznie od razu korzystać z mieszkań, oszczędzając czas na wykańczanie wnętrz. Oddanie inwestycji zaplanowano na lipiec 2021 r., co sprawia, że zdążymy wykorzystać w pełni sezon letni. Deweloper w dniach 1 i 2 maja organizuje dzień otwarty, w ramach którego można obejrzeć inwestycję oraz porozmawiać z przedstawicielem. Jeśli zatem wybierają się państwo na majówkę nad polskie Wybrzeże, to warto rozważyć odwiedzenie Dębek.

Podsumowując, inwestycje w apartamenty wakacyjne tego typu są doskonałą lokatą kapitału nie tylko z myślą o inwestycji, lecz także jako nadmorski azyl, z którego można korzystać przez cały rok. Słoneczne Dębki oferują to, czego teraz brakuje nam najbardziej – przestrzeń i wolność.

Artykuł powstał przy współpracy Grupa Inwest

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 8cfe74c930

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„500+" za odbiór śmieci

Każdy, kto ma choć elementarne pojęcie o gospodarce, o najbardziej podstawowych zasadach jej funkcjonowania, od samego początku, czyli od 2011 r. – od chwili, gdy rząd Polski (wówczas tworzony przez polityków Platformy i PSL) wprowadził w gminach monopol na odbiór śmieci, doskonale wiedział, czym to się skończy. Ano tym, czym dziś się właśnie kończy: idącymi nierzadko w setki złotych miesięcznie rachunkami za odbiór tychże śmieci.

Wcześniej każdy właściciel domu, każda wspólnota mieszkańców – tak, tak, były takie czasy!, co za swawola! – mogli podpisywać umowę na odbiór śmieci z tym, z kim tylko żywnie im się podobało! I zwykle, proszę sobie wyobrazić, podpisywali ją z tą firmą, która gwarantowała im korzystną cenę i dobrą jakość usług. Wolny rynek kwitł, ceny były umiarkowane, a klienci przeważnie zadowoleni; gdy przestawali być zadowoleni, podpisywali umowę z inną firmą.

W 2011 r., korzystając z argumentu, że przedsiębiorstwa wywożące śmieci ponoć zbyt małą wagę przykładają do tego, co się potem z tymi odpadami dzieje, czasami podobno wyrzucając je w lesie, wolny rynek zastąpiono gminnymi monopolami, jakby to miało uchronić lasy przed wywożeniem do nich śmieci. Od tamtej pory to gminy wybierają firmy, które – na prawach wyłączności – na ich terenie świadczą usługę odbioru odpadów. Z wiadomym skutkiem – po zniszczeniu konkurencji jakość oferowanych przez monopolistów usług spadła na pysk, a ceny wprost przeciwnie – drastycznie poszły w górę, za co tylko w części winę ponoszą coraz to nowe rygory nakładane na te firmy przez rząd. I będą szybko rosły nadal, i to w nieskończoność – dopóty, dopóki rząd będzie utrzymywał monopol.

A że rząd (dziś tworzony przez polityków Zjednoczonej Prawicy, czyli PiS, Solidarnej Polski i Porozumienia) w ogóle nie dopuszcza do siebie myśli, że to właśnie utworzenie gminnego monopolu doprowadziło do owej eksplozji cen, należy się szykować na czas, gdy stawki za odbiór śmieci, szczególnie w przypadku niektórych rodzin zaczną przekraczać poziom 500 zł miesięcznie, czyli wysokość miesięcznego dodatku „500+".

Pora przygotowywać się także na skutki idącego pełną parą oddawania przez rząd – oddawania Polski i Polaków – w pacht kolejnym monopolom. Tak jak w przypadku Poczty Polskiej, której zapewniono monopol w wielu dziedzinach usług doręczeniowych – z wiadomym skutkiem dla cen i jakości jej usług. Na ukończeniu jest też budowa monopolu paliwowego, postępuje budowa, jeśli jeszcze nie monopolu, to z pewnością kartelu energetycznego. O tym, że dzieło ich konstruowania zostało – na nasze, klientów, nieszczęście – ukończone, będziemy mogli być pewni, gdy – podobnie jak w przypadku rachunków za odbiór śmieci – gwałtownie i bez końca zaczną rosnąć rachunki za paliwo i prąd. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bezklatkowe bujdy

Jestem człowiekiem okrutnym. Będąc w sklepie, szukam zawsze jajek z chowu klatkowego. Przyczyny są dwie: po pierwsze – są wyraźnie tańsze niż jajka z wolnego wybiegu, a po drugie – nie widzę żadnej różnicy między jajkami od „szczęśliwych kur" a tymi od kur „nieszczęśliwych". A i, tak po prawdzie, szczęście kur niespecjalnie mnie interesuje.

Na razie mam jeszcze wybór, choć coraz trudniej znaleźć jajka z chowu klatkowego. Za kilka lat wyboru może już nie być, i to nie tylko, gdy idzie o jajka. W UE na poważnie zaczęto się bowiem zajmować obywatelską inicjatywą zakazania chowu klatkowego na poziomie unijnym. Wojujący animalsi chcieliby wprowadzenia takiej regulacji absurdalnie szybko, bo już od 2027 r. Podpierają się przy tym badaniami, z których wynika, że 94 proc. Europejczyków chce poprawy dobrostanu zwierząt.

Zawsze szukam jajek z chowu klatkowego. Są tańsze, a szczęście kur niespecjalnie mnie interesuje

Nietrudno przeanalizować, skąd takie wyniki badań. Rolnictwem, w tym hodowlą zwierząt, zajmuje się dzisiaj mały procent mieszkańców UE. Reszta rolnictwa nie rozumie, a zwierzęta widzi przez pryzmat ckliwych opowieści animalsów oraz swoich domowych pieszczochów. Przede wszystkim zaś nie rozumie kwestii ekonomicznych.

Rezygnacja z hodowli w klatkach to gigantyczne koszty, idące zapewne w dziesiątki miliardów euro. Trudno sobie wyobrazić, żeby UE mogła nagle wyfasować fundusze, całkowicie tę zmianę pokrywające. Przedstawiciele ekologów mówią, że hodowla bez klatek jest opłacalna. Nie wiem, jak to wyliczają, bo trudno o konkrety. Jedno jest jasne: koszt zostanie przerzucony na konsumentów. Za kolejne bujdy ekooszołomów zapłacimy srogie pieniądze, a europejskie rolnictwo w swojej hodowlanej części stanie się zwyczajnie niekonkurencyjne. Tym bardziej zadziwiające jest, że temu oderwanemu od realiów pomysłowi wydaje się sprzyjać Janusz Wojciechowski, komisarz ds. rolnictwa.

Bezklatkowa hodowla, która dotknęłaby nas poprzez nasze portfele, mogłaby być kolejnym impulsem wspomagającym ugrupowania przekonujące, że dalsze trwanie w UE nie ma sensu. I nie byłby to – niestety, trzeba powiedzieć, po raz kolejny – argument nieprawdziwy. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

Nie ma kryzysu – jest ekspansja

Piotr Hofman

Dokładnie rok temu, zapytany w jednym z wywiadów o to, jaki pandemia COVID-19 będzie miała wpływ na polską branżę deweloperską, odpowiedziałem, że jestem przekonany, iż chwilowy zastój, jaki mogliśmy wówczas zaobserwować, podziała twórczo na cały sektor. „Mamy najniższe stopy procentowe w historii. Oznacza to tańszy dostęp do kapitału, a klienci dzięki tym niskim stopom procentowym będą mieli dostęp do tańszych kredytów" – argumentowałem. Ponadto rosnąca inflacja oraz praktycznie zerowe, a wręcz już ujemne stopy procentowe na lokatach bankowych powodują zwiększone zainteresowanie inwestycjami w nieruchomości mieszkaniowe, które jawią się jako bezpieczna przystań dla naszych oszczędności. Przystań dająca zabezpieczenie przed utratą wartości naszego kapitału i dająca dodatkowe zyski z ewentualnego wynajmu.

Zresztą nie byłem odosobniony w tych przewidywaniach, bo większość ekspertów analizujących rynek nieruchomości zaznaczała, że w średnio- i długookresowej perspektywie cała ta sytuacja może wyjść branży deweloperskiej na dobre.

Dzisiaj możemy już powiedzieć, że mieliśmy rację. Lokaty bankowe przestały być atrakcyjnym miejscem do oszczędzania. Środki te przesuwają się więc w stronę konkretnych inwestycji i w większości trafiają na rynek nieruchomości. Dzieje się tak nie tylko w Polsce. Nieruchomości zawsze były dobrym i bezpiecznym aktywem do lokowania kapitału. Z reguły ich wartość nie ulega gwałtownym zmianom.

Obecnie obserwujemy również dużą aktywność zagranicznych funduszy inwestycyjnych, które kupują całe projekty mieszkaniowe i przeznaczają je pod wynajem instytucjonalny. To pokazuje, że, po pierwsze, polski rynek postrzegany jest jako stabilny i bezpieczny dla długoterminowych inwestycji realizowanych np. przez zachodnie fundusze emerytalne. Po drugie, da nam szansę szybciej wypełnić lukę ok. 3 mln mieszkań, które trzeba wybudować, aby dogonić średnią europejską w liczbie mieszkań na tysiąc mieszkańców. Tutaj niestety jesteśmy nadal w końcówce krajów UE. Po trzecie, wprowadzi na krajowy rynek sporą liczbę mieszkań na wynajem w nowoczesnych, dobrze zarządzanych budynkach.

Kryzysu więc nie ma. Wręcz przeciwnie. Jako aktywny uczestnik rynku i prezes zarządu jednej z polskich firm deweloperskich z dumą mogę napisać, że rysuje się trend, zgodnie z którym rodzime spółki deweloperskie zaczynają dywersyfikować źródła przychodów i nie tylko z sukcesem radzą sobie w kraju, lecz także coraz śmielej wchodzą na kolejne rynki. HM Inwest SA – spółka giełdowa, działająca pod marką Grupa Inwest, której jestem prezesem i założycielem – rozpoczęła projekt mieszkaniowy w nadmorskiej miejscowości Vilanova i la Geltrú pod Barceloną. To niezwykle ekscytujące wyzwanie, które otwiera przed nami nowy, ciekawy rynek z ogromnym potencjałem. Po ponad dekadzie od kryzysu na hiszpańskim rynku nieruchomości widać tam ogromne odbicie. Dlaczego w rozwoju i obecnym wzroście hiszpańskiego rynku nieruchomości mieszkaniowych nie miałyby korzystać z niego firmy z Polski i uczestniczyć w nim?

Inna nasza spółka wchodząca w skład Grupy Inwest – HM Factory – uczestniczy w projekcie powstania osiedla domów wykonanych w technologii modułowej w ramach budownictwa socjalnego w Urugwaju. Pilotażowy projekt został oszacowany na budowę 80 domów, ale potencjał dla firmy wykonawczej jest na kilka tysięcy i cztery–pięć lat pracy. Zresztą od wielu lat HM Factory jest obecna na rynkach skandynawskich, gdzie sprzedaje betonowe prefabrykaty, z których tamtejsi deweloperzy budują osiedla.

Inwestycje zagraniczne wymagają większych kapitałów, niekiedy wsparcia państwa oraz zajmują więcej czasu, co powoduje, że wciąż niewiele polskich firm decyduje się na ekspansję zagraniczną.

Cieszymy się, że rząd polski, realizując przyjęte przez premiera Mateusza Morawieckiego założenia w Strategii Odpowiedzialnego Rozwoju, jakimi były m.in wspieranie i aktywne działanie na rzecz wzmocnienia działalności polskich firm w ekspansji zagranicznej, prowadzi takie przedsięwzięcia przez PFR Fundusz Ekspansji Zagranicznej. To ważne, aby nasze przedsiębiorstwa z polskim kapitałem wychodziły na globalny rynek i osiągały tam sukces. Budowanie polskich czempionów i polskiej marki to strategiczny cel dla naszej gospodarki.

Proponowany obecnie Nowy Ład w swoich założeniach również powinien uwzględniać wsparcie dla aktywnego polskiego biznesu i pomoc w rozwoju przedsiębiorstw z małych do średnich, średnich do dużych, aż wreszcie do globalnych czempionów.

MATERIAŁ PARTNERA

eprasa.pl 8cfe74c930

TEST „DO RZECZY": INTELIGENTNY ZEGAREK HUAWEI WATCH FIT ELEGANT

Elegancki i nowoczesny design, wyraźny wyświetlacz, 96 trybów ćwiczeń, funkcja analizy snu oraz możliwość pomiaru tętna, poziomu natlenienia krwi czy stresu – to największe zalety najnowszego inteligentnego zegarka chińskiej firmy Huawei.

Pierwszy ogromny plus testowanemu modelowi należy się za design. Szyku dodaje mu koperta wykonana z polerowanej stali nierdzewnej. Dobrze wygląda również pasek wykonany z wytrzymałego fluoroelastomeru i odporny zarówno na temperaturę, jak i na wilgoć.

Ekran OLED o przekątnej 1,64 cala i rozdzielczości 456 x 280 pikseli (326 PPI) jest wystarczająco duży, by był czytelny, a jednocześnie wciąż na tyle niewielki, by dobrze wyglądać również na damskim nadgarstku. Huawei Watch Fit Elegant dostępny jest w wersji czarnej oraz w „złamanej bieli". W tej drugiej gadżet jest co prawda bardziej damski niż uniseks, ale „pozłacana" koperta sprawia, że wygląda jak naprawdę drogi i elegancki zegarek. Tarcze oczywiście można zmieniać w zależności od nastroju. Do wyboru jest ponad 200 różnych kombinacji.

Jak na inteligentny zegarek przystało, Huawei Watch Fit Elegant umożliwia analizę tętna, analizę jakości snu (w tym długości trwania poszczególnych faz snu, jakości oddechu etc.). W czasach pandemii koronawirusa ważna jest też możliwość włączenia całodobowego monitoringu natlenienia krwi, dzięki któremu smartwatch włączy ostrzeżenie, jeśli poziom SpO2 spadnie poniżej ustawionej wcześniej wartości (np. 90 proc.).

Huawei Watch Fit Elegant docenią też osoby uprawiające sport. Smartwatch obsługuje 96 trybów sportowych: od marszu i biegu do kolarstwa, pływania, jogi czy ćwiczeń na siłowni. Do wyboru jest też 12 kursów fitness z odpowiednimi animacjami, które pomogą np. rozluźnić szyję i ramiona, szybko spalić zbędny tłuszcz czy wzmocnić serce i płuca. Wbudowany GPS sprawia, że na treningi w terenie nie trzeba zabierać ze sobą smartfona. Smartwatch automatycznie wykrywa też m.in. bieganie, szybki marsz czy ćwiczenia na orbitreku, a dzięki klasie odporności 5 ATM można w nim pływać zarówno w basenie, jak i w jeziorze czy morzu. Huawei Watch Fit Elegant potrafi też nakłaniać do ruchu osoby, które zasiedziały się przy biurku lub przy telewizorze.

Zegarek pozwala też na przechowywanie w nim ulubionych utworów i słuchanie muzyki bez smartfona. Dzięki funkcji „zdalna migawka" testowany model ułatwia też robienie zdjęć.

Smartwatch współpracuje zarówno ze smartfonami Huawei, jak i telefonami z systemem Android oraz iOS.

Wady? Największą jest brak modułu NFC, przez co testowanym zegarkiem nie można niestety płacić zbliżeniowo. Drugim minusem jest brak mikrofonu, więc choć na smartwatchu pojawiają się informacje o połączeniach przychodzących, to nie można ich z poziomu zegarka odebrać i niczym agent 007 rozmawiać z głową skierowaną w kierunku nadgarstka. Użytkownik może jedynie na zegarku odrzucić dane połączenie.

Zaletą testowanego modelu jest też dobra bateria. Huawei Watch Fit Elegant na jednym ładowaniu potrafi wytrzyma mniej więcej tydzień, a gdy włączonych jest mniej funkcji, to nawet 10 dni. Czas ładowania do 100 proc. wynosi półtorej godziny, ale wystarczy podłączyć zegarek do gniazdka na zaledwie pięć minut, aby przedłużyć czas jego działania o kolejny dzień. Cena: 449 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNA LAMPA PODŁOGOWA

Wyze, znany producent m.in. budżetowych kamerek IP, wypuścił na rynek inteligentną lampę podłogową, która potrafi uczyć się zwyczajów jej użytkowników i na tej podstawie o danej porze dnia proponować oświetlenie odpowiednie do pracy lub relaksu. Wyze Floor Lamp wykorzystuje 15-punktowe światło LED, 11 poziomów jasności (maksymalna wynosi 800 lumenów) oraz możliwość sterowania temperaturą światła białego. Wyjątkowo ciekawe są również design oraz cena, która na amerykańskim rynku wynosi zaledwie 29,99 dol., czyli równowartość 114 zł. W cenie jest już też niewielki pilot na Bluetooth. Lampą można także sterować za pomocą aplikacji. Niestety, nie ma modułu wi-fi, więc nie da się jej włączać lub wyłączać zdalnie. Za taką cenę można to jej wybaczyć.

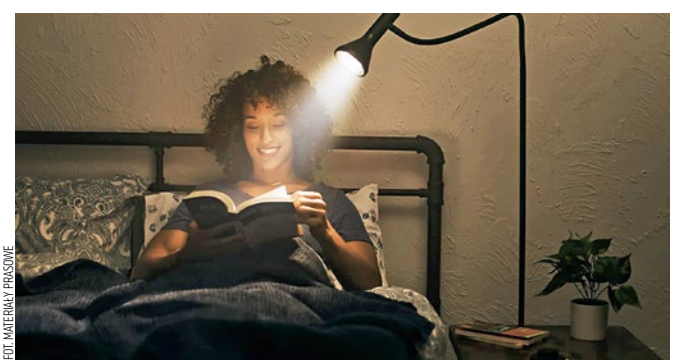

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MYSZKA Z ROZPOZNAWANIEM MOWY

Logitech Voice M380 Wireless Mouse to nazwa pierwszego gryzonia, który powstał w ramach współpracy szwajcarskiej firmy z Baidu Brain. Najnowszy model działa więc jak typowa bezprzewodowa mysz, ale oprócz tego jest wyposażony w mikrofon, który zbiera głos z odległości do 10 m, a także funkcję rozpoznawania mowy i błyskawicznego zapisywania wypowiadanych słów w postaci tekstu. Według producenta gadżet potrafi już rozpoznawać języki angielski, francuski, hiszpański, japoński, koreański i tajski, a następnie zamieniać mowę na tekst z prędkością do 400 słów na minutę z dokładnością na poziomie 98 proc. Cena w Chinach, gdzie gryzoń właśnie zadebiutował, wynosi 199 juanów, czyli 116 zł. ©℗

Jacek Przybylski

eprasa.pl 8cfe74c930

REPUBLIKA

CODZIENNIE BURZA

poniedziałek
wtorek
środa
19:30

zaprasza **Maciej Kożuszek**

oglądaj również na www.tvrepublika.pl

eprasa.pl 8cfe74c930

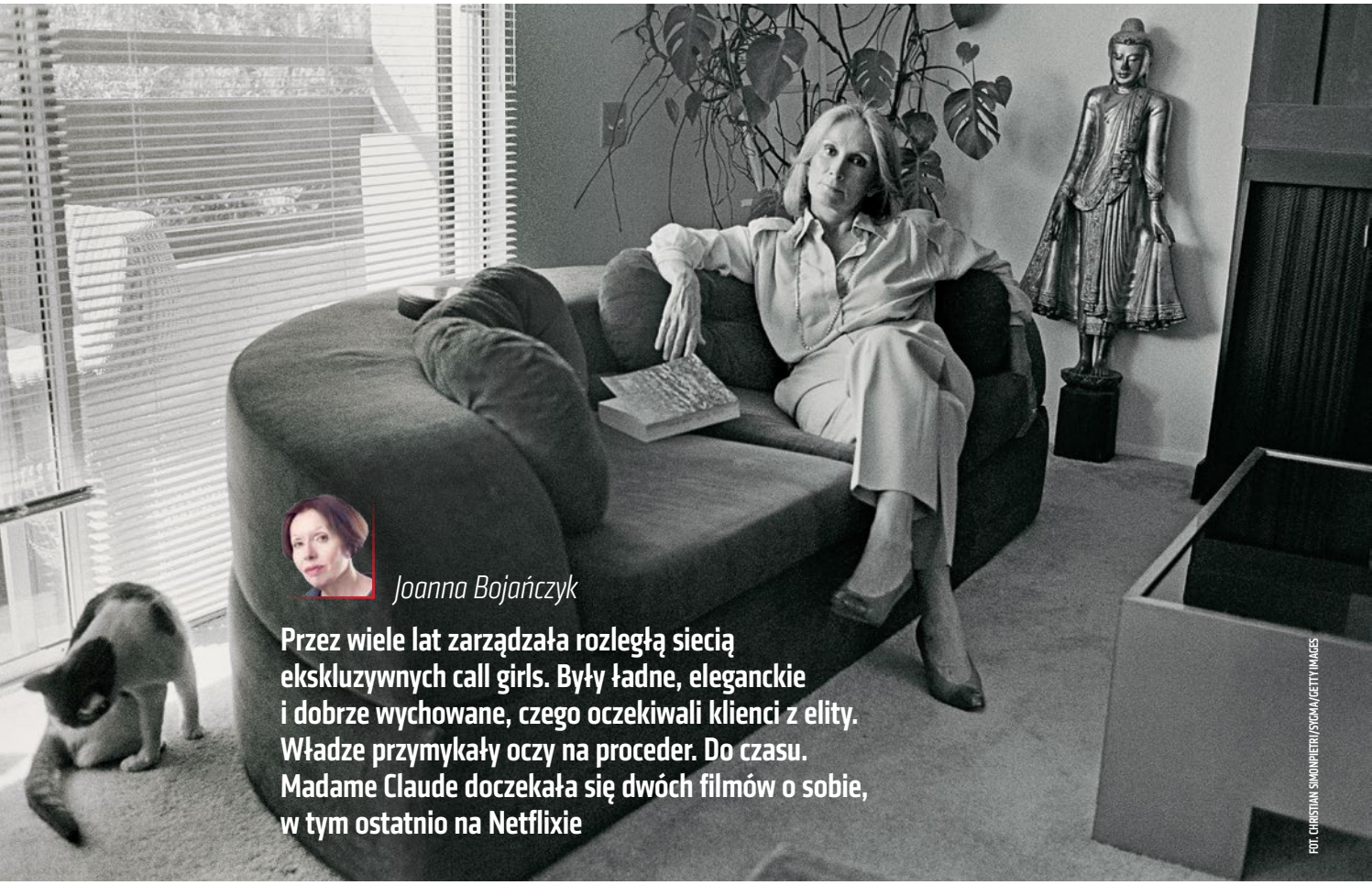

FOT. CHRISTIAN SIMONPIETRI/SYGMA/GETTY IMAGES

Joanna Bojańczyk

Przez wiele lat zarządzała rozległą siecią ekskluzywnych call girls. Były ładne, eleganckie i dobrze wychowane, czego oczekiwali klienci z elity. Władze przymykały oczy na proceder. Do czasu. Madame Claude doczekała się dwóch filmów o sobie, w tym ostatnio na Netflixie

Bajzelmama wyższych sfer

Ta historia mogła zdarzyć się tylko we Francji. W kraju, gdzie pozory salonowej elegancji działają w zgranym zespole z najbardziej obleśnymi praktykami. Można robić różne rzeczy, byle reguły gry i hierarchie społeczne były przestrzegane. Byleby wszystko odbywało się w dyskrecji. Tylko spod spodu wyziera coś całkiem niesalonowego… Francuska frivolite? Nie, więcej – prostytucja, sutenerstwo, gangsterka. Pozory elegancji zostają zachowane.

W takich okolicznościach Madame Claude, burdelmama epoki gaullistowskiej, może stać się nawet postacią z Balzaka. Przynajmniej taką zrobił z niej film „Madame Claude" reżyserki Sylvie Verheyde, który właśnie zadebiutował na Netflixie. Film jest tylko fabularyzowaną bajeczką epatującą scenami erotycznymi i luźno nawiązującą do rzeczywistych wydarzeń. Prawdziwa historia Madame Claude jest dużo ciekawsza.

Jeszcze w wieku 68 lat ze swego niedużego mieszkania w artystycznej dzielnicy Paryża Marais pani Fernande Grudet alias Madame Claude zarządzała zespołem call girls. W porywach dziewczyn było nawet 500. W momencie aresztowania w roku 1992 przeprowadzała właśnie „rozmowę kwalifikacyjną" z dziewczyną, która wcześniej tańczyła w kabarecie Crazy Horse.

„BYŁAM JAK MATKA"

Nobliwy wygląd, staranna siwa fryzura, kostium Chanel zapięty pod szyję. Tak elegancka jak jej klienci z wyższej półki. Nazwiska niektórych ujawniono w śledztwie: lord Mountbatten, Élie de Rothschild, John Kennedy (prosił o dziewczynę w rodzaju Jackie, tylko bardziej namiętną), duet Onassis – Callas (lubili trio), Gianni Agnelli (zamawiał seks grupowy), Moshe Dayan, Marlon Brando, szach Iranu. Ten ostatni zostawiał dziewczynom rubiny jako napiwek.

Dziewczyny też nie były byle jakie, zgodnie z oczekiwaniami klientów. Madame miała krytyczne oko i brała tylko najlepsze. Nie znosiła zbyt grubych, liczyły się wysokie. Trzeba było poddać się surowemu reżimowi: dieta, opera-

eprasa.pl 8cfe74c930

cje plastyczne, fryzjer, kosmetyczka. Bezwzględna higiena. Ubrania i maniery dobrze wychowanej panienki z burżuazyjnego domu. Języki obce. I absolutne posłuszeństwo kierowniczce: „Można zrobić z ciebie łabędzia, pod warunkiem że będziesz posłuszna poleceniom szefowej". To było wiadomo. Na ironię to właśnie jedna z dziewczyn „odrzuconych" na interview (za gruba) naprowadziła policję na trop sutenerki.

Sama Fernande, szczupła, na szpilkach, do końca nie przyznawała, żeby promowała promiskuityzm. Lubiła powtarzać, że wielu dziewczynom pomogła stać się „kimś". „Przestańcie mówić, że zajmuję się prostytucją. Nikogo nie krzywdzę. Byłam dla nich jak matka... Nauczyłam je dobrych manier, elegancji i kultury. Brałam tylko 30 proc., nie chciałam, by mnie oszukiwały. Działałam fair, jak agencja modelek. To była tylko wymiana usług". Za wszystkie lekcje urody i poprawki dziewczyny płaciły same.

A oko do dziewczyn miała świetne. Nie musiała, tak jak ci head hunterzy z agencji modelek, uganiać się po nocnych klubach czy wyczekiwać przed wejściem do liceum, żeby znaleźć odpowiednią kandydatkę. Same się zgłaszały, a ona od razu wiedziała, która będzie perłą. Metodą szeptaną pozyskiwała dziewczyny z czterech zakątków świata. Najbardziej ceniła gatunek „skandynawski" – wysoką, szczupłą, jasnowłosą, niebieskooką. Niezłe były też jej zdaniem Francuzki w typie kobiety z wielkiej burżuazji: ciemnowłose, o drobnych rysach, szczupłe nogi, ładne dłonie. Typ Catherine Deneuve z filmu „Piękność dnia". Cudzoziemki stawiała wyżej niż Francuzki.

Jak to możliwe, że przez ponad 20 lat działalność Madame Claude nie wzbudzała podejrzeń? Że nikt się nie zainteresował rozległą działalnością sutenerską? Odpowiedź jest prosta – rozpięto nad nią parasol ochronny. Rozpięty przez klientów – ministrów, polityków, VIP-ów. Oni ją chronili, bo w swoich notatnikach trzymała niejeden sekret mogący ich skompromitować. Ona chroniła ich – dyskrecja była przecież złotą zasadą jej pracy. Czy dostarczała informacji służbom? Możliwe, choć niepotwierdzone.

Poza tym, że dziewczyny musiały spełniać wysokie wymagania co do wyglądu, musiały też dochować absolutnej dyskrecji. Dla tych, którym udało się wyjść za mąż, i to nie za byle kogo – chodziło o „dobrą partię" – praca dla Madame Claude była swoistą „referencją". Małżeństwo oczywiście pociągało za sobą konieczność zaniechania pracy. Trudno – inwestycje nie zawsze się zwracają. Ale i tak przecież koszty „opieki Madame" – coachingu, chirurgów plastycznych, naprawy uzębienia, ubrań od najlepszych krawców i kultury ogólnej – ponosiły dziewczyny, nie chlebodawczyni.

OSTRYGI I HAMBURGERY

Fernande Grudet swój życiorys, wizerunek i legendę wymodelowała sama zgodnie z własnymi potrzebami. Urodziła się w roku 1923 w Angers w zachodniej Francji w biednej rodzinie. Ale w CV musiała się znaleźć szkoła katolicka, sine qua non panienki z dobrego domu. Dalej: obóz w Ravensbrück, dokąd wywieziono ją rzekomo razem z Genevieve de Gaulle. Ojciec rzekomo w ruchu oporu. Jednak prawda jest bardziej heroiczna niż zmyślone fakty: Madame Claude jest prawdziwą self-made woman. Jako 16-letnia prostytutka działała w centrum Paryża, pobierając lekcje fachu u swojej „opiekunki". Zaszła w ciążę, prawdopodobnie zgwałcona. Urodziła córkę.

Ale – jak sama mówi – do seksu nie ma pociągu. Może nie jest zbyt ładna? Zamiast tego postawiła na wyższą stawkę: zarządzanie biznesem prostytucji. Nie jak pospolity sutener, ale jak wymagająca i opiekuńcza burdelmama. Do tego celu skonstruowała swój nowy wizerunek: dwa liftingi, jeden w wieku 37 lat, drugi 54. Kaszmirowy golf od Hermesa, idealne zęby, włosy zawsze od fryzjera budują zaufanie do tej damy „z wyższych sfer." Która nie ma złudzeń co do mężczyzn: „Mężczyznom trzeba kadzić. Nie mówcie im, że są inteligentni, mówcie im, że są przystojni. I utwierdzajcie ich w przekonaniu, że w łóżku są świetni". Proste i prawdziwe.

Lata 70. w interesach zapowiadają się doskonale. Szejkowie z Zatoki Perskiej tłumnie odwiedzają Paryż i korzystają z uroków jego pięknych kobiet. Petrodolary napływają szerokim strumieniem do kasy Madame. Ale prezydentura Giscarda w roku 1974 sprawia, że sprawy zaczynają się komplikować. Kontrole skarbowe stają się dokuczliwe. Firma Madame jest winna fiskusowi 6 mln franków (ponad 1,5 mln euro) i osobny mandat 40 tys. euro. Jest także areszt na 10 miesięcy z zawieszeniem.

Fernande Grudet woli nie ryzykować. Francuskie ostrygi są lepsze niż jankeskie hamburgery, ale trzeba wiać, póki czas. Kierunek: Ameryka. Madame instaluje się w Los Angeles. Wcześniej zawarła fikcyjny związek z obywatelem Szwajcarii, co pozwoliło jej uzyskać obywatelstwo tego kraju. Znalazłszy się w Stanach, żeby zdobyć zieloną kartę, szybko wychodzi za amerykańskiego barmana. Po czym, bez przekonania, tylko po to, żeby coś robić dla przykrywki, otwiera cukiernię. Jednak wspólnicy donoszą na nią do władz imigracyjnych i Madame musi odbyć krótką odsiadkę. Wraca do domu w Los Angeles, gdzie nudzi się śmiertelnie – otwiera swoje szafy pełne eleganckich sukni i markowych futer. Gdzie to nosić w kraju, w którym nikt się nie ubiera? Nie mówi po angielsku – to dodatkowy problem. Żeby wypełnić czas, bywa w modnych restauracjach. Ale i tak czas pod palmami nieznośnie się dłuży.

Dziennikarz „Paris Match" Dany Jucaud był z nią w LA na obiedzie. Jego wrażenia: „Człowiek zimny, cyniczny. Dla niej świat dzieli się na potężnych mężczyzn, którzy myślą tylko o seksie, i na młode kobiety, które marzą o luksusie".

ZABAWA SIĘ SKOŃCZYŁA

W 1985 r. paryscy przyjaciele wysyłają sygnał: można wracać. Ale tylko z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Madame wraca do Paryża dyskretnie, ale jest jednak przekonana, że władze zapomniały o niej. Nic z tego. Zostaje zatrzymana w swoim domu w Cajarc w południowej Francji. Wyrok niezbyt dokuczliwy: cztery miesiące aresztu domowego w XVII-wiecznym zamku w okolicy. Można wytrzymać, Madame gotuje, spaceruje.

Ale ile można nudzić się na wsi? Po zakończeniu aresztu wraca do swojego terenu łowczego – Paryża. Kupuje mieszkanie już nie w centrum miasta – tam, gdzie dawniej rozwijała swoją sieć – ale w dzielnicy Marais, gdzie ekspozycja jest mniejsza.

Jednak i tu sprawiedliwość ją dopada. Nie na długo: areszt na miesiąc. Po miesiącu wychodzi za kaucją. Ale zrozumiała, że zabawa się skończyła. Kupuje mieszkanie w Nicei, po pół roku je sprzedaje i kupuje mniejsze. Wynajmuje prywatnego detektywa, żeby odnalazł córkę Annie. Wysiłek okazuje się daremny: dwie starsze już kobiety nie mają sobie nic do powiedzenia. Są sobie całkiem obce.

Fernande Grudet dożyła 92. roku życia. Zmarła w szpitalu w Nicei w roku 2015, zabierając do grobu iluzję eleganckiej prostytucji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 8cfe74c930

Ewa Błaszczyk na budowie Budzika dla dorosłych w Warszawie FOT. FUNDACJA „AKOGO?"

To po nas pozostanie

Z Ewą Błaszczyk, aktorką, współzałożycielką i prezesem Fundacji „Akogo?"
rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: 18 kwietnia to Dzień Pacjenta w Śpiączce, ma zwrócić uwagę na problemy osób, które nie mogą same o to zabiegać. Jaka jest sytuacja osób w śpiączce w czasie pandemii COVID-19?

EWA BŁASZCZYK: Staramy się funkcjonować normalnie, cały czas działa Budzik dla dzieci, Budzik dla dorosłych w Olsztynie, budujemy Budzik dla dorosłych w Warszawie: chcemy, żeby zaczął działać pod koniec 2022 r., na 20-lecie Fundacji „Akogo?". Mamy większość finansowania z Funduszu Sprawiedliwości dla ofiar wypadków, jednak na pewno będziemy potrzebowali wsparcia ludzi, żeby powstał. Tych działań nie można przerwać z powodu pandemii. Na początku pandemii Budzik dla dzieci był zamknięty, to znaczy rodzice musieli cały czas być w nim razem z dziećmi, nie mogli wychodzić. Przez pewien czas był nawet zakaz chodzenia po piętrach. Wszyscy bardzo przestrzegali reżimu sanitarnego: był konieczny, trzeba było bardzo uważać, by nie doszło do zakażenia.

Jak w tym trudnym czasie czuje się Ola? Niedługo minie 21 lat, od kiedy zapadła w śpiączkę.

Cały czas jest rehabilitowana, od początku epidemii w reżimie sanitarnym. Dzięki tej ostrożności w tym roku nie miała żadnych infekcji.

W jakim dziś jest stanie?

Stabilnym. Pięć lat temu Ola miała wszczepiony stymulator, który poprawia pracę mózgu, była „najtrudniejszym" pacjentem spośród tych, którzy otrzymali stymulator, ponieważ w jej przypadku od wypadku upłynęło kilkanaście lat. Praca mózgu poprawiła się, co widać w badaniach. Obserwujemy, że Ola potrafi lepiej skupiać uwagę, np. gdy pracuje z cyber-okiem. Nie jest to jednak jeszcze to, o co walczymy. Dopóki nie pojawi się szansa na terapię, która naprawi połączenia nerwowe w uszkodzonym mózgu, dopóty szansa na radykalną poprawę jest niewielka. Chyba że zdarzy się cud.

eprasa.pl 8cfe74c930

21 lat walki o Olę i inne osoby w śpiączce zaowocowały stworzeniem profesjonalnych klinik wybudzeniowych. Czy przez te lata udało się zmienić podejście lekarzy i społeczeństwa do osób w śpiączce? Jest przekonanie, że warto o nie walczyć?

Zawsze są dwie strony: pierwsza mówi, że trzeba walczyć. Na świecie jednak coraz szerzej otwierają się drzwi do eutanazji. Jeśli tak miałby wyglądać świat, to całe te 20 lat byłoby bez sensu, Budziki byłyby bez sensu. Jeśli ktoś zakłada, że wszyscy mamy być piękni, młodzi i bogaci, to nie znajdziemy z nim pola porozumienia. Dlatego na 20-lecie Fundacji „Akogo?" chcemy też pokazać cykl filmów dokumentalnych z osobami wybudzonymi ze śpiączki – serial „Wybudzeni", świadectwo osób, które przeżyły śpiączkę. Bardzo zależy mi na tym, żeby ten manifest wybudzonych przekazali ci, którzy to przeżyli. I ich najbliżsi, którzy o nich walczyli.

Chcemy pokazać, że osoba z zewnątrz nie może oceniać jakości czyjegoś życia. Przykład: Paweł, lekarz, który wygrał konkurs na szefa kardiochirurgii w Szpitalu MSWiA, a potem pojechał na wakacje do Chorwacji, topił się, zapadł w śpiączkę. Wyszedł z niej, ale nie funkcjonuje tak jak kiedyś. Ma się jednak dobrze, jest zadowolony z życia. Przyjeżdżają do niego dawni koledzy, często świetnie sytuowani. Są smutni, pytają: „Z czego Ty się tak cieszysz?". Dlaczego ktoś ma oceniać wartość jego życia?

Osoby, które wychodzą ze śpiączki, często nie wracają do poprzedniego stanu?

Niektóre wracają do stanu, w jakim były, u innych uraz pozostawia ślady. Wszystko zależy od stopnia uszkodzenia mózgu. Jednak najbardziej istotne jest to, jak ta osoba czuje się sama ze sobą.

Niedawno głośna była sprawa Polaka z Anglii w śpiączce, któremu nie dano takiej szansy, jaką dostają pacjenci Budzika...

Profesor Maksymowicz chciał go przyjąć do Budzika. My właśnie takich pacjentów przyjmujemy. On przecież nie był podłączony do respiratora, samodzielnie oddychał. Przy okazji tej sprawy widać było, jaki panuje informacyjny zamęt, mylenie pojęć, co to jest stan wegetatywny, stan minimalnej świadomości. Część świata idzie w kierunku eutanazji. Przez to wiele starszych osób w Holandii tatuuje sobie na przedramieniu: „Nie zabijaj mnie".

Ola jest dziś w stanie minimalnej świadomości. Co to właściwie znaczy? To nie jest stan wegetatywny?

Nie. W stanie wegetatywnym mózg niemal nie pracuje. Ola jest w stanie minimalnej świadomości. Reaguje, choć bardzo słabo.

Można te stany odróżnić: wegetatywny i stan minimalnej świadomości?

Tak, w Liège jest bardzo dobry ośrodek, który już od ponad 30 lat zajmuje się śpiączką i badaniem stanów świadomości. Pojawia się coraz więcej metod na dokładne zdiagnozowanie i odróżnienie stanu wegetatywnego, stanu minimalnej świadomości „minus", stanu minimalnej świadomości „plus". Na świecie prowadzi się coraz więcej badań nad mózgiem. Dlatego budujemy Budzik dla dorosłych w Warszawie, wspieramy Budzik dla dorosłych w Olsztynie i Budzik dla dzieci w Warszawie, funkcjonuje program leczenia pacjentów w śpiączce, jest Dzień Pacjenta w Śpiączce, jednak jako fundacja chcemy też „iść do przodu" i przekierowujemy się na działalność naukowo-badawczą. Na świecie prowadzi się coraz więcej badań nad mózgiem, bada się komórki macierzyste, powstają pierwsze terapie genowe mające na celu regenerację połączeń neuronowych w mózgu. Na razie w innych chorobach, ale być może pojawią się też takie, które pomogą osobom w stanie minimalnej świadomości. Wiele chorób neurodegeneracyjnych będzie można pokonać, jednak na razie to daleka droga. Światłem w tunelu jest nauka. Jeśli wszyscy są skoncentrowani na danym temacie i są na to pieniądze, to jest szansa, że uda się znaleźć rozwiązanie.

Ważne jest też to, żeby osoby, które tak długo walczą, dotrwały w jak najlepszej formie do momentu, kiedy będzie można takie leczenie u nich zastosować. Powołaliśmy Radę Naukową Budzika, są w niej znakomici naukowcy z Polski. Jest też rada naukowa Fundacji „Akogo?", w której składzie znajdują się znakomici lekarze i naukowcy z całego świata, guru w swoich dziedzinach. Spotykamy się – podczas pandemii na Zoomie – rozmawiamy, by wiedzieć, co dzieje się na świecie, i te najlepsze rozwiązania wprowadzić do Polski.

Budujecie Budzik dla dorosłych w Warszawie. Czy to potrzebne, skoro funkcjonuje już Budzik dla dorosłych w Olszynie?

Jest potrzebny, dorośli niestety częściej ulegają wypadkom, które kończą się śpiączką. W Budziku w Olsztynie nie wystarcza dla nich wszystkich miejsc. Dlatego zdecydowaliśmy się na budowę kolejnego Budzika w Warszawie, przy Szpitalu Bródnowskim, gdzie bardzo dobrze działa neurochirurgia. Budziki to takie OIOM-y dla osób w śpiączce, powinny znajdować się w miejscach, gdzie jest świetnie zorganizowana infrastruktura medyczna, diagnostyka. W Radzie Budzika jest prof. Mirosław Ząbek, a w radzie Fundacji „Akogo?" prof. Krzysztof Bankiewicz, którzy razem wprowadzają do leczenia pierwsze terapie genowe w chorobach neurodegeneracyjnych. Otworzyliśmy również przychodnię konsultacyjno-medyczną „Akogo-med" o profilu neurologicznym i neurologiczno-chirurgicznym, bo też jest taka potrzeba. Całość wypracowanego zysku będzie przekazana na cele statutowe Fundacji „Akogo?".

Opieka nad Olą, budowa Budzika, poszukiwanie nowych sposobów w nauce i medycynie, by wspomóc osoby w śpiączce... A jakie są pani plany artystyczne?

Gdy zaczęła się pandemia, wiedziałam, że nie skończy się ona szybko i trudno będzie wrócić do normalnej działalności artystycznej. Zaczęłam szukać scenariuszy sztuk, w których chciałabym zagrać. Szukałam głównie monodramów lub scenariuszy dla dwóch osób. Przeczytałam ich ponad 20. Najbardziej zainteresowała mnie sztuka młodego polskiego dramaturga Jacka Góreckiego „Nazywam się Tamara Biakow i jestem legendą". Udało mi się dostać częściowe dofinansowanie z Ministerstwa Kultury, będzie to nowy monodram w teatrze Studio. Mam też drugą sztukę, którą chciałabym zrealizować w Teatrze Telewizji. Teatr, iluzja to dla mnie taki „wentyl bezpieczeństwa", żebym nie miała tylko budowy Budzika, medycyny, Oli. Potrzebny jest taki wentyl bezpieczeństwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Osoby, które chcą wesprzeć budowę Budzika dla dorosłych w Warszawie, mogą wysłać SMS „Budzimy" na numer 75 250 (opłata 6,15 zł z VAT) lub wpłacić 1 proc. podatku na Fundację „Akogo?" (www.akogo.pl).

Ewa Błaszczyk – aktorka teatralna i filmowa, piosenkarka, współzałożycielka i prezes Fundacji „Akogo?", zajmującej się systemowymi rozwiązaniami problemów osób w śpiączce i wymagających rehabilitacji po ciężkich urazach neurologicznych.

eprasa.pl 8cfe74c930

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Zamek Zawiszy Czarnego

W Rożnowie znaleźć można dwie pozostałości dawnym umocnień obronnych. Pierwsza to resztki nieukończonego zamku, który zaczął wznosić hetman Jan Amor Tarnowski po 1526 r. Znajduje się w tym miejscu dwór Stadnickich, późniejszych właścicieli tej miejscowości. Drugą są ruiny zamku usytuowane na malowniczym wzniesieniu w zakolu Dunajca. Jest to budowla wzniesiona w latach 30. XIV w. przez Michała Rożna z rodu Gryfów. Jak podaje Dariusz Piwowarczyk, w 1425 r. nabył ją Zawisza z Garbowa herbu Sulima, jeden z najsławniejszych polskich rycerzy, uczestnik bitwy pod Grunwaldem, znany nie tylko z bojowych przewag, lecz także z honorowego żywota. Zawisza, sługa dwóch panów – króla Polski i wielkiego księcia Litwy Władysława Jagiełły oraz króla Węgier i Czech Zygmunta Luksemburczyka – wielokrotnie wykonywał misje dyplomatyczne, posłował, zasiadał w sądach, pozostawiając po sobie legendę niezłomnego rycerza, ale przede wszystkim prawego człowieka. Pod koniec życia zaczął rozglądać się za odpowiednią rezydencją i jego wybór padł właśnie na zamek w Rożnowie.

FOT. WIKIPEDIA, RYS. PEGAZ

Nawet dzisiaj możemy stwierdzić, że budowla nie była wielka. Zamek stanowił typową siedzibę zamożnego rycerza; w chwili, gdy nabywał go Zawisza, był budowlą otoczoną murem i podobną do wydłużonego prostokąta o rozmiarach 20 na 46 metrów. Wewnątrz, do muru północno-zachodniego, przytykała jedna kamienna budowla lub ich ciąg.

Sulimczyk przejął zamek nie od Rożnów, ale od Piotra Kurowskiego, który połowę odziedziczył po bracie abp. Mikołaju z Kurowa, połowę zaś trzymał zastawem od Rafała Rożna. We wspomnianym już 1425 r. zastawił całość za 800 grzywien Zawiszy, ponieważ zaś nie był w stanie spłacić długu, za dodatkowe 200 grzywien oddał mu zamek na własność. Razem z fortecą Sulimczyk nabył równocześnie okoliczne wsie – jak podaje Dariusz Piwowarczyk – Jelnę, Gurów, Posadów, Glinnik, Bartkową, Załęże, Radajowice, Gródek oraz cząstki Załogoszczy i Przydonicy. Klucz był w fatalnym stanie, zrujnowany i pozastawiany, jednak Zawisza włożył sporo gotówki w uczynienie z niego kwitnących dóbr i dając się jednocześnie poznać jako dobry gospodarz. Równocześnie rycerz okazał się hojny dla rodziny. Posiadał bowiem wspólnie z bratem Janem Farurejem Garbów i okoliczne wsie w ziemi sandomierskiej, które przekazał teraz młodszemu bratu. Ten wyjątkowo szlachetny gest rozszedł się szerokim echem wśród szlachty. Od tego czasu też Zawisza Czarny pisał się z Rożnowa, nie z Garbowa, aczkolwiek jego potomkowie ciągle używali tego ostatniego przydomka.

Prawdopodobnie to właśnie stąd Zawisza wyjeżdżał na ostatnią wyprawę w swoim życiu. Nie zdążył też nacieszyć się posiadaniem tej prawdziwie rycerskiej posiadłości. W 1427 r. Zygmunt Luksemburski namówił wiernego sługę do zwerbowania w Polsce oddziału rycerzy najemnych, który wziąłby udział w wyprawie na Turków. W tym samym roku Luksemburczykowi udało się przeciągnąć na swoją stronę hospodara wołoskiego – przysłane przez niego oddziały wojskowe zostały oddane, jak podaje Dariusz Piwowarczyk, właśnie pod komendę Zawiszy.

W roku następnym armia Zygmunta uderzyła na Gołubiec, naddunajską twierdzę opanowaną przez Turków, którzy stawili twardy opór. Rozpoczęło się oblężenie fortecy, przy czym królewska flota zablokowała rzekę, uniemożliwiając dowóz posiłków i zaopatrzenia dla twierdzy.

Zygmunt jednak miał fatalnych zwiadowców, którzy nie uprzedzili go, że na twierdzę maszeruje potężna armia sułtana. Zaskoczony król, który był małym, nikczemnym człowieczkiem i tchórzem, wdał się w pertraktacje i uzyskał zgodę na zawieszenie broni pozwalające na zwinięcie oblężenia. Turcy jednak nie dotrzymali ugody – zaatakowali armię Luksemburczyka, zanim zdołał przeprawić się przez Dunaj. Wówczas król Węgier postąpił tak samo jak wcześniej pod Nikopolis i uciekł, pozostawiając swoich rycerzy na pastwę Turków. Koniec Zawiszy jest dobrze znany z kronik Długosza – Zygmunt wysłał po ulubionego dworzanina łódź, ale Sulimczyk nie chciał opuścić towarzyszy, został zatem wzięty do niewoli, w której, przyznajmy otwarcie, jako zamożnemu nie groziła mu śmierć, gdyż Turcy z powodu kosztownej zbroi wzięli go za króla lub księcia. Stało się jednak inaczej – z powodu sporu pomiędzy spahisami, któremu z nich należy się okup za dostojnego jeńca, jeden z wrogów ze złości ściął Zawiszy głowę. Po jego śmierci Rożnów przeszedł w ręce Wydźgów, a potem Tarnowskich. W XVI w. zaczął popadać w ruinę i ostatecznie został opuszczony. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

MICHAŁA KONDRATA SCENARIUSZ NA KARKÓWKĘ

W mojej rodzinie praktycznie każdy mężczyzna bardzo lubi gotować i ma jakąś swoją ulubioną potrawę, którą zazwyczaj serwuje swoim gościom. Ja mam kilka takich potraw, ale zdecydowanie najczęściej podaję karkówkę ze śliwką.

KARKÓWKA W ROZMARYNIE ZE ŚLIWKĄ I SZPARAGAMI

Składniki:

- 1 kg karkówki
- ulubione zioła, np. rozmaryn, bazylia, oregano, ewentualnie papryka
- sól
- pieprz
- olej rzepakowy
- śliwki kalifornijskie – pół opakowania

Przygotowanie:

Karkówkę wymoczyć w naczyniu z letnią wodą przez ok. 30 min, następnie osuszyć ją ręcznikiem papierowym i pokroić w plastry. Posypać solą, pieprzem i wybranym jednym rodzajem ziół, np. rozmarynem. Następnie wklepać w mięso przyprawy, polewając lekko olejem rzepakowym. Obrócić mięso, powtórzyć czynności, a następnie owinąć mięso folią i włożyć do lodówki na minimum 3 godz., ale nie dłużej niż 20 godz. Kiedy już karkówka się zamarynuje, odwijamy ją z folii i obsmażamy na patelni z obydwu stron przez 3–5 min każdy kawałek i wkładamy do naczynia żaroodpornego, dorzucając pół opakowania śliwek. Nakrywamy naczynie, żeby nie odparowała woda, i wkładamy do rozgrzanego do 170 st. C piekarnika na środkowym ruszcie w ustawieniu „grzanie góra i dół". Pozostawiamy na 2 godz. Najlepiej podawać z blanszowaną cukinią lub gotowanymi szparagami i ziemniakami, które można polać łyżką sosu z mięsa. ©℗

oprac. raw

FOT. ARCHIWUM MICHAŁA KONDRATA

Michał Kondrat jest reżyserem, scenarzystą i producentem filmowym.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Nieoczekiwane skutki pustej lodówki

Opotędze Instagrama w produkcji współczesnych gwiazd medialnych, w formatowaniu świadomości, estetyki i kreowaniu trendów napisano już wiele. Okazuje się, że skala zasięgu Insta sięga także zwykłego życia domowego. I kuchni oczywiście – przecież dzisiaj zamiast kartkować książkę kucharską, jednym ruchem sięgamy do Internetu.

A co z tego wynika? Oto 4 lutego 2019 r. Jenni Häyrinen, fińska „stylistka kulinarna" (teraz już obiadu nie gotujemy, lecz go stylizujemy), zabiera się do przygotowywania lunchu. Zagląda do lodówki i widzi tam niewiele: kawałek sera feta, parę pomidorów, bazylię... Postanawia użyć tego, co jest, i wymyśla z tego nowe danie. Wychodzi tak ładnie, że zamieszcza rezultat na swoim profilu na Instagramie (@liemessa). Danie jest proste: składa się z makaronu, sera feta, koktajlowych pomidorków i przypraw. W sumie pół godziny roboty.

Gdy relacja ukazuje się na Instagramie, sprawy zaczynają iść szybkim tempem. Liczba obserwujących profil młodej Jenni z 20 tys. wzrasta lawinowo do 80 tys. W pięciomilionowym kraju, jakim jest Finlandia, to naprawdę sukces. Sprzedaż sera feta w sklepach w całym kraju rośnie od razu o 300 proc.! Po kilku miesiącach hashtag #uunifetapasta (zapiekany makaron z fetą po fińsku) okazuje się najbardziej googlowanym w Finlandii.

FOT. HANNA LINNAKKO/FFI.FI

A gdy do akcji przyłączają się dwie blogerki amerykańskie, które przetwarzają na swój sposób przepis i zamieszczają go na TikToku, sukces jest już planetarny. Bo w czasach pandemii dla tysięcy ludzi zapuszkowanych w domu codzienne gotowanie jest nie tylko koniecznością, lecz także jedną z nielicznych rozrywek. Hashtagi #bakedfetapasta i #fetapasta osiągają 923 mln odsłon. Przepis dostaje się w ręce włoskich mistrzów kuchni, którzy chwalą jego prostotę i łatwość przygotowania. „To danie, które mogłaby zrobić dla mnie la mamma" – mówi Denny Imbrosi, jeden z nich. Dość wyjątkowe podejście, bo Włosi są znani z ortodoksyjnego stosunku do własnego dziedzictwa kulinarnego. Grecki ser we włoskiej kuchni? Czyż to nie herezja? Ale tym razem ciekawość nowości i kreatywność górą.

Autorka przepisu Jenni Häyrinen, podsumowując nieoczekiwane skutki własnego sukcesu kulinarnego, komentuje: „Gotowanie na TikToku to nowa forma wspólnoty". Cóż, jakie czasy, taka wspólnota. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Dżihad – McŚwiat 1:0

Przez piłkarski świat przewaliła się rewolucja, którą następnie zdławiła kontrrewolucja. Obie były błyskawiczne, a zarazem frapujące. I zabawne.

Jeśli kogoś nie interesuje piłka nożna, to mógł przeoczyć bardzo ciekawe wydarzenia. Oto grupa najsilniejszych klubów europejskich ogłosiła powstanie Superligi. Potentaci wypięli się na krajowe rozgrywki i Ligę Mistrzów, do której może trafić byle kto, i powołali do życia ekskluzywne rozgrywki dla wybranych. Reakcja UEFA i FIFA była tak ostra, że secesjoniści zaczęli się wyłamywać i po dwóch dniach rewolucja w światowym futbolu się załamała.

Z jednej strony można patrzeć na te wydarzenia jako na wyzwanie rzucone starej oligarchii przez nową. Obie strony sporu (największe kluby i UEFA) mają pełne gęby frazesów, ale obie są porażająco wręcz chciwe. FIFA, organizująca mistrzostwa świata w Katarze (gdzie buduje się stadiony z pomocą de facto niewolników), pouczająca Real Madryt czy Manchester United na temat wartości, to idealna ilustracja powiedzonka: „Diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni". Prawda jest taka, że organizacje piłkarskie robią niesamowite pieniądze na międzynarodowych rozgrywkach, a kluby chciałyby tej kasy więcej, więc postanowiły zorganizować własną sitwę. Zwycięstwo którejś ze stron nie cieszy, bo nie ma tu żadnej postaci pozytywnej. Wart Pac pałaca.

Na to, co się wydarzyło, można jednak spojrzeć z innej perspektywy – jako na starcie globalistycznego McŚwiata z tradycjonalistycznym dżihadem. Oto bogate kluby postanowiły przeciąć pępowinę z lokalnymi grajdołkami (czyli rodzimymi ligami) i stworzyć markę, która będzie się cudownie sprzedawać w Chinach czy Arabii Saudyjskiej. Dżihad stawił jednak niespodziewany opór. Kibice w wielu krajach zorganizowali demonstracje. Fani Chelsea pikietowali stadion z hasłami w stylu: „Nie zabierajcie nam deszczowych wieczorów w Stoke", pokazującymi, że esencją piłki nożnej jest tradycja. W podobnym duchu wypowiadali się gracze i trenerzy. W kilku klubach doszło wręcz do buntu zawodników, którzy ksenofobicznie odrzucali Superligę na rzecz „deszczowego Stoke", czyli uświęconych dziesiątkami lat rozgrywek z lokalnymi rywalami. Ta postawa jest o tyle ciekawa, że Superliga prawdopodobnie gwarantowałaby piłkarzom lepsze zarobki. Dla nich jednak – o dziwo – ważniejsze były imponderabilia.

I to jest akurat urocze w tej historii. Globalni potentaci biznesowi, czyli właściciele największych klubów, korzą się teraz przed kibicami i nawet proszą ich o wybaczenie za „nieprzemyślaną" i „pochopną" inicjatywę. Piszą listy otwarte i występują w mediach społecznościowych w kraciastych, proletariackich koszulach.

Dżihad dał McŚwiatu bolesnego kopa. Naprawdę miło było popatrzeć. ©℗

MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Chuć Sylwii Chutnik

Małgośka – mówią mi – na prawicy to same bogoojczyźniane smutasy. – Aha – odpowiadam. – Bo cyrk i kabaret jest po lewej stronie i tu nikt was nie prześcignie.

Weźmy np. taką różowogrzywą pisarkę i aktywistkę LGBT – Sylwię Chutnik, „absolwentkę Gender Studies", czyli współczesnego łysenkizmu. Zresztą ileż bardziej naukowy byłby wydział typu „Grzybobranie Studies"? Bo w przeciwieństwie do dżenderów tu akurat od muchomora do grzyba atomowego – wszystko występuje w przyrodzie i nawet zabija. A tymczasem fachowcy od dżenderów to spece od sprzedaży tęczowego dymu, i to na kilogramy. Pani Chutnik zasila szeregi nadwiślańskiej LGBT-inteligencji i pracuje ze stachanowską wydajnością nad reedukacją „homofobicznych Polaków". I tylko czekać, aż absolwenci od dżendera i spółki nałożą nam kaganiec z paragrafów „przeciwko LGBT-fobii i transfobii", tak jak to zrobili ich tęczowi mistrzowie w Hiszpanii. Wysłuchałam tylko jednej jej audycji w feministycznym Radiu Sylwia i przyznam, że zaczęłam się bać. Do tej pory bałam się tylko, żeby mnie nikt tak nie urządził, jak ją traktują fryzjer i stylistka (najwyraźniej jej nienawidzą, a ona się tego nawet nie domyśla!). Teraz grozi nam z premedytacją, że „będzie epatowała swoim homoseksualizmem, dokąd homofobia nie znikne w najbardziej homofobicznym kraju w Europie".

A przecież ona sama odkryła swoje lesbijstwo dopiero w 43. roku życia, mając już 16-letniego syna, który – jak podpowiada reakcyjna dziedzina biologii – powstał w sposób fuj-heteronormatywny. Czy Chutnik mogłaby najpierw przeprowadzić solidną samokrytykę za 40 lat heteronormatywnego życia, zanim zabierze się za nas? I czy kiedy już powstaną te planowane przez Komintern LGBTQ obozy reedukacyjne dla nas, to czy będzie można wybrać barak lub reeduktora? Bo jakoś bezpieczniej bym się czuła, gdyby nad moją reedukacją czuwali już geje. I czy jeśli się złoży obietnicę, że mając 43 lata (podobnie jak ona) rozpozna się w sobie nieheteronormatywność, to można być zwolnionym warunkowo? I czy jak ktoś przeszedł COVID, to Chutnik może mu oszczędzić epatowania swoim homoseksualizmem z uwagi na słabsze zdrowie? Wyślę jej te pytania i dam Państwu znać, na jaki zakres wolności zgodzi się imperatorowa nowych totalistów i nowa twarz kampanii „Ordo Blasfemia" Nergala, zapowiadanej jako odpowiedź na „katolicki reżim".

W Hiszpanii aktywiści tacy jak Chutnik zwani są „podemitas", od nazwy skrajnie lewicowej partii, która rozpętała rewolucję i prawdziwą wojnę płci. Polska nie umie się bronić ani przed chińskim wirusem, ani przed tęczowymi miazmatami. Chrońmy jej płuca! ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wieś żywi i broni?

Wznowiony ostatnio w TVP1 serial „Ranczo" słusznie uważany jest za mistrzostwo w swoim gatunku. Scenarzyści wykreowali galerię postaci z krwi i kości, nasycili swoje opowieści wspaniałymi epizodami i zwrotami akcji, włożyli w usta swoich bohaterów rewelacyjne czasem kwestie, a miary sukcesu dopełnili świetni aktorzy, którzy wcielili się w scenariuszowe role z prawdziwym kunsztem. Chociaż od zakończenia serialu minęły już lata, to warto jego odcinki oglądać na nowo, bo stale odkrywa się tam perełki. Oczywiście wszystko rozgrywa się w konwencji komediowej, a wiele sytuacji jest przerysowanych, mimo to rozwiązania niektórych spięć są wprost fantastyczne.

Weźmy na przykład scenę, w które pani Solejukowa rozbraja gangstera z kalabryjskiej 'Ndranghety. Przyjechał do wsi po wyjściu z więzienia, żeby rozliczyć się z byłą narzeczoną, Franceską, która uciekła od niego aż do Polski na szkolenie policyjne i wyszła za mąż za wiejskiego nauczyciela Tomasza Witebskiego. Celem zemsty jest oczywiście pan Witebski. Nie chce on się chować przed zagrożeniem i wybiega na jego spotkanie z okrzykiem: „Nie po to nasi przodkowie przegrali tyle powstań, żebym miał się kryć!". Problem w tym, że gangster ma pistolet i nie zawaha się go użyć. Genialna pani Solejukowa, która poza innym walorami nauczyła się w mig włoskiego, przybywa, żeby tłumaczyć ich rozmowę do restauracji pani Violetki, gdzie gangster mierzy już z pistoletu do nieszczęsnego Witebskiego. To, co ad hoc mówi gangsterowi, to prawdziwy majstersztyk. Przedstawia Witebskiego jako wiejskiego pisarza przygłupka, który ulitował się nad biedną Włoszką, bo zaszła ona w ciążę z jakimś Amerykaninem – co więcej, nie wiadomo, czy dziecko będzie białe, czy czarne. Scena, która wydawała się zmierzać do krwawej zemsty, kończy się wspólnym piciem czerwonego wina. Gangster z wdzięcznością klepie Witebskiego po ramieniu, a Franceskę całuje ze współczuciem w czoło. Świadkowie nic nie rozumieją, ale pani Solejukowa woli niczego nie wyjaśniać, więc mówi tylko, że chyba od tego wina jej się wszystko pomieszało. Genialna scena.

Takich scen i podobnych powiedzonek umieścili w serialu autorzy mnóstwo, toteż serial z pewnością należy zaliczyć do klasyki polskiej sztuki filmowej. Autorzy serialu fenomenalnie podpatrzyli mechanizmy władzy w postaciach bliźniaków: władzy świeckiej w postaci wójta Kozioła i duchownej w postaci proboszcza Kozioła, a także złowrogiego Czerepacha, pokazali fundamentalną rolę cywilizacyjną kobiet wiejskich, stopniową poprawę warunków życia na wsi polskiej, znaczenie wolnej inicjatywy na drodze wiejskiego postępu, a nawet zawarli w scenariuszu mnóstwo celnych obserwacji o życiu, o jego radościach i rozterkach. A jednak w jednym autorzy trochę zawiedli. Serialowe Wilkowyje są wsią podlaską, gdzie postęp wkracza powoli, ale to tym bardziej nie powód, żeby w ogóle nie zauważyć, iż podstawą życia wsi jest jednak rolnictwo. Tymczasem serialowe życie toczy się wśród ludzi niemających z rolnictwem nic wspólnego: są wójt, proboszcz, lekarz, są urzędnicy gminy i wykolejony artysta, którego do życia przywraca wnuczka miejscowej dziedziczki, przybyła z Ameryki, ale praca na roli pokazana jest zupełnie marginalnie: raz, kiedy straszny pan Wargacz ochlapał pranie pani Solejukowej, jadąc po kałużach swoim ciągnikiem, i drugi raz, gdy z innego, widać – niezbyt sprawnego, ciągnika lał się olej, który Solejuk wziął za wytrysk ropy ze swojego pola.

W serialu widać miejski punkt widzenia: wieś powinna doganiać miasto, porzucając uzależnienie od rolnictwa. Odmiennie od różnych „słoików" oraz celebrytów spojrzenie autorów serialu na wieś jest generalnie życzliwe. Chciałbym jednak przypomnieć, że żywność w Polsce nie bierze się tylko ze sklepu oraz że stanowi ona podstawę polskiego eksportu. Obserwując życie wiejskie, zauważam oczywiście, że zajęcia pozarolnicze stanowią tu coraz większą część źródeł utrzymania, a tradycyjne, małe gospodarstwa rodzinne nie dają dostatecznego dochodu, ale polska wieś jednak jakoś sobie z tym wszystkim radzi. Warto o tym pamiętać, gdyż praca na roli daje w Polsce nadal nie tylko poważne dochody, lecz także może być źródłem niejednego żartu i egzystencjalnej metafory. ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 8cfe74c930

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

SUPREMACJA MOJEJ RASY

W TVP leci jeszcze „Boso przez świat – PERU". I z tej okazji dostaję typowe pytania o moją wyższość człowieka cywilizowanego, supremację białej rasy i moje neokolonialne podejście do innych kultur. No to pogadajmy o tym

W USA po każdym zastrzeleniu przez policję czarnego przestępcy bandyta zostaje bohaterem, miasta są demolowane w zamieszkach i płoną, a sklepy są rabowane – najpierw z gorzały, telewizorów i sportowego obuwia, ale MARKOWEGO, typu Nike. To nie są towary pierwszej potrzeby, prawda?

A może właśnie są – w sytuacji, gdy o wszystkie inne potrzeby bytowe murzyńskiej społeczności zadbano w postaci zasiłków, darmowej edukacji i leczenia, a nawet mieszkań. W takiej sytuacji nowy telewizor – i to taki największy, który trzeba wynosić ze sklepu (kraść!, rabować!) we dwóch, bo sam nie uniesiesz – staje się towarem pierwszej potrzeby. No bo do roboty nie chodzę i nawet jej nie szukam, choćby była, ale gdy tylko ruszę tyłek do roboty, to stracę zasiłki. Żarcie mam, dach nad głową mam, a do tego kupę wolnego czasu. No to moją pierwszą potrzebą staje się oglądanie jakiegoś sportu przez cały dzień. W tym celu ogromny telewizor na całą ścianę to jest to. A do tego darmowa gorzała, bo właśnie podpaliliśmy miasto w ramach protestu.

Tak to działa.

***

A ten czarny „brat" zastrzelony przez policję? Opiszę jeden z przypadków: miał wyroki, czyli „był notowany", i zatrzymujący go patrol o tym wiedział. W komputerach policyjnych był zapisany jako „agresywny". Miał nieaktualne tablice rejestracyjne i to było powodem, że policja zwróciła na niego uwagę. Był na warunkowym, ale nie stawiał się na wizyty u kuratora. A do tego był uzbrojony w nielegalną broń.

W USA łatwo jest mieć broń legalną – każdy może, każdemu wolno. Nielegalne sztuki (z przebitymi numerami lub ukradzione) mają wyłącznie przestępcy, bo tylko do celów przestępczych może ci być potrzebny gnat, którego potem nie będą w stanie powiązać z twoją osobą. Zatrzymali go. Szarpał się, czyli stawiał nielegalny opór. A potem sięgnął po tę broń. Zastrzelony zgodnie z procedurą – policjant strzelił, gdy został zaatakowany. Ale co z tego? Bandyta był czarny, a zastrzeliła go policja, czyli miasto jest demolowane i płonie, a RACJA JEST PO NASZEJ STRONIE – wrzeszczą przedstawiciele BLM, czyli w zasadzie czarny Ku Klux Klan.

Czemu ja o nich tak brzydko mówię? Rasiści pełną gębą, którzy tępią białych i się z tym nie kryją. Oryginalny KKK miał białe kaptury zasłaniające twarz, BLM ma czarne maseczki. Tamci bili i podpalali, a nawet zabijali. BLM to samo. Jedni i drudzy uważali, że ta druga rasa jest niższa.

***

Wróćmy teraz do „wyższości cywilizacji białego człowieka" nad całą resztą świata.

Czy ja traktuję plemiona pierwotne z cywilizacyjną wyższością?

OCZYWIŚCIE. Przecież to one chcą wyjść z dżungli i założyć nasze majtki i koszule na swoje gołe indiańskie plecy. To oni chcą posmarować się naszym płynem na komary, aby ich nie gryzło. Oni chcą nasze łódki z motorem zamiast swojej pirogi na wiosła. To oni chcą się UCYWILIZOWAĆ. I… obie strony zgodnie rozpoznają cywilizację białego człowieka jako wyżej rozwiniętą od kultury pierwotnej dzikiego plemienia.

Jest NORMALNE, że uważamy naszą kulturę za najwyższą z dostępnych. Dlatego promujemy na świecie demokrację, domagamy się od Putina i Chińczyków uczciwych wyborów i szanowania praw człowieka. Chcemy tam u nich zaprowadzić nasz system sądowniczy, gdzie oskarżony ma prawo do obrony i uczciwego procesu. Dlatego pouczamy dyktatorów, że tortury mają być zakazane.

Robimy to wszystko, ponieważ w naszym przekonaniu nasza kultura jest wyższa od ich kultury. To my jesteśmy cywilizowani, a oni są barbarzyńcami, bo stosują tortury, więzienie bez wyroku i tak dalej. Gdybyśmy cywilizację chrześcijańską uważali za gorszą, zaprzeczali, byśmy oczywistym faktom.

Islam prześladuje kobiety, obrzyna ludziom głowy, wysadza przechodniów w powietrze. Chrześcijaństwo tego nie robi, bo jest kulturą/cywilizacją WYŻSZĄ moralnie, a skoro wyższą, to mamy OBOWIĄZEK traktować barbarzyński islam z wyższością i zwalczać jego przejawy. Stąd wojna (sprawiedliwa!) z islamskim terroryzmem.

***

Nasza cywilizacja jest poza tym najwyżej rozwinięta technologicznie – my latamy samolotami i myśmy je wymyślili, a nie dzicy. My stworzyliśmy motory do łódek, klimatyzowane budynki, szybkie statki i papier do tyłka. Gdy słyszę opowieści moich kolegów antropologów o równości kultur, to im każę iść robić kupę do rzeki i podcierać się liściem. Nie chcą! Na każdą wyprawę biorą sobie zapas papieru w rolkach i nie rozdają go Indianom. Ale głupiego poglądu o „równości kultur" nie zmieniają.

Dziki uważa siebie za człowieka równego mnie. I ja też uważam, że jest mi równy, jako człowiek. Ale gdy zaczynamy rozmawiać o cywilizacji, to żaden z nas nie ma wątpliwości, że moja zaszła wyżej. Dlatego na pytanie, czy traktuję dzikich z cywilizacyjną wyższością, odpowiadam: OCZYWIŚCIE.

***

Uznawanie swojej wyższości nie oznacza, że kogoś poniżam – inżynier jest wyżej wykształcony od maturzysty, a maturzysta być może kiedyś zostanie profesorem. Nie chcę nikogo poniżać, lecz niektórych chcę pociągnąć wyżej. My też kiedyś byliśmy na niższym poziomie rozwoju niż obecnie, też kiedyś obrzynaliśmy ludziom głowy – na szafotach Paryża – ale JUŻ TEGO NIE ROBIMY. Nasza cywilizacja wspięła się na wyższy poziom rozwoju i tego chcemy dla innych.

Cywilizacja białego człowieka, kultura chrześcijańska, jest najwyższym poziomem rozwoju, na jaki wzniosła się ludzkość. Nie nasza wina! Nasza zaleta. I cecha obiektywna. ©℗

eprasa.pl 8cfe74c930

Osiedle

Słoneczne Dębki

Grupa Inwest

DZIEŃ OTWARTY 01-02 MAJA

MOŻLIWOŚĆ FINANSOWANIA 20/80

ODDANIE - LIPIEC 2021r.

OPCJA WYKOŃCZENIA „POD KLUCZ"

BEATA BOBKIEWICZ 604 751 400

WWW.SLONECZNEDEBKI.PL

epraasa.pl-8cfe74c930

ORLEN
ORLEN
WRAP
ZA 5 ZŁ
GDY TANKUJESZ
ZA MIN. 100 ZŁ*
* Promocja trwa 1-30 kwietnia 2021 r. i dotyczy zarejestrowanych użytkowników karty VITAY i aplikacji ORLEN VITAY oraz osób płacących ORLEN PAY, kartą flotową lub e-kartą flotową. Oferta promocyjna dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji, na których można zrealizować kupon promocyjny dostępne są na stacjach oraz na www.stopcafe.pl.